ROBERT
CHARROUX

KSIĘGA SKARBÓW

-ZAKOPANYCH
-ZATOPIONYCH
-ZAMUROWANYCH

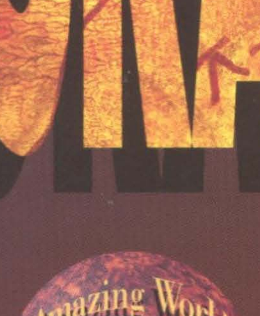
Amazing World

Pandora

KSIĘGA SKARBÓW

ROBERT CHARROUX

KSIĘGA SKARBÓW

ZAKOPANYCH
ZATOPIONYCH
ZAMUROWANYCH

Przekład z francuskiego
JOANNA GALEWSKA

Pandora
1992

Tytuł oryginału
Trésors du monde

Projekt okładki i stron tytułowych
Piotr eL

Skład i łamanie
Pandora Books

ISBN 83-900427-1-1
© Librairie Arthème Fayard, 1962
© Copyright for the Polish edition by **Pandora Books**, 1992

PRZEDMOWA

Nadeszły czasy nowej przygody, wspanialszej niż w czasach Izabeli Kastylijskiej, a odrzutowe karawele pędzą w kierunku nowego świata – świata planet.

Przeznaczeniem człowieka nie jest kopanie własnego grobu, ale podróżowanie poza wszelkie granice i podtrzymywanie prehistorycznych tradycji naszych odległych przodków, niezmordowanie wędrujących w pogoni za Słońcem.

Wszystkie wielkie wędrówki, inwazja i masowe ucieczki odbywały się wzdłuż rytualnej osi wschód–zachód zgodnie z ruchem Słońca. Wielbiciele paradoksu mogliby z pewną dozą prawdy uznać, że Zachód jest biegunem magnetycznym naszego globu!

Znieruchomiałej od siedemnastego wieku ludzkości udało się jednak zbudować pojazdy własnej emancypacji, aby zdecydowanie podążać po nieznanych drogach i przemierzać tajemnicze morza.

Szlak ze wschodu na zachód został już wytyczony, oznakowany, wyodrębniony, pomierzony i scharakteryzowany, a wynurzony z wód ziemski świat – od La Rochelle do Tokio, od Thule po Wyspy Kerguelena – nie może już zaproponować najmniejszego kretowiska, którego wysokość, obwód i ciężar właściwy nie byłyby znane.

Przygoda na powierzchni globu, unicestwiona przez żeglarzy, eksploratorów, geofizyków, zniszczona przez samochód, żaglowce transoceaniczne i pomniejsze jachty, musi zmienić azymut, sięgnąć do innego wymiaru – wspiąć się wzwyż, zstąpić w głąb albo też zniknąć.

Przygoda popycha człowieka na Księżyc, w kierunku Marsa, Wenus i Słońca lub każe mu sięgnąć do ostatnich nie naruszonych stref skorupy ziemskiej.

A konkwistadorzy jednej i drugiej trasy przywdziewają takie same szaty: kombinezon z syntetycznych substancji i hełm z aparaturą oddechową, by poruszać się na wysokości miliona kilometrów w przestrzeni międzygwiezdnej czy też w dziesięciokilometrowej oceanicznej głębi.

Konieczny jest wybór między planetarnym Eldorado dalekich światów zewnętrznych a bliskim wnętrzem marynarskich cmentarzy, kopalń szmaragdów i rubinów, skrytek zawierających szkatułki pełne złota, ukrytych w starych murach, w podziemiach i w kurzu, liczącym sobie wiele tysięcy lat.

Poszukiwacz skarbów postanowił stawić czoła nieznanemu, odgadnąć to, co cudowne, spenetrować nietknięte dziedziny i skoncentrować się na trzecim wymiarze – w głąb. Nie używa jednak w tym celu zawodowego arsenału okultystów: czarodziejskiej różdżki, zaklęć, korzenia mandragory[1]. Wiedza oddała mu do dyspozycji czarnoksiężników na tranzystorach, a elektronika igra ze starymi, wystraszonymi magami.

Ali Baba mówił: – Sezamie, otwórz się!

Dziś ze słuchawkami na uszach, manipulując przy miliamperometrze i echosondzie poszukiwacz skarbów zmaga się z tajemnicą rzeczy nieprzeniknionych i rozświetla mroki zgęszczonej materii.

Wspaniała przygoda odradza się więc: nie wszystko jest opisane, pomierzone i wynalezione, to, co „wewnątrz“, wciąż pozostaje nie naruszone. Wciąż coś tkwi w murach, w ziemi, w morzach.

I ziemia, i morze, cała kula ziemska naszpikowana jest skarbami, które odkrywane są – na małą skalę – niemal co dnia: a to skauci z Saint-Wandrille wyciągają z muru pięćset sztuk złota, a to dwaj robotnicy w Chelles, jakiś grabarz w Thiais czy dzieci z Fontenay odnajdują wielki ukryty skarb, składający się z luidorów i diamentów...

---

[1] Bylina śródziemnomorska, której korzeniowi, przypominającemu ludzką sylwetkę, przypisywano cudowne właściwości.

Skarby? Depczemy po nich całymi dniami, a nasz wzrok przebiega po skrytkach, nie odkrywając, na szczęście, ich zawartości!

Iluż to ludzi spoglądało setki razy na konny posąg Henryka IV z Pont-Neuf w Paryżu? Otóż, w tylnej nodze konia tkwił niewielki skarb, umieszczony tam w 1816 roku przez rzeźbiarza Lemota. Diamenty pani du Barry były rozsiane między korzeniami wiosennych margerytek w parku Sceaux; w Mans, na placu Etoile, tysiące zacnych mieszczan od stu sześćdziesięciu lat deptało po 100 milionach talarów z dawnego klasztoru urszulanek; w Charroux (Vienne) tysiąc mieszkańców miasteczka przechowywało butelki ze starym winem o parę centymetrów od siedemdziesięciu jeden skarbów, ukrytych w 1569 roku; w Lille, w kościele Notre-Dame-de-la-Treille, mszę odprawiano na skarbach zaginionych po splądrowaniu miasta przez Filipa Augusta; w Lionie setki skarbów, ukrytych w piwnicach, czekają na ewentualnych odkrywców; w Provins złoto spoczywa w kilometrach korytarzy podziemnych; w Rouen, w starych domach, których dni są już policzone, skarby drżą z niepokoju; gdzieś w Marsylii ukryta została biżuteria aktorki Gaby Deslys; w Montauban skarb ukryty jest pod dawnym zamkiem; w Poitiers – zamurowany w murach obronnych, a jego zwiastuny wskazać mogą drogę tylko wtajemniczonym; w Cassel, w Bavey, La Rochelle, Bordeaux, Perpignan, Nicei, Gisors kasetki i kufry znajdują się po prostu w ziemi, na głębokości kilku stóp; w Château-Gontier w Mayenne sterczący głaz zaznacza wejście do krypty z klejnotami; w Rennes-le-Château miliardy Bérangera Sauniâre'a ukryte są w grobie; w Crain relikwiarz świętego Germana został schowany gdzieś w ogrodzie; wreszcie w Walonii, Flandrii, Artois, Pikardii... w maju 1940 roku miliony niemieckich butów wojskowych cynicznie tratowało niezliczone skarby, zakopane przez masy uciekinierów, opuszczających swe domostwa poprzedniego dnia.

A skarby mórz? Jest ich jeszcze więcej niż w ziemi i jeśli wierzyć przekazom, usłane są nimi Karaiby, Cieśnina Bassa, zatoka Table, wybrzeża Chile oraz Francji...

Międzynarodowy Klub Poszukiwaczy Skarbów gromadzi w dużej mierze unikalną dokumentację.

W ciągu dwudziestu lat biblioteki narodowe największych państw zostały opodatkowane na rzecz skarbów. Mapy i plany zakupiono głównie w Ameryce albo przywieźli je członkowie Klubu z wypraw.

Jeśli chodzi o skarby Francji, to cztery lata poszukiwań za pośrednictwem wysokonakładowej prasy, pod hasłem „Polowanie na skarby", przyniosły w latach 1951–1955 taką ilość korespondencji, że zarejestrowano 15 tysięcy miejsc prawdopodobnego ukrycia.

Trzeba przyznać, że na 15 tysięcy ponad 14 tysięcy wiąże się po prostu z istniejącą tradycją, legendami, często malowniczymi, jednak o niemożliwych do potwierdzenia podstawach.

Najtrudniejsze okazało się sporządzenie fotograficznej kartoteki, zawierającej ostatecznie trzy tysiące zdjęć, planów, klisz drukarskich i rysunków. Programy radiowe także przyniosły obfite żniwo – Klub może się poszczycić posiadaniem zbioru prawie wszystkich najważniejszych opowieści o skarbach na naszym globie, nie licząc kilku skarbów... tajemnych, o których informacje – co się rozumie samo przez się – nie mogą być rozpowszechniane!

Klub skupia poszukiwaczy wysokich lotów, wielkich podróżników, takich jak: kapitan Tony Mangel, przeciwnik Malcolma Campbella i Franklina Roosevelta na Kokosowej Wyspie; Floren i Mireille Ramaugé – specjaliści od zatoki Vige; Jean Albert Foëx – szef ekspedycji Jonasa na Morze Czerwone; pani de Gracia – kryptolog; Denise Carvenne, Simone Guerbette, Lucienne Lenoir, Pierre Lenoir – klubowy elektronik; zuchwały pirat tajlandzki – Alberto Lazaroo i inny jeszcze pirat, którego niezwykła osobowość dominuje w przygodzie naszych czasów, Henry de Monfreid – honorowy prezydent Klubu.

A jak wyobrażacie sobie poszukiwacza skarbów?

Poszukiwacza skarbów – miłośnika przygody, przeciwnika drobnomieszczańskich ograniczeń i codziennej monotonii, użytkownika batyskafu i elektronicznego detektora – dręczy delikatny kompleks. Ze względu na ducha naukowości i awanturnictwa należy on do następców Marco Polo, Kolumbów, Pizonów, Gabrali. Ze względów estetycznych zaciekle odrzuca wiedzą empiryczną i demoniczną, demagogię betonu i buildingu, plastikowej szkatułki, syntetycznego diamentu, planowania rolniczego i normalizacji na siłę.

Jest przywiązany do tradycji, odmawia zatem plucia na groby swych przodków.

Ma, być może, nawet zastrzeżenia do podróży międzyplanetarnych i jest z pewnością reakcjonistą w stosunku do aktualnej formuły politycznej, do błędnych dróg postępu i systematycznie narastającej szpetoty egzystencji.

Te paradoksalne troski i ucieczka od świata, które częściowo potępia, kazały mu wybrać przygodę ze skarbami i w wehikule czasu kurs na przeszłość.

Często nawet odmowa jest bardziej znamienna i czasem badacz bardziej utożsamia się z przeszłością, protestując w ten sposób przeciw niebezpiecznym i szaleńczym rewolucjom współczesnego świata, który zmierzając ku bezosobowości, rządy na planecie pragnie powierzyć elektronicznym maszynom.

Człowiek XX wieku jest dumny ze swej wiedzy i najwyższego racjonalizmu.

Wykuwa – z pewnością w dobrej wierze – świeckie i przymusowe szczęście mas, systematycznie oznaczające każdą najmniejszą odrobinę na ziemi, kolonizując Kosmos, naukowo objaśniając materię i kreację. Zapowiada cuda bardziej zdumiewające niż dokonywane za pomocą pierścienia Gygesa[1], panaceum, kamienia filozoficznego – i wszystkie one mają szanse na spełnienie.

Poszukiwacz skarbów nie wierzy jednak w nowych czarnoksiężników, w filozofię stepów, których bezkres chciałby pochłonąć wymiar właściwy – przedawniony, zużyty, wiekuisty, należący do znanego nam świata.

---

[1] Pierścień Gygesa, pasterza lidyjskiego, czyni niewidzialną osobę noszącą go na palcu.

Nie wierzy w urodę buildingów, wątpi w skuteczność rakiet i energii atomowej, w moralność nowych instytucji i zasiłki rodzinne, w nadzwyczajne odkrycia betatronów[1] i resztki tego zwodniczego atomu, który odzieramy bezczelnie ze skóry.

Wszystko bowiem wskazuje na to, że chcemy dać bezwzględne pierwszeństwo absurdalnym rozkoszom intelektu, podczas gdy nasz brat – ciało – staje dęba jak koń wypuszczony na arenę.

W obliczu apokaliptycznej wizji świata poszukiwacz skarbów odmawia współpracy. Nie z tchórzostwa, ale jako istota szlachetna, odczuwająca wstręt do nieczystych interesów i walki na pięści *catch as catch can*[2].

To punkt widzenia, postawa, upór. A także wytłumaczenie swoistości tkwiącej w badaczu: „tak" – dla pewnego naukowego racjonalizmu... i formalne „nie" – dla zdeprawowanej nauki oraz cuchnącej ewolucji.

To pewne: wynik walki między karawelą odrzutową i karawelą żaglową nie pozostawia wątpliwości. Nieważne: lepiej umrzeć żyjąc niż żyć będąc martwym.

Dla poszukiwaczy skarbów żyć to wyrazić zgodę na przygodę, w której oprócz innych iluzji, połyskują rubiny, diamenty, szmaragdy, topazy, ametysty, oszlifowane klejnoty, herbowe nakrycia stołowe, pierścienie, bransolety i torques[3], dukaty, ludwiki i piastry!

Jest to życie dla radości z ewentualnego odkrycia, miłości do tego, co fantastyczne, dla chwili silnego przeżycia... dla sztuki zanurzania palców w żywej wodzie szlachetnych kamieni, by przystroić swą piękną ukochaną w najpyszniejsze legendarne klejnoty!

Nie, nie mylicie się: czasami warto być szalonym, a mądrość nie oznacza bynajmniej drobnomieszczańskiego poczucia bezpieczeństwa ani naukowej spekulacji. Najważniejsze, by nie ulegać takiemu samemu szaleństwu jak wszyscy!

---

[1] Akcelerator indukcyjny w fizyce nuklearnej.

[2] Wolne zapasy (walka amerykańska).

[3] Metalowe naszyjniki, noszone przez mieszkańców Galii i żołnierzy rzymskich.

Trudno wam będzie uwierzyć, ale taka jest najgłębsza prawda poszukiwacza skarbów: on zdobył fortunę, nim jeszcze udało mu się odszukać skrytkę.

CZARODZIEJSKA PRZYGODA

Istnieją słowa magiczne, których nie można wymawiać bez wzbudzenia namiętnej ciekawości.

Wystarczy wyszeptać gdzieś na Bliskim Wschodzie słowo „nafta", „złoto" na Alasce, „woda" na pustyni, „sardana"[1] w Katalonii, by wyciągnęły się uszy, a zainteresowanie otoczenia sięgnęło zenitu.

Niegdyś inne magiczne słowa przeżywały swe wielkie dni: „Graal", „orwietan"[2], „Brazylia", a ich aureola ściemniała i z czasem zatarła się. Taki los stanie się pewnego dnia udziałem złota, ropy naftowej i sardany.

Można jednak spodziewać się, że niezależnie od szerokości geograficznej i epoki, jedno słowo pozostanie na zawsze magiczne i nie sposób wyobrazić sobie sytuacji, która mogłaby przytłumić jego rezonans: to *skarb*. Spróbujcie je wypowiedzieć, zwłaszcza półgłosem, w jakimkolwiek miejscu, a ujrzycie płomyczek zapalający się we wszystkich oczach i głowy odwracające się w waszą stronę.

To diabelskie słowo ma prawdziwą magiczną moc, równie silną w każdym języku.

Włosi mówią *tesoro*, Hiszpanie – *tesoro*, Niemcy – *schatz*, Anglicy – *treasure*, Francuzi – *trésor*. Niezależnie od wszelkiej właściwej etymologii, to czarodziejskie słowo iskrzy się, tańczy jak błędny ognik, wyłania się z ziemi i fal morskich, gorące jak ogień, drogocennie złociste, objawiające się z całą zuchwałością i przyciągające brzmieniem jak głos dzwonów z rzadkiego metalu, jak brzęk ludwików i dukatów. Prawdziwe czary; niemal diabelska sprawa!

---

[1] Taniec kataloński.

[2] Uniwersalne lekarstwo.

Z każdego skarbu emanuje pewien rodzaj tajemnej siły obronnej, której przełamywanie upaja, magii, której wpływ akceptujemy, a rozkoszne zepsucie jego wpływem wtłacza nam do żył odrobinę zbyt gorącej krwi piratów, napadających niegdyś na złote floty i warowne mury feudalnych zamczysk.

Nikt nie potrafi ustrzec swej duszy.

Oto dlaczego poszukiwacze, słusznie czy niesłusznie, sądzą, że każdego skarbu strzeże diabeł i że każdemu odkrywcy kryjówki zagraża przekleństwo!

Czy nie zastanawiacie się przypadkiem, czy te skarby, składające się z drogocennych kamieni, sztuk złota i srebra, mogą istnieć gdzie indziej poza wyobraźnią?

Oczywiście, udawało się wydobywać je na światło dzienne, musi ich być, oczywiście, jeszcze trochę, ale czy przypadkiem ich istnienie nie jest sprawą równie rzadką jak odkrywanie?

Nie można podważać faktu, że w miarę upływu wieków miliony osób ukrywało swe fortuny – wielkie lub małe – i że pewna liczba ukrywających zmarła nie odzyskując ich i nie ujawniając nikomu miejsca skrytki. Zdarzało się nawet, że całe zbiorowości były unicestwiane nie pozostawiając nikogo przy życiu, podobnie jak było to w przypadku Czerwonych Dziewic Wlasty.

Wlasta, według różnych ocen, była albo bohaterką, albo buntownicą czeską żyjącą w ósmym wieku. Była piękna, inteligentna i nadzwyczaj zręcznie posługiwała się bronią, jednak miała oczywiste dziwactwo – odczuwała gwałtowny wstręt do mężczyzn.

Te cechy zwróciły na nią uwagę Libuszy – założycielki Pragi, która mimo małżeństwa z Przemysławem, księciem

Bohemii, sama była prawdziwą amazonką o wielu męskich cechach.

Wlasta objęła komendę nad królewską gwardią przyboczną, składającą się wyłącznie z kobiet.

Po śmierci królowej Wlasta odmówiła podporządkowania się królowi i na czele swych wojowniczek umocniła się w fortecy na górze Widowle. Kiedy książę wysłał emisariusza, mającego wysłuchać jej racji, młoda buntowniczka kazała go wykastrować i odesłać Przemysławowi.

Tymczasem napływało do niej wiele młodych kobiet ochotniczek i wkrótce miała pod komendą prawdziwą armię.

Opuściła górę Widowle i obrała za swą kwaterę główną zamek obronny, nazwany Diewin (Zamek Dziewcząt).

Na czele wojowniczek Wlasta rabowała kraj, ściągała podatki łupiąc miasta i wsie, wymierzając swą sprawiedliwość, w dużej mierze skierowaną przeciwko mężczyznom.

Bywało, że – by dobitnie zaznaczyć pogardę dla rodzaju męskiego – wjeżdżała do miast w towarzystwie kilku zaledwie dziewcząt na koniach – wszystkie całkowicie nagie, ale uzbrojone w miecz i tarczę. I biada temu, kto ośmielił się podnieść wzrok na ich nagość!

Książę Przemysław wielokrotnie wysyłał przeciwko buntownicom oddziały wiernych rycerzy, które dziewczyny rozbijały w puch, a każdy ranny lub wzięty do niewoli skazany był nieodwołalnie na śmierć.

Wlasta, panując niepodzielnie nad krainą, narzuciła jej prawo, którego niektóre artykuły, zapisane przez kronikarzy, warto zacytować:

– Zabrania się mężczyznom, pod karą śmierci, noszenia broni.

– Mężczyźni, pod karą śmierci, muszą dosiadać konia bokiem, z obydwiema nogami po lewej stronie siodła.

– Mężczyźni mają uprawiać ziemię, zajmować się handlem, gotować posiłki, szyć ubrania. Zajęciem kobiet jest wojna.

– Kobiety wybierają sobie męża. Mężczyzna, który odmówiłby respektowania wyboru, skazany będzie na śmierć.

Mówiąc najdelikatniej, orzeczenia pięknej Wlasty nie były łagodne!

W końcu król Bohemii stwierdził, że żarty trwały zbyt długo, i w 46 roku najechał znienacka Widowle ze swymi oddziałami – około stu amazonek zostało wyciętych tam w pień.

Kiedy Wlasta, przebywająca w Diewinie, dowiedziała się o nieszczęściu, własnoręcznie poderżnęła gardła dwudziestu czterem więźniom i wszystkimi siłami uderzyła na napastnika.

Powiadają, że Czerwona Dziewica odrzuciła tarczę, zrzuciła ubranie i całkiem naga, z gołym mieczem rzuciła się w największy wir walki. Wszystkie amazonki z Diewina zginęły, żadna nie chciała się poddać.

Przed tą ostatnią wyprawą Wlasta ukryła w twierdzy skarbiec swej armii, zawierający monety złote i srebrne oraz przetopione klejnoty, w które okrutne dziewice nie chciały się przystrajać.

Skarbiec nie został odnaleziony i bez wątpienia nigdy nie będzie, lecz jego istnienie wydaje się bardzo prawdopodobne.

Pozostając przy temacie skarbów należących do zdziesiątkowanych zbiorowości, można zaryzykować twierdzenie, że w 1940 roku, w czasie niemieckiej inwazji i masowego exodusu Belgów i Francuzów w kierunku Sekwany i Loary, dwa do czterech milionów skarbów ukryto w Walonii, Flandrii, Artois i Pikardii. Miliony osób bowiem, uciekając przed wojną, zabrało ze sobą – przynajmniej w części – swe zasoby pieniężne, troszcząc się jednak wcześniej o ukrycie, zakopanie lub zamurowanie cennych przedmiotów, zabranie których mogło być nieostrożnością lub przeszkodą w ucieczce: serwisów i ciężkich przedmiotów z brązu, cyny, miedzi lub srebra, dzieł sztuki, płócien mistrzów, broni starej i nowoczesnej, a nawet sztabek złota i złotych monet.

Jeśli uciekających było trzy miliony, pozostało prawdopodobnie trzy miliony skarbów, schowanych w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przed ucieczką.

Niestety! Ci, którzy uszli, nie wrócili do domów po działaniach wojennych, a są świadkowie pamiętający o całych rodzinach wybitych w Amiens czy na drogach nad Somą, które pozostawiły w swych włościach tyleż ukrytych bezpańskich skarbów bez widocznego oznakowania.

Także w 1940 i 1941 roku tysiące Izraelitów, przed deportacją, poukrywało w piwnicach Paryża ogromne skarby, których przeważająca ilość jest wciąż nietknięta i nieznana.

Któż mógłby zaprzeczyć realnemu istnieniu skarbów roku 1940?

W 1945 roku w Niemczech i we Włoszech przerażenie skutkami przegranej wojny wywołało taką samą reakcję ludzi bogatych i nieszczęśników posiadających jakieś dobra.

To, co wydarzyło się w czasie ostatniej wojny, odnosi się także do roku 1914 i wszystkich wojen, obficie występujących w historii ludzkości.

Nie powiedzieliśmy jeszcze nic o skarbach pogrążonych w morzach.

O tych we wrakach, którymi dna oceanów są dosłownie usłane jak lądowe szlaki komunikacyjne słupkami przydrożnymi. Już sama oficjalna statystyka daje pogląd na tę zatopioną obfitość. Statystyka francuskiego Ministerstwa Marynarki, mieszczącego się w Paryżu przy Avenue Octave-Gréard, podaje, że każdego roku u wybrzeży Francji tonie od 350 do 500 statków pod trójkolorową banderą!

Czyż nie jest to nieoczekiwane i zaskakujące?

A przecież każdemu lub prawie każdemu zatonięciu odpowiada jeden skarb, nawet wtedy gdy w grę wchodzi trawler rybacki czy szkuner z Nowej Ziemi lub Islandii, ponieważ kasa na statku zawiera zawsze pewną ilość gotówki.

Nie trzeba nawet przypominać ciężkich hiszpańskich galeonów złotej floty i wielkich statków linii handlowych, by łatwo wykazać oczywistość istnienia niezliczonych skarbów ukrytych bądź niedostępnych.

Co roku prasa ujawnia około setki niespodziewanych znalezisk: a to jakiś przedsiębiorca rozbierając stary mur natrafia na ukryty skarb, a to grabarz wykopuje gliniane dzbany i szkatułki wypełnione luidorami czy też dzieci znajdują skarb w jakimś domu...

W historii „skarbowości“ największym i najbardziej sensacyjnym było odkrycie Williama Phipsa, patrona wszystkich poszukiwaczy skarbów.

Phips, Amerykanin z Bostonu, w 1686 roku na Srebrnej Mieliźnie na Morzu Karaibskim odkrył wrak galeonu, uważanego za statek „Nuestra Señora de la Conception“: udało mu się wydobyć dwieście tysięcy funtów szterlingów, został za to pasowany na rycerza przez króla Anglii i umarł w dobrobycie, przekazując swą fortunę po śmierci na rzecz potrzebujących.

Jednak „Nuestra Señora de la Conception“ wciąż jeszcze spoczywa na dnie na 163 francuskiej mili w kierunku nord-nord-est od Puerto Plata (Republika Dominikańska) i na 98 mili w kierunku nord-est od wysp Turques, a więc w przybliżeniu na 21°30' szerokości geograficznej północnej i 0°28' długości geograficznej zachodniej, na mieliźnie z piasku i koralowca i na głębokości 10–20 sążni.

Z powodu skarbów tam zatopionych miejsce to, obfitujące w podwodne rafy, nazwane zostało właśnie Srebrną Mielizną.

Morze Karaibskie ze swymi tysiącami naw, galeonów, fregat, okrętów zatopionych lub zatoniętych od odkrycia Ameryki jest rajem skarbów podmorskich.

Trzeba jeszcze wspomnieć poza tym o zatoce Table u Przylądka Dobrej Nadziei, gdzie spoczywają setki szkunerów, w większości holenderskich, o Morzu Żółtym, straszliwej cieśninie Bass, wybrzeżu Chile, Peru, Wenezueli i Brazylii poznaczonych „treasure ships“, o wybrzeżach Hiszpanii, Anglii i południowych Stanów USA.

Jeśli chodzi o skarby ziemne, Francja jest w sytuacji uprzywilejowanej z powodu templariuszy, wojen religijnych, a szczególnie rewolucji 1789 roku.

O wielu nic powszechnie nie wiadomo z wyjątkiem najsłynniejszych, jak: Rennes-le-Château, Argelès, Arginy, skarb Katarów w Montségur (którego tam z pewnością nie ma!), siedemdziesiąt pięć skarbów opactwa Charroux w departamencie Vienne, skarb pani de Crain w Yonne, w Die, „Télémaque“ w Quilleboeuf i skarby bardziej wątpliwe z Confiance w Wandei, Rommla na Korsyce, skarby Neapolu, Mandrin, Meluzyny w Lusignan, Gisors...

Wśród światowych centrów skarbów ziemnych na pierwszym miejscu znajduje się Peru z autentycznymi skarbami Inków, Anglia, Boliwia, Argentyna ze skarbami z okresu wojen niepodległościowych, Meksyk ze skarbami Majów i Azteków, Północna Afryka naszpikowana legendarnymi klejnotami w skrytkach chronionych za pomocą przekleństw, czarnych psów, olbrzymów.

Hiszpania, Włochy, Niemcy z bajecznymi skarbami wojennymi, Indie, Stany Zjednoczone na całej trasie Starego Szlaku Hiszpańskiego od Nowego Orleanu do Frisco...

No i wreszcie skarby na wyspach, gdzie spoczywają baryłki klejnotów, dublonów[1] i innych monet, należące do piratów, korsarzy, rozbójników oraz Braci Wybrzeża[2].

---

[1] Dawna złota moneta hiszpańska, podwójny dukat.

[2] Korsarze i piraci grasujący na morzach Ameryki Łacińskiej w XVII i XVIII wieku.

SKARBY STAROŻYTNE

Kiedy pierwsi ludzie wpadli na pomysł ukrywania skarbów, które chcieli uchronić przed pożądliwością współczesnych, nie podejrzewali nawet, że przygotowują grunt dla największych znalezisk tysiącleci.

Pierwszego ukrycia dokonał człowiek prehistoryczny, a skarb zawierał groty strzał, haczyki do łowienia ryb, groty włóczni albo malowidła, rzeźby lub też produkty spożywcze. Odkryto wiele prehistorycznych skrytek: w Ayez, Baron (departament Indre-et-Loire) odnaleziono wspaniałe krzemienne „noże", które można podziwiać w muzeum w Grand-Pressigny.

Istniały również skrytki zawierające prawdopodobnie ówczesne środki płatnicze – muszle, obrobione kości, kły zwierząt itp., a wskazuje na to przede wszystkim wspaniałe znalezisko w cudownej grocie w Montignac-Lescaux, w Dordogne, będącej czymś na kształt prehistorycznego Luwru. Świadczy ona, że piętnaście, trzydzieści tysięcy lat przed naszą erą wśród mieszkańców terenów dzisiejszej Francji sztuka cieszyła się wielkim poważaniem i że posiadali oni cywilizację, której rozległość możemy jedynie podejrzewać.

Znaczenie ukrytych skarbów zawiera się nie tyle w naturze składowiska, ile w samym fakcie gromadzenia, który ni mniej, ni więcej — zdeterminował narodziny rolnictwa.

Tak więc, prawdopodobnie około roku trzydziestotysięcznego przed naszą erą człowiekowi przyszło do głowy zakopać w jakiejś jamie, na zewnątrz jaskini, jesienne zbiory owoców i zbóż, by utworzyć coś w rodzaju silosa. Ten skarbiec, bo kryjówka była nim przecież, stał się w chwili odkopania źródłem gorzkiego rozczarowania; wszystko w niej zgniło lub zakiełkowało i nie nadawało się do konsumpcji.

Jednak po wielu następnych tego rodzaju próbach człowiek prehistoryczny zauważył, że zakopane ziarna rodzą roślinność bujniejszą i silniejszą od rosnącej dziko.

Podobnego spostrzeżenia musiał dokonać i w przypadku kryjówek dla przedmiotów innego rodzaju. Jednak ze względu na stosunek przyczyn do skutków zjawisko daje się wytłumaczyć racjonalnie: tam gdzie ziemia została zdrapana i spulchniona, roślinność rozwijała się lepiej.

Tak oto narodziło się rolnictwo! Zrodzone zostało z kryjówki, zakopanej zdobyczy i poruszonej ziemi. Początek dało mu także grzebanie zmarłych i ofiar składanych na spulchnionej ziemi.

Skarby, którymi interesujemy się najbardziej, nie pochodzą z czasów prehistorycznych. Nadając słowu „skarb“ sens ograniczający się do przedmiotów wartościowych, takich jak monety, klejnoty i szlachetne kamienie, nie możemy naszą chronologią sięgać głębiej, niż trwa era chrześcijańska. Zresztą monety, stanowiące pewien typ skarbów, pojawiły się, jak się wydaje, w istotnej ilości zupełnie niedawno, a więc wraz z Hebrajczykami, Grekami i Chińczykami.

Zdaniem André Fourgeanda, specjalisty w tej dziedzinie, pierwszą monetą był egipski „kot“ (w czasach Ramzesa II, trzy tysiące trzysta lat temu), odpowiadający umownemu ciężarowi złota, srebra lub miedzi. Moneta ta, będąc pieniądzem umownym, ułatwiającym liczenie, nigdy nie istniała materialnie.

Pierwszy pieniądz obiegowy został wybity około VII wieku przed Chrystusem. Wykonywany był głównie z żelaza. Na pięćset lat przed Chrystusem używano do tego celu brązu; na dwieście – srebra; wreszcie pojawił się pieniądz złoty (rzadko używany) – za panowania Sylli, osiemdziesiąt sześć lat przed nową erą.

Tymczasem stosowano do celów płatniczych najrozmaitsze przedmioty: skórę, porcelanę, ceramikę, szkło, a nawet drewno. U ludów prymitywnych monetą bywały, i trwa to niemal do naszych czasów, rzeczy jeszcze dziwniejsze, ale nie mniej logiczne: muszle, delikatne tkaniny, zęby wieloryba, tygrysa, kotów, miarki prosa itp...

Ciekawą sprawą jest także to, że we wszystkich krajach świata pierwsze monety nawiązują zawsze do magii. Pieniądze hebrajskie zawierały symbole religijne i okultystyczne, greckie – sowę, żółwia, pentagram[1], monety chińskie miały kształt dzwonków i wypukłe wizerunki pokryte magicznymi ideogramami. Ludy prymitywne, a także pierwsze cywilizacje przypisywały monetom moc tchniętą w nie przez właścicieli. Stąd bez wątpienia bierze się wiara w tajemną moc, chroniącą i zachowującą ukryte skarby, w których właściciel zamknął część swej duszy i sił życiowych.

W przedkolumbijskim Peru złoto i srebro, istniejące przecież w obfitości, nie występuje, jak się wydaje, w pieniądzu obiegowym, który stanowią korale z rzadkich materii, używane pojedynczo lub nanizane na nitkę, i muszle o magicznych właściwościach.

Natomiast Toltekowie i Aztekowie używali złotych monet.

O skarbach mówiły najstarsze literatury. Pierwsze, jak się wydaje, wzmianki zachowały się w dokumentach odnalezionych w Qumran nad Morzem Martwym.

W lecie 1947 roku pewien beduiński pasterz z plemienia Ta-amira odkrył w jakiejś grocie w Palestynie dziwne przedmioty: dzbany i grubo owinięte pakunki. Szejk, któremu zaniósł znalezisko, odwinął tkaniny nasączone smołą i woskiem i wydobył jedenaście rulonów ze skóry pokrytej inskrypcjami.

Mnisi z ortodoksyjnego klasztoru świętego Marka zakupili za dwadzieścia funtów szterlingów pięć najlepiej zachowanych zwojów. Pozostałe sześć nabyło Muzeum Starożytności Żydowskich przy Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie.

---

[1] Gwiazda pięcioramienna, dająca się narysować pięcioma liniami bez odrywania ołówka, w starożytności i średniowieczu figura magiczna, używana przeciw złym mocom.

Archeolog z tego Uniwersytetu, profesor Sukienik, rozpoczął rozszyfrowywanie zwojów, którymi dysponował, i otrzymał pozwolenie na skopiowanie dokumentów zakupionych przez mnichów.

Wkrótce cały świat, poruszony odkryciem, obiegła wieść: dokumenty odnalezione na pustyni judejskiej okazały się hebrajskimi manuskryptami, pochodzącymi prawdopodobnie z epoki machabejskiej, a więc z okresu około dwóch wieków przed naszą erą. Tekst zapisany został alfabetem hebrajskim typu Lâkich.

Beduin, który dokonał odkrycia, gdzieś się zawieruszył, ale grotę odnaleziono dwanaście kilometrów na południe od Jerycha w kamienistej okolicy, rozciągającej się nad brzegiem Morza Martwego, dwa kilometry na zachód od wybrzeża, w regionie Qumran.

Odnaleziono nowe zwoje, za które nie żądano już dwudziestu funtów. Ich wartość oceniono na wiele milionów dolarów.

Tłumacze ze zdumieniem odnajdywali w manuskryptach wskazówki dotyczące sześćdziesięciu skrytek, w których miały być zakopane bajeczne skarby. Przypuszcza się, że grota Qumran była miejscem, w którym mnisi z klasztoru esseńskiego[1], prawdopodobnie w czasie oblężenia Jerozolimy przez Tytusa, złożyli swą bibliotekę i skarby klasztoru, te ostatnie bez wątpienia splądrowane w ciągu wieków.

Sześćdziesiąt skrytek ze skarbami miało zawierać jakieś dwieście ton złota i srebra (dwadzieścia milionów dolarów), zamkniętych w kufrach i zakopanych na głębokości osiemnastu metrów! Ta wielkość była chyba znacznie przesadzona.

Skrytki zostały rozmieszczone między Naplus (dawne Sichem), El-Khalil (dawny Hebron) i górą Gerzim.

---

[1] Esseńczycy – żydowskie ugrupowanie religijne rozwijające się od 150 r. p.n.e. do 70 r. n.e. w Palestynie; łączyli judaizm z zoroastryzmem i pitagoreizmem, tworzyli komuny utrzymujące się z pracy rąk, uprawiali surową ascezę.

Wiele państw i religijnych zgromadzeń zgłaszało swoje prawa do tych ewentualnych skarbów: Żydzi, Arabowie, prawosławni, katolicy, Amerykanie i Izrael... a także Anglia, która w czasie odkrycia sprawowała jeszcze mandat nad Palestyną!

Stroną legislacyjną skarbów zajął się dwadzieścia trzy wieki temu Platon w dialogu *Prawa*; Arystoteles w *Traktacie o polityce* pisał, że skarb powinien należeć do tego, kto go znalazł. Opisał historię dwóch braci Greków, którzy znaleźli duży skarb, zakopany z obawy przed najazdem Persów. Arystoteles, dla którego logiki i mądrości jesteśmy pełni podziwu, uważa, że skarb jest darem losu, „gratką", przejawem łaski bogów, a więc powinien w całości przypaść odkrywcy.

Ukryte skarby, których ilości na ziemi sięgają setek tysięcy, mają najróżniejsze pochodzenie. Bardzo często są nimi łupy dawnych piratów, korsarzy i rozbójników. Można wysnuć wniosek o mimowolnym współudziale złodziei i odkrywców, tyle że ci ostatni korzystają legalnie z przestępstw popełnionych w minionych czasach.

Jednak czas udaje świętoszka i potrafi z największą swobodą zacierać winy.

Po dziesięciu latach zabójca przestaje być zabójcą! Kradzież ulega po pewnym okresie przedawnieniu, a ukrywanie zrabowanych rzeczy po kilku latach przestaje być przestępstwem.

Można by długo debatować nad tym zadziwiającym prawodawstwem i nad elastycznością ludzkiej koncepcji wątpliwości.

Wychodząc od spisu sześciuset największych skarbów, ustaliliśmy ich klasyfikację według pochodzenia:

Skarby artystyczne	1
Skarby osobliwości	1
Skarby ukryte w grobach	3
Skarby nie zidentyfikowane w ruinach	5
Skarby religijne	10
Skarby książęce	13
Skarby poszukiwaczy złota	14

Skarby wojenne	20
Skarby templariuszy	25
Skarby powstałe w czasie masowych ucieczek, rewolucji i uchodźstwa	26
Skarby czysto legendarne	31
Skarby zapisane w testamentach, nie odnalezione	26
Skarby pochodzące z rabunku (piraci i złodzieje)	45
Skarby znane dzięki tradycji, ale niesprawdzalne	130
Skarby zatopione w morzach	250
Ogółem	600

Do najstarszych znanych z historii poszukiwaczy skarbów należą z pewnością rabusie grobów.

Niegdyś król, książę czy faraon, opuszczając ten świat, by mógł prowadzić w zaświatach swoje drugie życie, musiał być pochowany wraz z wystawnymi strojami, bronią, ulubionymi bibelotami i częścią majątku. Groby stawały się więc prawdziwymi skarbcami, obfitującymi w drogocenne przedmioty. To było powodem zabiegów, mających na celu uczynienie grobu niedostępnym dla złodziei.

Tak narodziły się, także zresztą z innych powodów, mniej ezoterycznych, piramidy egipskie, dalekowschodnie tumulusy[1], grobowce podziemne i rozmaite grobowce pomniki starożytności.

Zmarli niższego stanu mieli prawo do krypty lub zwykłego grobu, który zawierał jednak nie mniej prawdziwych skarbów, złożonych w trumnie wraz ze zwłokami. W ciągu wieków miało co kusić całe hordy złodziei, a potem jeszcze liczniejsze armie archeologów i historyków.

Jest pewne, że grobowi rabusie więcej zniszczyli starożytnych pomników niż tysiące lat naturalnej erozji i wojen.

Większość podziemnych grobów Egiptu, Grecji i Rzymu, grobowce Etrusków i rzymskich kondotierów zostały w ciągu wieków całkowicie obrabowane.

---

[1] Tumulus – sztucznie usypany kopiec, zwłaszcza kryjący starożytny lub prehistoryczny grób.

W Afryce Północnej było tak samo i na przykład słynny Grobowiec Chrześcijanki w pobliżu Algieru był wielokrotnie nachodzony, jak się wydaje zresztą, na próżno.

Najbardziej godnych pożałowania profanacji dokonano we wschodniej części Indii Zachodnich w czasie hiszpańskiego podboju.

W Peru wszystkie groby wysokich inkaskich dygnitarzy zostały obłożone, jak mówią kroniki, poważną daniną złota.

Archeolodzy, co prawda w imię nauki, kontynuowali dzieło rabusiów.

Wystarczy wspomnieć odkrycia dokonane przez Henryka Schliemanna w 1873 roku na terenie Troi, w grobie nie zidentyfikowanego władcy; w 1876 roku w przypuszczalnym grobowcu Agamemnona w Mykenach. Odkrycie skarbu i czterdziestu grobowców nekropolii w Dajr al-Bahari w Egipcie nabrało światowego rozgłosu.

Egiptolog Mariette ujawnił liczne skarby grobowe, a w 1922 roku Amerykanin Howart Carter odnalazł ogromne bogactwa i mumię faraona Tutenhamona.

Nie bądźmy niesprawiedliwi wobec archeologów: odkrywając skarby i profanując groby czynili to z naukowej ciekawości, a nie z pobudek merkantylnych. W rzeczywistości ocalili oni, zwłaszcza w Egipcie, skarby o znacznej wartości artystycznej i archeologicznej, które wzbogaciły muzea nie wpadając w ręce złodziei, często przetapiających znaleziska, by móc je spieniężyć. W krajach arabskich we wszystkich okresach poszukiwacze skarbów i grobowi złodzieje tworzyli całe legiony. Dowodem na to jest utworzenie około roku 1090 przed naszą erą, a więc za czasów XX dynastii w Egipcie, posterunków z uzbrojonymi strażnikami królewskich nekropolii.

Inny rodzaj poszukiwaczy, nurkowie, od najdawniejszej starożytności specjalizują się w odzyskiwaniu skarbów pogrążonych w Morzu Śródziemnym.

Scyllis ze Scione i jego córka, urodziwa Cyana, znani byli za czasów Herodota, który odnotował, że ojciec z córką ocalili wielkie bogactwo, zatopione w perskich okrętach w pobliżu gór Pelion.

Od XV wieku hiszpańscy nurkowie byli specjalnie trenowani w wydobywaniu złota i srebra, piastrów i dublonów pogrążonych w galeonach, zatopionych lub rozbitych na niewielkich głębokościach.

Kapitanowie statków przewożących złoto mieli zresztą rozkaz rozładowywania statków na wodach o głębokości dziesięciu – dwudziestu metrów, w miarę możliwości, by ładunek nie wpadł w ręce nieprzyjaciela. To rozporządzenie często respektowano, jak zdarzyło się to generałowi Eygues y Beaumont w Santa Cruz de Ténérife w 1567 roku. Angielski admirał Blake wraz ze znacznie przeważającą liczebnie flotą miał właśnie przejąć panowanie nad Plata Flota, kiedy hiszpański generał wydał rozkaz podłożenia ognia w zbrojowniach siedmiu galeonów, które poszły na dno na głębokości piętnastu metrów.

Blake, także dysponujący ekipą wyspecjalizowanych nurków, nie zaryzykował jednak próby wydobycia złota z wraków w takiej bliskości portu i pod ostrzałem baterii brzegowych.

Rok później Hiszpanom udało się w całkowitym spokoju odzyskać siedem i pół miliona piastrów w złocie z ładunku zawierającego dziewięć milionów.

Kapitan Francesco de Marchi z Bolonii w *Traktacie o architekturze militarnej XVI wieku* pisze o próbie poszukiwania skarbu w jeziorze Nemi w dzwonie do nurkowania, dokonanej przez maestra Gulielma. Rezultatem była jednak tylko niewielka ilość wydobytych cennych przedmiotów.

W 1640 roku Jean Barrié, zwany Pradinem, uzyskał od króla Francji „przywilej wyciągania i połowu z dna morza, za pomocą swego statku lub łodzi zagłębiającej się w wodzie, każdego towaru oraz innych rzeczy w niej znajdujących się".

Pradine nie wzbogacił się zbytnio, udało mu się jednak ekshumować kilka skarbów.

Lioński lekarz, Panthot, w XVII wieku obserwował skuteczne użytkowanie podwodnego dzwonu w porcie Capdaques w Katalonii. Pisał: „Widziałem, jak w 1694 roku w pobliżu portu w Capdaques dokonywano połowu na dwóch statkach wyładowanych piastrami, które osiadły na dnie w pobliżu rafy w trudno dostępnym miejscu. Hiszpanie, którzy panowali nad Capdaques, rozpoczęli kilka lat wcześniej połowy piastrów za pomocą dzwonu. Kiedy Capdaques przeszło w ręce Francuzów, z dużą przyjemnością skutecznie kontynuowaliśmy stosowanie tej maszyny, przy użyciu której wyciągnięto wiele milionów monet sczerniałych, jakby były z żelaza..."

Dzwon do nurkowania wykonany był z drewna, okuty żelaznymi obręczami i obciążony dużymi kulami.

Ta bardzo pouczająca relacja pozwala na przypuszczenie, a nawet na stwierdzenie, że największa część złota z Vigo, zatopiona na niezbyt dużej głębokości, została wydobyta w taki sam sposób i prawdopodobnie za pomocą tego samego dzwonu.

Trudno sobie wyobrazić, by hiszpańscy nurkowie, którzy od XV wieku ocalili tyle drogocennych ładunków z okolic Katalonii, Madery, zatopionych w pobliżu Tarify itp., nie wykorzystali swych talentów ratowniczych – i wyposażenia – na wspaniałych wrakach z Vigo, gdzie spoczywały miliardy złotych i srebrnych monet.

Hipotezę tę potwierdza fakt, że wszystkie galeony wydobyte z mułów Vigo, po klęsce w 1702 roku, ku wielkiemu rozczarowaniu poszukiwaczy okazały się opróżnione.

Prawdopodobnie w mułach na dnie spoczywa jeszcze poważna fortuna, ale można przypuścić, że wszystkie galeony leżące na głębokości nie przekraczającej dwudziestu pięciu, trzydziestu metrów zostały od początku XVIII wieku spenetrowane i obrabowane.

Największymi poszukiwaczami skarbów w naszych czasach są, poza członkami Międzynarodowego Klubu w Paryżu, major Malcolm Campbell, Amerykanie John S. Potter i Harry Rieseberg. Temu ostatniemu udało sią dokonać wielu owocnych nurkowań.

W wyścigach do zatopionych i zakopanych bogactw nie brakowało i kobiet. Od pięknej Cyany aż po nowoczesną baronową de Wagner, heroinę wysp Galapagos, wiele z nich wpisało swe nazwiska na listę przygód. Przede wszystkim należy wspomnieć o baronowej Martine de Beausoleil, szalonej różdżkarce, która wykrywała we Francji całe kopalnie szlachetnych metali i drogocennych kamieni, budząc niechęć radżów z Golkondy i odkrywców Eldorado.

W 1962 roku inny różdżkarz – Jacques Aymar Vernay – zdobył sławę wykrywając źródła, złodziei i skarby w Delfinacie. Jako przebojowy pomocnik liońskiej policji Vernay został wezwany do Paryża przez księcia Bourbon-Condé, u którego dokonano poważnej kradzieży.

Książę, który jednak podejrzewał liońskie oszustwo, wpadł na pomysł poddania radiestety próbie na celowo ukrytych skarbach. W pięciu miejscach ogrodu kazał zakopać złoto, srebro, miedź, kamienie i drewno. Niestety! Magiczna różdżka Aymara Vernaya popełniała błąd za błędem i magik został odesłany do domu, gdzie – jak zapewniają lokalne kroniki – dalej czynił cuda!

Czy znaczy to, że radiestezja jest oszustwem?

Nie można, oczywiście, dawać jej wiary jako nauce, ale jako sztuka czy jasnowidzenie w bardzo rzadkich przypadkach może okazać się skuteczna.

Z całą pewnością można stwierdzić natomiast, że pewne narkotyki halucynogenne mogą wzmagać zdolności jasnowidzenia u niektórych szczególnie uzdolnionych jednostek.

W Afryce i Ameryce Południowej czarownicy podnieceni wywarami z roślin o magicznym działaniu posiadają zdolność podwójnego widzenia i w ten cudowny sposób wykrywają skarby.

W Libanie rośnie kwiat, zwany baahra albo złoty kwiat „dający szczęście do złota każdemu, kto go posiada".

Legenda?

Być może! Ale oto fakty, tak niepokojące, że mieszkańcy Adany (Turcja), którzy w dowód łaski byli przyjmowani w pewnym biurze ze ścianami wyłożonymi od podłogi po sufit złotymi dolarami, funtami szterlingami, ludwikami i piastrami, są w pełni przekonani, że właściciel tego pomieszczenia, bogacz Mohamed Saad H., stał się Bogiem Złota po tym, jak jego ręce dotknęły tajemniczego kwiatu baahra!

Jeszcze dwadzieścia lat wcześniej rodzice Mohameda Saada byli bardzo biednymi ludźmi.

Ojciec, skromny poganiacz mułów, miał dużo kłopotów z zapewnieniem środków utrzymania rodzinie, zajmując się transportem towarów przez doliny Antylibanu.

Jego szczęście objawiło się całkowicie przypadkowo, zamaskowane przygodą, w której nic z początku nie wskazywało, że dzień ten stanie się kamieniem milowym w życiu jego rodziny.

Pewnego dnia mulnik z narażeniem własnego życia wyciągnął z przepaści wodza tajemniczych plemion, żyjących w odosobnieniu w ostępach gór Ansarieh.

Ranny szejk chciał wyrazić mulnikowi swą wdzięczność i wyznaczył mu spotkanie w tym samym miejscu o pełni księżyca w maju.

– Dam ci królewski podarunek – powiedział poważnie.

Prawdę powiedziawszy, ojciec Mohameda Saada nie przywiązywał wielkiej wagi do obietnicy i oczekiwał wyznaczonego terminu bez zbytniej niecierpliwości. Udał się jednak na miejsce spotkania, bo wśród ludzi gór dane słowo jest święte.

Kiedy przybył, księżyc w pełni wschodził od Baalbeku. Szejk już go oczekiwał i razem udali się w drogę, której cel intrygował mulnika.

– Dokąd to mnie prowadzisz? – zapytał.

Odpowiedź była równie tajemnicza jak cel wyprawy:

– Prowadzę cię do miejsca, gdzie rośnie złoty kwiat. Zerwiesz go sam, a potem będziesz mógł żyć dostatnio, pracując mniej niż teraz, z handlu złotem, ponieważ złoto spłynie na ciebie jak wody Nahr-al-Kebir spadają na młyńskie koło.

Mulnik nie ośmielił się wątpić w słowa swego dłużnika, ale żałował, że stawił się na spotkanie, bo droga była długa, noc zimna i czuł już w nogach zmęczenie całego dnia.

Wreszcie przebyli czerwony stok gór na zachód od Oronte i obydwaj, kierując się pod światło księżyca, rozpoczęli poszukiwanie na ziemi maleńkiego kwiatka, który – jak mówi tradycja – rzuca złoty blask.

Wreszcie znaleźli. Był niewiele większy od stokrotki z czterema płaskimi płatkami koloru słomy i pokrytym włoskami środkiem, który promieniał jak roztopione złoto.

– Jest twój – rzekł szejk – trzeba go wykopać natychmiast, ponieważ świeci pulsująco i znika z nastaniem dnia. Rośnie tylko w tym jednym miejscu na ziemi. Strzeż go dobrze, bo to właśnie jest baahra!

Zgodnie z obowiązującym rytuałem mulnik wykopał dziwny kwiat, podziękował człowiekowi z gór i zszedł w dolinę, by o wszystkim opowiedzieć żonie i synom.

Potem zapomniał o tym, wrócił do dawnej pracy i z całą pewnością nie miał pojęcia, że słoneczny metal, złoto, był symbolem boga z Baalbeku; że niegdyś, by wzbogacić się, wystarczyło wznosić modły do Baala i odszukać święty kwiat w górach Ansarieh.

Byłoby co najmniej przesadą twierdzić, że kwiat-talizman wywarł wielki wpływ na Mohameda Saada, kiedy odziedziczył go po ojcu.

Jednak stwierdziwszy, że trzeba spróbować szczęścia, opuścił góry i udał się do Libanu, gdzie właśnie złoto zaczęło wchodzić do gry, ze stanowczym zamiarem wzięcia się za handel.

W tym czasie – było to w 1946 roku – nastąpił gwałtowny rozwój turystyki.

Mohamed rozpoczął od nauki angielskiego i pracy w agencji Cooka jako przewodnik.

W Bejrucie głównym celem wycieczek jest Baalbek, odległy o sto kilometrów, i nikt nie śmiał jechać do Libanu bez zamiaru odbycia pielgrzymki do tytanicznych ruin i tarasów, na których, jak sądzą niektórzy znawcy prehistorii, wylądowały pięć tysięcy lat temu pojazdy międzyplanetarne, pochodzące z Wenus i Marsa.

Ponadto piaski obfitują tam w wyroby garncarskie, mozaiki, starożytne monety, lampy i obrobione kamienie, odnajdywane przy najmniejszym poruszeniu ziemi w obrębie ruin.

Do zawodu przewodnika Mohamed dołączył handel przedmiotami artystycznymi, osobliwościami i pseudoantycznymi pamiątkami.

Zauważył natychmiast, że kiedy handlował przedmiotami ze złota, a zdarzało się to bardzo rzadko, osiągał szybko szalone zyski.

– Trzeba wziąć się za handel złotem, za sprzedaż i kupno złota – powiedział sobie.

– Wierzysz w baahrę! – żartowała z niego matka.

– Uwierzę, jeśli przyniesie mi bogactwo!

Od tego dnia sukces Mohameda przybrał rozmiary niesłychane, niewiarygodne, fantastyczne.

Złoto waliło na niego kaskadą, wpływało do kasy, mnożyło się w trakcie operacji, przeprowadzanych bez najmniejszego ryzyka.

Brak przygotowania zawodowego sprawiał, że angażował środki w takie interesy, które powinny go zrujnować! Wszystko w cudowny sposób odwracało się na jego korzyść i to diabelskie szczęście pobudzało go do kolejnych eksperymentów.

Pożyczał złoto podejrzanym i bezczelnym osobnikom, angażował znaczne sumy w szaleńcze przedsięwzięcia, które nie miały najmniejszej szansy powodzenia.

Bezczelni oddawali pieniądze, złe przedsięwzięcia przekształcały się w „złote interesy"... mimo najlepszej woli, nie udawało mu się zrealizować nawet jednej niekorzystnej operacji!

Tak więc, nie mogąc stracić, był zmuszony zarabiać, do tego stopnia, że stał się jednym z dziesięciu najbogatszych ludzi świata.

Gdzieś, w jakiejś skrzyni, kwiat baahra powoli zużywa się promieniując fluidy złotego szczęścia, ale jego talizmanowa właściwość potrwa jeszcze parę pięcioleci.

W swym biurze w Adanie Mohamed Saad panuje jak żywy bóg drogocennego metalu, a wokół niego ślady usiane dolarami, piastrami, suwerenami i luidorami świadczą w aurze złotej poświaty o cudownym przeznaczeniu tych, którzy o pełni księżyca w maju odnajdą w górach Ansarieh baahrę o magicznej mocy.

Baahra nie jest jedynym talizmanem, który przyciąga do szlachetnego metalu ukryte skarby i chroni przed nieszczęściem. Żaden radiesteta nie czułby się bezpiecznie, gdyby nie miał zawieszonych u dewizki od zegarka lub schowanych w portfelu jakichś talizmanów chroniących od uroku: od zębu tygrysa po rzekome kawałki Prawdziwego Krzyża, poprzez rękę Fatimy, modlitwę na piśmie, ziarno Ozyrysa lub poświęcony medalik.

Te zabiegi dotyczą jedynie ochrony samego maga. Aby przyspieszyć zwycięstwo, by znaleźć skarb, nic nie zastąpi posiadania działki z mandragorą, widoku kompletnej mandragory. Z takim talizmanem, jak zapewnia wiedza magiczna, odkrycie kasetki z biżuterią albo kufra pełnego dukatów jest dziecinadą!

Jednak mandragory trafiają się rzadko. We Francji, o ile wiadomo, posiadają ją tylko pani Puaux-Bruneau, rodzina Pierre'a Louysa, laboratorium botaniczne Wydziału Farmacji w Paryżu... i my sami.

Mówimy oczywiście o mandragorach magicznych. Znana jest przecież mandragora medyczna, której właściwości terapeutyczne zostały precyzyjnie opisane, ale ta skromna psianka nigdy jeszcze nie sprawiła żadnych cudów ani nigdy nie przybrała ludzkiej postaci.

Mandragora magiczna bowiem ma ludzką twarz. Nie tylko twarz, ale i korpus, nogi, ramiona, a także genitalia. Te antropomorficzne mandragory rosną w Afryce Północnej, na Sycylii i na Sardynii. Znawcę może zainteresować tylko taka, która rośnie pod szubienicą i padły na nią krople krwi, surowicy lub spermy powieszonych, wydalone w ostatnich drgawkach.

Dusza zmarłego w tych złowrogich miejscach może przeniknąć do korzenia i ożywić go. Do „zbierania“ mandragory należy przystępować zgodnie z określonym rytuałem.

Najpierw trzeba maksymalnie odsłonić korzeń, uważając, by go nie dotknąć ani zadrasnąć (pod groźbą śmierci), tak aby udało się go wyrwać z najmniejszym wysiłkiem.

Następnie przywiązuje się sznur do obroży psa, a na drugim końcu sznura robi się pętlę i nakłada ją na mandragorę. Psa pogania się batem, a on uciekając wyciąga z ziemi roślinę, którą zbiera się do całunu, w jaki zawinięty był zmarły.

Pies jest niewinną ofiarą takiego „zbioru", lecz jego śmierć ocala życie maga.

Wyrwana z ziemi mandragora ma formę małego człowieczka i tak należy ją traktować, karmiąc i nie szczędząc oznak największego szacunku. Zamkniętą w szklanym słoju, wystawia się na działanie promieni księżycowych, a wokół niej rozstawia się wykwintne potrawy.

I tak maleństwo rośnie nieco, osiągając wzrost jednej stopy.

Właściciel mandragory, jeśli przestrzega rytuału, ma zapewnione szczęście w miłości i bogactwo. Jeśli zechce poszukiwać skarbu, musi udać się na przypuszczalne miejsce wraz z rośliną i teren wokół domniemanej kryjówki zakreślić magicznym kołem na ziemi lub narysować je kredą. Poszukiwać należy w noc bezwietrzną przy pełni albo przy wypełniającym się księżycu. Mandragora przemieszcza się i prowadzi swego pana wprost do miejsca, gdzie został ukryty skarb.

Takie były rozmaite sposoby, stosowane przez praktyków do wykrywania skarbów w czasach zwanych czasami obskurantyzmu... które wcale nie minęły, ponieważ zaklęcia, radiestezja, czarna magia i mandragora wciąż mają gorących zwolenników. Rozważania na temat radiestezji dotyczą osób praktykujących okultyzm niższy (czarną magię) i nie oczerniają okultyzmu wyższego (białej magii) osób wtajemniczonych. Nie mylimy więc radiestezji pseudonaukowej z jasnowidzeniem będącym autentyczną sztuką.

Znane są nam znakomite jasnowidzące, które odnalazły skarby, w ten sposób dokumentując swój szczególny dar.

Nowocześni poszukiwacze wolą jednak procedury bardziej naukowe! Upowszechnianie się podmorskich polowań musiało dodać nowego impetu poszukiwaniom zatopionych skarbów i pośrednio zainteresować skarbami lądowymi, podporządkowanymi metodom empirycznym – najbardziej racjonalnym metodom detekcji przy użyciu aparatury magnetycznej i elektronicznej, a także z wykorzystaniem niezależnych skafandrów.

SKARBY TEMPLARIUSZY

Peru posiada bajeczne kryjówki, w których drzemią bogactwa Inków. W oceanie leżą zatopione galeony, natomiast Francja kryje w ruinach swych starożytnych zamków „nadzwyczajne skarby templariuszy".

Skarby znamienitych rycerzy mają groźny przywilej równoczesnej przynależności do dziedzictwa historycznego, legendy i okultyzmu.

Mówiąc o nich wypada przybrać tajemniczy ton i wygłaszać słowa kabały: ...Bafomet... Krzyż Ośmiu Szczęśliwości... magiczna osłona...

Wyryto na nich hieroglify, wypalono piekielnym ogniem i skąpano we krwi walecznych.

Kiedy ktoś doświadczony mówi o skarbach templariuszy, nigdy nie omieszka wykrzyknąć: „Skarby przeklęte... Skarby chronione przez tajemne siły. Nie sposób wejść w ich posiadanie, jeśli nie jest się kimś wtajemniczonym lub przynajmniej duchowym spadkobiercą ezoterycznych doktryn Świątyni".

Ta górnolotna paplanina jest oczywiście pozbawiona sensu, jednakże skarby, nawet jeśli prości ludzie wierzą w ich tajemniczą ochronę, otoczone są jakąś tajemnicą, posiadającą jakiś sekret i okultyzm wspierający się na rytuałach i symbolach.

Tak, to musi być prawda!

Templariusze bowiem, godni podziwu wojownicy, lubili także przekomarzać się z zaświatami i żonglować kwadraturą koła; lubili znaki, symbole i hieroglify.

Słowem, lubili tajemniczość i dlatego zamiast schować po prostu skarby w jakiejś dziurze w piwnicy lub w jakimś grubym murze, stosowali makiaweliczne podstępy w maskowaniu skrytki i w sposobach prowadzących do jej odnalezienia.

Chodzi jedynie o przedstawienie pewnego punktu widzenia, bez wywierania wpływu na tych, którzy słusznie czy niesłusznie wierzą w cuda, w rzeczy nadprzyrodzone, w zaświaty, duchy i inne smoki zionące ogniem, stróżów kryjówki z nadzwyczajnymi skarbami.

Nie to jest naszym zamiarem, wcale nie!

Wprost przeciwnie, życie pozbawione zupełnie wiary w cuda, w rzeczy nadprzyrodzone, w te wszystkie cudowne kwiaty życia, równie niezbędne dla ducha jak racjonalizm dla inteligencji, sny dla osoby śpiącej, a pnące róże i bluszcz dla murów starych domostw, wydaje się bezsensowne.

W starych domach tak dobrze się mieszka, a ich brzuchate mury potrafią dobrze strzec skarbów.

Magiczna ochrona skarbów istnieje w płaszczyźnie uczuciowej, i to dobrze.

Jeśli jednak pewnego dnia będziecie mieli odkryć jakiś stary, dobrze strzeżony skarb templariuszy, nie omieszkajcie dać duchowi przyjacielskiego prztyczka, mówiąc jak osoba śpiąca do naprzykrzającego się latającego smoka: „Uważaj, bo obudzę się i przestaniesz istnieć!"

Zresztą, duchy Rycerzy Krzyża dawno wymarły, bo pewne jest, że i duchy umierają ze starości.

Właściwie już od dawna duchy sprzed pierwszych wieków naszej ery przestały dokuczać żyjącym!

Ale koniec końców, skarby templariuszy istnieją i nic nie przeszkadza ich odkryciu.

Nic, z wyjątkiem oczywiście przeszkód materialnych.

Interesująca jest metoda wybitnej specjalistki, madame de Grazia, archeologa i kryptologa, która z zapałem zajmowała się studiowaniem symboliki templariuszy. Badania zawiodły ją do starego komandorstwa[1] Grande-Prieuré we Francji, zadziwiająco nienaruszonego, mimo że zamienionego w fermę, gdzie odnalazła wskazówki, podwójny sekret architektury i skrytki zakonu.

Ci, których pociąga tajemniczość, powinni zastanowić się nad poniższym tekstem, zapisanym łaciną z okresu dekadencji na fasadzie świątyni, który pani de Grazia przetłumaczyła na francuski:

> Otoczysz tę siedzibę tajemnicą,
> dasz jej trzystakrotną miarę
> początku – długości – długości geograficznej.
> Pięć dziesiątek szerokości geograficznej – szerokości
> trzy trwałości – grubości.
> I według tej samej miary zakreślisz przestrzeń
> Kolistą dostępną w swej większej części
> dla Światła.
> A kiedy rozszerzy się na stronę przeciwległą,
> zajmiesz się jej częściami niskimi, podwójnymi
> i potrójnymi.

Zdaniem pani de Grazia, ten sybiliński język należy tak przetłumaczyć, by móc zinterpretować system znaków-kluczy, zwykle grawerowanych na murach komandorstwa, gdzie templariusze ukryli swe skarby.

Skarby templariuszy narodziły się 5 października 1307 roku, kiedy król Filip Piękny w trakcie ogromnej obławy kazał zatrzymać wszystkich Rycerzy Świątyni rezydujących we Francji.

Zruinowany król miał wiele powodów do złamania ich potęgi, zaczynającej zagrażać władzy królewskiej. Otaczająca ją tajemnica i skrajnie tajemny okultyzm przerażały środowiska katolickie, a wreszcie bogactwa templariuszy stanowiły nieodpartą przynętę – i to było najistotniejsze!

W ich posiadaniu znajdowało się ponad dziewięć tysięcy zamków w całym świecie chrześcijańskim, a osobisty skarbiec był przepełniony dzięki rozlicznym przywilejom, nieustannie napływającym darowiznom i łupom gromadzonym przez całe wieki, zdobytym na muzułmanach... a także, jak mówiono, na chrześcijanach!

---

[1] Komandorstwo – w średniowieczu: dobra zakonu rycerskiego, zarządzane przez komandorów.

Trzeba bowiem przyznać, że w XIV wieku zakon utracił wiele ze swej niegdysiejszej bogobojności, tonął w materializmie, korupcji, a także przypuszczalnie w świętokradztwie.

Ponadto przypuszczano, że zajmował się przygotowaniami do szerszej operacji politycznej. Możliwe więc, że aresztowanie templariuszy było niezwykle ważne dla przyszłości świata.

Jakkolwiek by było, Filip Piękny zdołał zdobyć skarb wraz z łupami po swych ofiarach. Jednak znaczną część bogactw udało się templariuszom ukryć i ustrzec przed jego pożądliwością.

Powiadano, że papież Klemens V ostrzegał w tajemnicy dostojników zakonu wiele wcześniej przed machinacjami króla Francji.

Można więc było skarby Świątyni złożyć w pewnym miejscu. Bardzo prawdopodobne, że został ukryty w kryjówkach niedostępnych dla niewtajemniczonych.

Templariusze, mający wielkie upodobanie do architektury, kryptografii, symboli i tajemnych znaków, wykorzystywali rytuał i znaki-klucze, by ukryć, a następnie móc odszukać swe skarby. Tak przynajmniej można by sądzić. Jednak, niestety, nie udało się ustalić niczego pewnego w oznaczeniach tych rytuałów i wygrawerowanych znakach.

Kiedy Jakub de Molay zrozumiał, że król zmierza do całkowitego unicestwienia zakonu, podjął pewne działania dla zachowania „tradycji i wzniosłej fundamentalnej wiedzy".

Kazał przywołać do więzienia swego siostrzeńca, młodego księcia Guicharda de Beaujeu, o którego powołaniu do zakonu wiedział i dokonał jego wtajemniczenia.

Guichard udał się do Świątyni, by w ramach próby odszukać pod dwoma nagrobkami w krypcie Wielkich Mistrzów puzderko z kryształu o kształcie stożka, oprawione w srebro.

Potem złożył przysięgę o przestrzeganiu reguł zakonu i wszedł w posiadanie jego wiedzy.

Molay poinformował go, że kryształowy stożek zawiera czczoną relikwię: palec wskazujący prawej ręki świętego Jana Chrzciciela. Powierzył mu także o wiele bardziej niezwykły sekret.

– W grobie mojego poprzednika, Wielkiego Mistrza de Beaujeu, nie ma jego ciała – zawiera on archiwum Świątyni.

– Wraz z archiwum mieści się tam pewna ilość relikwii i skarbów, które udało mi się zdobyć na niewiernych i przywieźć z Ziemi Świętej. Są to: korona królów Jerozolimy, siedmioramienny świecznik Salomona i złote figurki czterech ewangelistów, które zdobiły Święty Grób.

– Jednak skarbiec materialny templariuszy znajduje się w innym miejscu: w dwóch kolumnach zdobiących chór Świątyni u wejścia do grobowców Wielkich Mistrzów.

– Kapitele wieńczące kolumny obracają się wokół własnej osi, a wewnątrz ich wydrążonych trzonów zamknięte są wielkie skarby zgromadzonych oszczędności zakonu.

Przekazawszy to, Molay kazał przysiąc młodemu Beaujeu, że ocali wszystko i „zachowa aż do końca świata", ucałował go po raz ostatni i przygotował się na śmierć.

Kiedy Molay spłonął na stosie, nowy Wielki Mistrz odtworzył społeczność „architektów doskonałych" i zajął się przenosinami skarbu Świątyni w jakieś pewne miejsce.

Zwrócił się do Filipa Pięknego o pozwolenie na przeniesienie ciała wuja, Wilhelma de Beaujeu, w inne miejsce i otrzymał na to zgodę.

Wspomagany przez braci z zakonu, opróżnił kolumny Świątyni z ich zawartości, składającej się ze złota, srebra i szlachetnych kamieni. Wypełnił nimi trumnę, a także z pewnością jakieś kufry i przetransportował wszystko w miejsce znane jedynie wielkim dostojnikom.

Oto co przekazuje tradycja oraz kilku historyków, a spośród nich John Charpentier. Jeden fakt wydaje się oczywisty: skarb został wydobyty ze Świątyni i przeniesiony w jakieś nieznane miejsce. Dokąd? To stanowi wielką tajemnicę. Na miejsce urzędowania archimandryty lub patriarchy i Wielkiej

Kapituły wyznaczono Cypr. Skarb mógłby się wobec tego znajdować w Limassol.

Inna hipoteza umiejscawia skarb we Francji, na terenie posiadłości rodziny Beaujeu (departament Rodanu).

W rzeczy samej, nie było miejsca bardziej odpowiedniego i godnego zaufania. W każdym razie, dla większej pewności należało trumnę Wilhelma de Beaujeu przetransportować do rodzinnej krypty.

Dziś, w oparciu o tajne nie upowszechnione kroniki i o tradycję, niektórzy sądzą, że skarb templariuszy, zamknięty w trumnie, a właściwie w kufrach, wciąż znajduje się na terenie departamentu Rodanu.

Nie w samym Beaujeu, które zostało zburzone przez rewolucjonistów, ale w przyległym zamku, w Arginy.

Wyobraźmy sobie średniowieczną posiadłość z zamkiem, wieżami, częścią mieszkalną, strażnicą, przyległościami, folwarkiem i bramą wychodzącą na głębokie fosy: to właśnie Arginy w departamencie Rodanu.

Jego wystrój stwarza ciężką atmosferę tajemnicy i okultyzmu... skarbów... tak, skarbów!

Aktualny właściciel jest dumny ze swego zamku ze skarbem i jest to zrozumiałe, ponieważ legenda w naturalny sposób przydaje poświaty temu ponuremu nagromadzeniu kamieni i zwietrzałej cegły w kolorach ochry, czerwieni i szarości, pozieleniałych ze starości.

Strażnica zbudowana z miejscowej cegły posiada na szczycie osiem otworów, będących źródłem jej nazwy: Wieża Ośmiu Szczęśliwości (albo Wieża Alchemii).

W etymologii nazwy Arginy niektórzy dopatrują się słowa ARGINE, anagramu Regina, damy trefl i królowej skarbów. Inni odwołują się do ARGUROS: srebra!

Właśnie w Arginy tradycja umiejscawia główną skrytkę, a więc nie dający się ocenić skarb templariuszy, składający się ze złota, srebra, szlachetnych kamieni, a ponadto z bogactw okultystycznych, archiwów i unikalnych dokumentów.

Zamek, zbudowany na terenie gminy Charentay, należy do światłego szlachcica, prawdopodobnie zaznajomionego z prawem rycerskim. Jest nim Jakub de Rosemont, którego ojciec interesował się domniemanym depozytem.

W roku 1950 księcia odwiedził tajemniczy angielski pułkownik, oddelegowany, jak przypuszczano, przez jakieś tajemnicze stowarzyszenia zza kanału La Manche, i zaproponował kupno zamku za fantastyczną kwotą stu milionów franków.

Pan de Rosemont odpowiedział: – Nie!

W 1952 roku pani de Grazia, po przestudiowaniu na miejscu tajemnicy zamku, orzekła:

– Jestem przekonana, że skarb templariuszy znajduje się w Arginy, gdzie odnalazłam znaki-klucze do skrytki najwyższej rangi. Znaki te umieszczono przede wszystkim na herbie nad bramą wejściową i prowadzą aż do Wieży Alchemii, gdzie znajdują się ostatnie wskazówki. Udało mi się rozpoznać znak egipski, świadczący o istnieniu skarbu świeckiego i religijnego.

Pewien paryski przemysłowiec, pan Champion, zainteresował się jej badaniami i podjął się poszukiwań pod kierownictwem maga Armanda Barbaulta, mistrza wiedzy tajemnej, i Jakuba Breyera, pisarza specjalnie wtajemniczonego w okultyzm templaryjski, mającego ciekawy zwyczaj pisania „Arginy“ poprzedzonego symbolem dolara: $.

Ten bardzo stary znak $ zdaje się posiadać wielkie znaczenie w symbolice i kryptografii templaryjskiej.

Jest oczywiście bardzo dziwną rzeczą zestawianie tego oznaczenia zamku ze słowami: Arginy, Argine, skarb i Rycerze Świątyni!

Czy jest to zwykły zbieg okoliczności czy tajemna racja, którą kierowali się Wielcy Mistrzowie, poprzednicy Jakuba de Molay?

Tajemnica Arginy została zaatakowana najpierw w 1952 roku przez techników i okultystów.

Jeden ze świadków tak opisuje ten nadzwyczajny eksperyment:

– Najpierw Armant Barbault współpracował z Jakubem Breyerem, który był przekonany, że skarbem z Arginy był kamień filozoficzny.

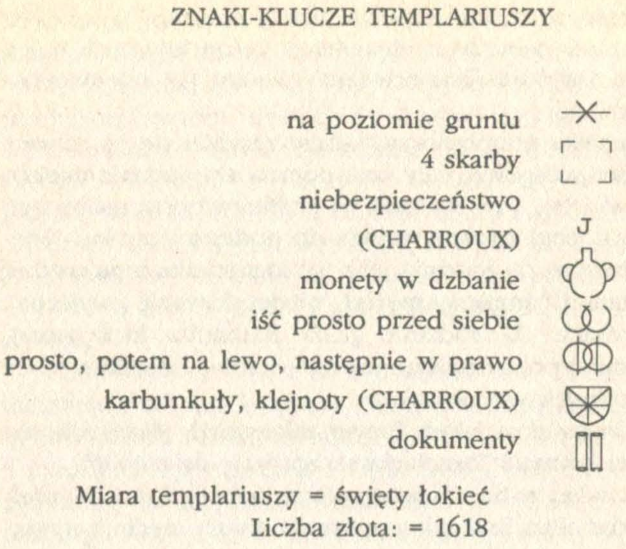
ZNAKI-KLUCZE TEMPLARIUSZY
na poziomie gruntu
4 skarby
niebezpieczeństwo
J
(CHARROUX)
monety w dzbanie
iść prosto przed siebie
prosto, potem na lewo, następnie w prawo
karbunkuły, klejnoty (CHARROUX)
dokumenty
Miara templariuszy = święty łokieć
Liczba złota: = 1618

Znaki-klucze templaryjskie. Wyryte na murach, wskazują kryjówkę. (arch. KPS)

– Następnie przystąpiono do nowego wywoływania w Wieży Ośmiu Szczęśliwości za pomocą kodu na bazie uderzeń, przygotowanego w intencji jedenastu templariuszy, którzy w czasie wcześniejszego seansu ujawnili się jako strażnicy skarbu. Prowadzący grę Jakub Breyer umieścił w klatce gołębia, który miał załopotać skrzydłami, kiedy zaświaty znajdują się na nasłuchu.

– Jedenaście uderzeń odnotowali wszyscy świadkowie. Uderzenia były bardzo dobrze słyszalne, jakby ktoś znajdujący się na zewnątrz murów walił w nie znaczną masą. Oczywiście, oszustwo było niemożliwe, gdyż nie ma tak długiej drabiny, która sięgnęłaby piętra, na którym się znajdowaliśmy.

– Uderzenia słyszalne były w ciszy nocnej, między północą i drugą rano. Zwykle noce wypełniały rozmaite odgłosy: kumkanie żab i ropuch w fosach, śpiew słowików, miauczenie, szczekanie, pohukiwanie sów itp. Jednak, co ciekawe, od pierwszego objawienia się duchów cała fauna zamilkła. Odgłosy powróciły natychmiast po zakończeniu inwokacji.

– Jedenastu templariuszy, którzy zgodzili się na rozmowy, często niespójne, cały czas odmawiało podania miejsca ukrycia skarbu. Pan Barbault za pośrednictwem osobistego medium poznał miejsce wejścia do podziemi zamku. Najęto robotników do kopania. Nie udało się jednak prowadzić prac. Pan Champion musiał nieoczekiwanie wyjechać w interesach. W rodzinie pana Barbaulta ktoś zmarł, a robotnicy, pozostawiając łopaty i kilofy, oddalili się bez jakiegokolwiek wyjaśnienia...

– Pewnego dnia Jakub Breyer zakrzyknął: „Nareszcie nawiązałem kontakt! Templariusze zgadzają się mówić".

– Tak więc w noc świętego Jana przystąpiono do wielkich zaklęć. Pan Barbault za pośrednictwem medium nawiązał kontakt ze skarbnikiem. Człowiek w transie mówił tak:

– Widzę kufer zbliżający się po szynach w moim kierunku. Jakaś ręka zakuta w żelazo zanurza się w kufrze i wyciąga z niego sztuki złota. Teraz widzę duży stos na stole. Ręka wciąż czerpie. Inne ręce łapczywie wyciągają się w kierunku skarbu... ręce szponiaste, które nagle porastają włosem, potwornieją, ogromnieją. Pierwsza ręka odkłada więc sztuki złota do kufra. Mistrz strażników skarbu to rycerz leżący w trumnie. Może mówić, ale leży sztywny w swym grobie. Chciałby się z niego wydostać. Należy w tym celu odprawić wielki obrzęd z siedmioma rytualnymi zaklęciami.

– Jakub Breyer wyraźnie sprzeciwił się takiemu eksperymentowi. Medium pana Barbaulta oświadczyło: „Niczego nie znajdziecie. Istoty strzegące skarbu świadomie wprowadzają was w błąd i odkrycie zachowują dla potomka templariuszy, godnego kontynuatora ich misji".

– Tymczasem zaczął się teatr: Jakub Breyer zapewnił, że istoty powiadomiły go, iż stanowi wcielenie Jakuba de Molay. Nastąpiła więc nowa próba rytualnych zaklęć w Wieży Alchemii. Prowadzący seans wzywał Wilhelma de Beaujeu, nazywając go „swoim pięknym kuzynem“ i prosił o zdradzenie sekretu skarbów. Jednak Wielki Mistrz i jego wysłannicy uparcie udają głuchych. Prowadzący nalega i proponuje zaświatom umowę: do magicznego koła zostanie wprowadzona piękna dziewczyna, która zostanie „zapłodniona“. Wilhelm de Beaujeu odrodzi się w mającym przyjść na świat dziecku... (Koniec relacji świadka).

Mimo tych nęcących propozycji, których na szczęście nie zrealizowano, Wilhelm de Beaujeu pozostał jak marmur sztywny w swym grobie i nie ustąpił ani on, ani jego wysłannicy.

Te zakłócenia nie przekreślają jednak całej okultystycznej interwencji w historię skarbu. Wzajemne nakładanie się różnych elementów musi zachodzić, ponieważ templariusze byli uznanymi kryptografami i zapalonymi okultystami. Z drugiej strony istnieją dziwne zbieżności, prowadzące do tajemniczego Arginy, które nawet w realnym świetle wydaje się idealnym miejscem dla bogactw Świątyni.

Pozostaje tylko przeniknąć zagadkę widocznych znaków-kluczy i ukrytego przesłania. Pan de Rosemont tak wyraża swój punkt widzenia:

„Zamek Arginy należał do Wilhelma de Beaujeu, pozostawał więc w tajemnym templaryjskim kręgu. Był poza zasięgiem Filipa Pięknego i możliwe, że tu został złożony skarb Świątyni. Nie można jednak bez metody i ważnych powodów nastawać na szacowne mury mojej posiadłości. Zaklinacze rujnowali, nigdy niczego nie znajdując. Tylko naukowe metody detekcji mogłyby dać dokładne wskazówki“.

Pani de Grazia jest większą optymistką:

„Spośród małych trzyczęściowych okienek Wieży Alchemii jedno tylko jest zamurowane zacementowanymi kamieniami. Należałoby je odmurować i obserwować kierunek wiązki światła, przechodzącej przez nie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Słońce zrównania dnia z nocą musi odgrywać wybitną rolę; promienie mogą paść na jakiś kamień, który da decydującą wskazówkę. Sądzę jednak, że tylko człowiek wtajemniczony może rościć sobie prawo do znalezienia klucza do tajemnicy“.

Taka jest opinia Jakuba Breyera, który po wieloletnim niemal zamknięciu w Wieży Alchemii wyjawił sekret Arginy w książce zatytułowanej *Słoneczne więzy.* Oto kilka linijek, które prawdopodobnie stanowią wyjaśnienie tajemnicy:

„Kopalnia klejnotów jest dobrze strzeżona. Każde drzwi pilnowane przez smoka.

By znaleźć, potrzeba Pokory, Bezinteresowności, Czystości.

Oto trzy klucze niezawodne,

O ILE DOBRZE JE POJMUJESZ.

F.F. [król], którego zjednać może artysta, utrzymuje się więc «w powietrzu»; prawdziwa kopalnia jest na górze!

Biedny podpowiadaczu! Dlaczego błądzisz... dalej... zastanów się, wielka sztuka jest światłem".

Z czego można wyjść na język bardziej przejrzysty:

„Skarb templariuszy jest w Arginy. Tylko templariusz będzie umiał go znaleźć. Sekret skarbu F.F. (króla albo królowej Argine, królowej skarbów) znajduje się w Wieży Ośmiu Szczęśliwości na wysokości okien i nigdzie indziej. Słońce wpadając do niej przez otwór dostarczy ostatniego klucza (albo prawdziwym skarbem jest Bóg)".

Ostatnie dane naprowadziły Klub Poszukiwaczy Skarbów na myśl, że skarbu templariuszy nie ma w Arginy, gdzie nie pozwala go sytuować żaden liczący się dokument. A cała historia opiera się wyłącznie na współczesnych legendach i oświadczeniach radiestetów.

Znaki-klucze zostały odkryte także w zamku Barbezières (Charente) i wielka ilość napisów na murach dostarcza niepokojących wskazówek.

Tyle że zamek powstał później niż w XIV wieku. Został jednak zbudowany, by zastąpić stare zabudowania templariuszy, a cały łańcuch osób wtajemniczonych mógł przekazywać sekret skrytek, wyryty w kamieniu, aż do śmierci ostatniego posiadacza planu.

Barbezières otaczają trzy wielkie komandorstwa i właśnie w Ligne (Charente) odkryto nekropolię, w której niektóre kamienne nagrobki dowodzą, iż w tym miejscu wiele lat po upadku templariuszy przetrwał jeden z członków ochrony z tajemniczą misją, prawdopodobnie w związku ze znakami wyrytymi w Barbezières i ze strzeżeniem skrytek.

Dopuszcza się istnienie innych jeszcze skarbów templariuszy w innych miejscach: w Bazas, w Agen w domu Sénéchal, w posiadłości Saint-Martin de Vence, w której bywał autentyczny poszukiwacz skarbów, kanclerz Adenauer.

Zdaniem historyka Jeana Marcellota, skrytki templariuszy można by odnaleźć we wioskach departamentów Racault i Indre-et-Loire, w Marche de Touraine, gdzie niegdyś znajdowały się „piwnice Złotych Waz i piwnice Srebrnych Waz".

W każdej z takich piwnic, gdzie teraz gnieżdżą się lisy i borsuki, schowane były: jedna waza okrągła wypełniona złotymi monetami i jedna trapezoidalna pełna monet srebrnych. Templariusze będący w drodze mieli z nich czerpać w koniecznych przypadkach, biorąc z wazy tylko potrzebną kwotę i z powrotem chowając ją zgodnie z otrzymanymi rozkazami.

Jeszcze jeden zamek, Valcroz w departamencie Var, ma tyle samo co Arginy powodów okultystycznych i barwnych, by stanowić zbiorowisko skarbów Świątyni. Tyle że Arginy posiada oprawę i architekturę z wyrytymi tajemniczymi znakami, a Valcroz tradycję historyczną, przekazaną krętymi drogami i w sybillińskim języku, tak lubianym przez rycerzy.

Tradycja ta zresztą dotarła jakby cudem przez wieki i przestrzeń, wyłoniła się z nieodnajdywalnej książki, w której miała zasnąć na wieki. Dotarła do człowieka, który przemieszczając się na odległość tysięcy kilometrów, znalazł się nagle w miejscu przeznaczenia, przyciągany, prowadzony w tej emigracji wezwaniem niezrozumiałym, ale niewątpliwie zamierzonym.

Zamierzonym przez kogo? Autentyczna historia, którą opowiemy respektując anonimowość jej uczestników, stawiając wstrząsające problemy, nie odpowiada na to pytanie.

Wypędzony z Polski przez polityczne wydarzenia roku 1939, pan M. znalazł się w 1947 roku w angielskim obozie wojskowym, gdzie spotkał współziomka oczekującego na wyjazd do Argentyny. Towarzysz z obozu pożyczył mu starą książkę polskiego pisarza A.J. Jurkowskiego, zatytułowaną

Historyja Zakonu Rycerskiego Templaryuszów (1845 Wilno, Blumowitz).

– Ta książka zafrapowała mnie – opowiadał nam pan M. – Niestety, mogłem ją tylko pośpiesznie przerzucić, ponieważ jej właściciel nagle wyjechał i odmówił mi jej sprzedaży.

Historia zakonu Świątyni właśnie przypomniała panu M. pewną sprawę z młodości, która wiąże się z pochodzeniem skarbu w Valcroz.

Ponieważ pan M. wysławiał się po francusku z pewną trudnością, jego małżonka napisała list zaznajamiający nas z niewiarygodnym następstwem wydarzeń, które go dotyczyły.

„Mój mąż urodził się na Syberii jako potomek napoleońskiego żołnierza, który ranny pozostał w Polsce, gdzie po pewnym czasie ożenił się [szanujemy redakcję dokumentu].

Jego syn, zatrzymany za uczestnictwo w spisku przeciwko carowi, został zesłany na Syberię, gdzie z kolei on założył rodzinę i z czasem zaczęło mu się nieźle wieść.

Mój mąż, wnuk tego zesłańca, przypomina sobie, że jako mniej więcej czternastoletni chłopiec szperając w bibliotece dziadka znalazł stary modlitewnik w języku francuskim.

A w nim kartkę z następującym tekstem (który przetłumaczyłam z polskiego):

POD STARYM ZAMKIEM VAL-DE-CROIX ZNAJDUJE SIĘ SKARB TEMPLARIUSZY. IDŹ I SZUKAJ. ŚWIĘTY I PRAWDA WSKAŻĄ DROGĘ.

W pamięci męża zachowały się wiernie te słowa, ale ani modlitewnik, ani kartka nie przetrwały następnych niespokojnych lat: powrotu rodziny do Polski w czasie rewolucji rosyjskiej, a w 1939 roku ucieczki potajemnej z Polski męża, chcącego kontynuować walkę w szeregach armii francuskiej.

Po demobilizacji w 1948 roku miał tylko jedno pragnienie: znaleźć gdzieś w jakimś spokojnym zakątku Francji bezpańskie gospodarstwo, podźwignąć je i spędzić w nim resztę życia, nigdzie się więcej nie ruszając.

Przypadek zaprowadził go do Valcroz, posiadłości opuszczonej od dawna, ze starym zamkiem i niemałą ilością ruin, w prawie bezludnych górach departamentu Haut-Var.

Przyciągnięci jego atmosferą, staliśmy się właścicielami i wzięliśmy się do pracy okropnie ciężkiej, by przywrócić posiadłości dawny stan.

Tyle że stopniowo pewne ciekawe zbiegi okoliczności sprawiły, że mąż przypomniał sobie słowa z kartki przeczytanej na Syberii. Zaczęliśmy podejrzewać, że w naszym Valcroz znajdujemy się dokładnie w miejscu opisanym w tekście z modlitewnika: w zamku Val-de-Croix.

1. Valcroz jest faktycznie starym zamkiem templariuszy, z ruinami fortecy zniszczonej przez Filipa Pięknego.

2. W małej kaplicy zamku znajduje się obraz datowany w roku 1715, przedstawiający świętego Celestyna adorującego świetliste zjawisko, w centrum którego znajduje się VERITAS.

Połączywszy Świętego i Prawdę w starym zamku templariuszy, otrzymamy Val-de-Croix.

Zauważywszy to mąż chciał się dowiedzieć czegoś więcej i pokazał plan posiadłości radiestetom..." (*Koniec listu pani M.*).

Krótko mówiąc, radiesteci nie omieszkali wykryć całego podziemnego labiryntu, sal i skrytek, lochów i cmentarzy... i nie wiadomo ilu skarbów!

Przekopano wszystko do głębokości ośmiu metrów i oczywiście nie znaleziono niczego!

Naszym zdaniem, poszukiwacze skarbu templariuszy z Valcroz, o ile taki istnieje, powinni bardziej korzystać ze spekulacji intelektualnej niż z mechanicznej detekcji.

Przyjmując, że skarb nie stanowi mitu i że został ukryty w Valcroz, pozostaje wierzyć, że templariusze chcieli przekazać w spuściźnie sekret i sposób postępowania za pomocą kartki znalezionej w *Biblii.*

Czy jednak ten przekaz jest autentyczny, to znaczy, czy pochodzi od rycerza, który przed zatrzymaniem i postawieniem przed trybunałem Filipa Pięknego chciał zapewnić odkrycie ukrytych skarbów?

Jeśli nie zaakceptujemy autentyczności przesłania, nie pojawi się żaden problem, a ta negatywna i niemalownicza perspektywa budzi w nas uczucie niechęci.

W tym przypadku manuskrypt jest kategoryczny i wskazuje miejsce: zamek Val-de-Croix.

Ale we Francji nie ma żadnego zamku Val-de-Croix! – więc? Trzeba więc zadowolić się zamkiem Valcroz jako jedynym możliwym do zidentyfikowania miejscem!

Dlaczego nie? Żadne miejsce nie może w takim stopniu pretendować do podobieństwa jak Valcroz. Ponadto Valcroz posiada przywilej tej nieprawdopodobnej i magicznej wiązki zbiegów okoliczności!

Pewna dodatkowa wskazówka otwiera drogę: IDŹ I SZUKAJ, ŚWIĘTY I PRAWDA POKAŻĄ DROGĘ.

Pan M. udał się do Valcroz bez żadnego wcześniejszego zamiaru i wydaje się, że to przeznaczenie chciało go prowadzić i powierzyć mu misję.

Pan M. nie szukał, ale znalazł „ŚWIĘTEGO I PRAWDĘ", którzy pokazują drogę. Czyż nie jest drugim znakiem przeznaczenia ten obraz z przemawiającą sceną?

Ponieważ znajdujemy się w centrum atmosfery okultystycznej, dlaczegóż mielibyśmy opierać się wyzwaniu cieni?

Pan M. zdaje się predestynowany do odnalezienia skarbu i nawet zaskakująca wskazówka z obrazu datowanego w 1715 roku powinna w tej grze, której reguły akceptujemy, prowadzić go niechybnie w kierunku drogi prawdy, być może ścieżkami labiryntu.

Z drugiej strony, zamek Valcroz musi skrywać znaki-klucze, które trzeba umieć znaleźć, no i oczywiście przetłumaczyć!

Kryjówka jest prawdopodobnie na zachód od świętego w TAJEMNICZYM DOMOSTWIE O WYMIARACH PODSTAWOWYCH TRZYSTA DŁUGOŚCI GEOGRAFICZNEJ NA PIĘĆ DZIESIĄTEK SZEROKOŚCI GEOGRAFICZNEJ – SZEROKOŚCI... tam, gdzie PRZESTRZEŃ KOLISTA JEST DOSTĘPNA W WIĘKSZEJ CZĘŚCI DLA ŚWIATŁA.

Sprawa skarbu z Valcroz, autentycznego lub nie, nawet jeśli nigdy nie zostanie wyjaśniona, jest pasjonująca ze względu na otaczającą go tajemnicę i zagadkę, którą niegdyś wymyślili mistrzowie kryptografii – templariusze.

Zamek Valcroz, stary budynek skonstruowany z lichego kamienia i zburzony w więcej niż trzech czwartych, pozostaje zagubiony wśród lasów i nie prowadzi do niego żadna przejezdna droga.

Państwo M. mieszkają tam w nędznych warunkach, czepiając się nadziei, której nie można uznać za rozsądną. Przepełniają ich jednak zauroczenie, zbiegi okoliczności i magia przygody.

W wykruszających się murach znajduje się skarb... oni w to wierzą... są tego pewni i umrą z niezaspokojonym marzeniem o klejnotach, kufrach złota i kosztowności, które niechybnie, na pewno już jutro, zrekompensują ich długie oczekiwanie, ich powolną agonię.

Tak, to prawda, ze skarbami templariuszy związany jest jakiś dziwny urok, jakieś straszliwe przekleństwo.

ZŁOTO NOWEGO ŚWIATA I GALEONY

Przed odkryciem Nowego Świata złoto niezwykle rzadko występowało w Europie, Azji i Afryce.

Jednak prorok Zachariasz utrzymuje (według *Biblii*), że w Tyrze w Fenicji „srebro zamiata się jak kurz, a złota jest tyle co błota na ulicach".

Twierdzenie to szybko zostało zdementowane przez fakty i inne relacje, ponieważ dla wybudowania świątyni w Jerozolimie król Salomon był zmuszony wymienić dwadzieścia pięć miast za dwa tysiące kilogramów złota z królem Tyru, Hikanem.

Transakcja ta nie pozostała z całą pewnością bez wpływu na stan fenickich finansów, ponieważ Hiram, wspólnik Salomona, czym prędzej wysłał wiele ekspedycji do kopalni Ofiru[1] w celu uzupełnienia luki w skarbcu.

Ekspedycje wyruszały z zatoki Akaba na Morze Czerwone, ale gubiono się w domysłach na temat ich tajemniczego portu przeznaczenia.

Zdaniem historyków, bajkowa kraina Ofir znajdowała się w Indiach lub nad cieśniną Malakka, inni twierdzili, że w Afryce Południowej, a niektórzy ośmielali się nawet przypuszczać, że w Ameryce Południowej: biblijny Parvaim (*Paralipomenes,* Księga III, rozdział III) identyfikując jako Peru!

---

[1] Ofir – według *Biblii* kraina, skąd miały pochodzić skarby króla Salomona, poszukiwana bez skutku w różnych miejscach.

Ich spekulacje wyglądają następująco: Parvaim jest zniekształceniem Parüim (*v=u* i iod=i, często *ai* w hebrajskim, *im* = końcówce w liczbie mnogiej). A w dorzeczu Amazonki w Peru płyną dwie złotonośne rzeki: Paru i Apu Paru.

Tam miałaby się mieścić bajkowa kraina Ofir, dla której port stanowić miał przylądek Biru przed Trujillo.

Ta hipoteza nie bardzo daje się utrzymać. Przed nadejściem chrześcijaństwa nawigację uprawiano tylko wzdłuż wybrzeży na zasadzie żeglugi przybrzeżnej, a wiadomo, że statki Hirama i Salomona potrzebowały tylko czterdziestu dwu dni podróży po morzu, by osiągnąć cel. Nie miały wobec tego najmniejszej szansy w ciągu tak krótkiego czasu przemierzyć ocean.

Słusznie czy niesłusznie, umiejscowiono Ofir w Kafrarii, a dokładniej w cyklopowych ruinach w Zimbabwe, czterysta kilometrów na zachód od Sofala, w dzisiejszej Rodezji.

Przypuszcza się, że jedna z takich ekspedycji dostarczyła czterysta talentów czystego złota, co odpowiadało czternastu milionom dolarów w 1941 roku.

Poważniejsze statystyki pozwalają na wyobrażenie sobie, jaki mógł być zapas szlachetnych metali w postaci monet w piętnastowiecznej Europie: odpowiednik miliarda franków w złocie z 1914 roku (złoto i srebro), a więc:

3200 ton srebra;

90 ton złota.

A więc: około pięciu metrów sześciennych złota.

Import amerykański między 1493 a 1600 rokiem powinien dodać do istniejących zapasów 754 tony czystego złota, 22 835 ton srebra, czyli prawie stukrotną produkcję obydwu tysiącleci.

Można więc pojąć zamieszanie ekonomiczne, jakie spowodowało odkrycie dwu zupełnie nowych Ameryk, obfitujących w złoto!

To, że amerykańscy autochtoni w ciągu tysięcy lat nie potrafili wyczerpać swych kopalń ani wydobyć z nich nawet tyle, ile wydobyli Hiszpanie w ciągu dwustu lat, najlepiej dowodzi, jak mylna była wiara, iż cywilizacja prekolumbijska była równie rozwinięta jak cywilizacje europejskie.

A przecież i dla tych autochtonów tak jak dla Europejczyków złoto było szlachetnym metalem, symbolem bogactwa.

Odkrycie Ameryki było więc przywitane przez piętnastowieczną Europę jako jedna z największych rewolucji wszechczasów i stało się źródłem epopei, w której zuchwali odkrywcy, ale także rozbójnicy, korsarze i inni banici stali się niezwyciężonymi bohaterami.

Złoto Peru, Brazylii, Kolumbii i Meksyku znacznie wzbogaciło Hiszpanię, a w konsekwencji Francję, Anglię i Holandię.

Złoto to nie było przeznaczone do zasilania hiszpańskiego skarbca królewskiego, przynajmniej w większości przypadków. Należało do prywatnych przedsiębiorstw, które organizowały ekspedycje do „Indii Zachodnich". Armatorzy byli zobowiązani natomiast do przekazywania na rzecz korony *quinta* przeznaczonego dla króla i jeszcze procentów dla arystokracji i duchowieństwa, w mniejszym lub większym stopniu uczestniczących także w przedsięwzięciu.

Hiszpańskie okręty udające się do Indii Zachodnich odpływały głównie z trzech portów: przede wszystkim z Sewilli (przed zapiaszczeniem się ujścia Gwadalkwiwiru), Kadyksu i San Lucar.

Przepływały Atlantyk w ciągu jakichś trzydziestu dni i penetrowały – w poszukiwaniu złota, srebra, szlachetnych kamieni, przypraw, cennego drewna, tkanin – wszystkie wyspy i kontynenty, rozciągające się między 30 równoleżnikiem szerokości geograficznej północnej a 30 równoleżnikiem szerokości geograficznej południowej.

Następnie, płynąc wzdłuż wybrzeży Indii Zachodnich, galeony grupowały się w Vera Cruz w Meksyku lub w Hawanie, by wspólnie przemierzyć wielki ocean.

Towary z imperium Inków (Chile, Peru, Ekwador, Boliwia, Kolumbia), obmywanego przez „morze południowe" (Ocean Spokojny), ładowane były na statki płynące wzdłuż brzegu aż do przesmyku Darien (Panama) i przeładowywane na wybrzeżu Morza Antylskiego z grzbietów mułów.

Oto typowy przykład ładunku jednego galeonu:

– Złoto rodzime, ruda złota, złoto w bloku (stop surowy) lub w sztabach, monety złote wybite na miejscu, srebro, koszenila[1], indygo[2], drewno kampeszowe, mahoniowe, bawełna, tytoń, skóry, peruwiański balsam, kasja, kakao, cukier, wanilia, perły, szmaragdy, ametysty.

Ładunki, a szczególnie złoto, nie zawsze docierały do portu przeznaczenia. Sztormy i piraci zbierali ciężki haracz. Można przyjąć, że na początku XV wieku trzydzieści, czterdzieści procent galeonów ginęło w morskich katastrofach lub plądrowali je bądź zatapiali piraci.

Poza tym, kapitanowie statków, w tajemnicy lub za aprobatą armatorów, działali na czarnym rynku sprzedając, szczególnie królowi Francji, część przewożonego złota po korzystniejszej cenie niż na oficjalnym rynku hiszpańskim.

Do tego stopnia, że król Hiszpanii często bywał rozczarowany wielkością swego udziału ze względu na ukrywanie faktycznej wielkości ładunku.

W ten sposób po zatonięciu okrętu admirała Rodryga Farfana na pełnym morzu w pobliżu Tarify w 1555 roku udało się odzyskać 350 tysięcy piastrów, podczas gdy w księgowości figurowało tylko 150 tysięcy!

W XVI wieku bilans zysków i strat ekspedycji do Nowego Świata w przypadku metali szlachetnych wyglądał nastąpująco:

przywieziono do Hiszpanii	700 ton złota, 23000 ton srebra
zatonęło w czasie sztormów	200 „ „ , 7000 „ „
zrabowane przez piratów	100 „ „ , 3000 „ „

Do tych mało precyzyjnych liczb trzeba dorzucić jakąś nieokreśloną, ale znaczną ilość szlachetnych kamieni, biżuterii i przedmiotów o wielkiej wartości.

Od XVI wieku Atlantyk przemierzały więc galeony z najbajeczniejszą fortuną, o jakiej ludzie mogli śnić.

---

[1] Koszenila – karminowy barwnik otrzymywany z drobnych pluskwiaków, pochodzących z Meksyku.

[2] Indygo – ciemnobłękitny barwnik, mało trwały, wyrabiany z liści indygowca farbiarskiego.

Anglicy nazywali je *treasure ships*, Hiszpanie *Plata Flota*, a Francuzi „Złotą Flotą".

Te płynące bogactwa musiały nieuchronnie wzbudzać pożądliwość piratów i sąsiadujących państw.

Tym bardziej że Ferdynand V, Karol V i Filip II nierozsądnie dążyli do monopolizacji handlu z Nowym Światem, mordując obcych kolonów – głównie francuskich, którzy zainstalowali się na przyległych terytoriach, gdzie Hiszpanie nie zdążyli zatknąć swej bandery.

Złoto Indii Zachodnich! Największy Shylock, największy Harpagon wśród odkrywców wszechczasów, Krzysztof Kolumb, został dosłownie przeniesiony na nowy kontynent na fali gorączki złota.

Dla tego złota, które wypełniało mu duszę, serce i każde włókienko ciała, Kolumb stał się fałszerzem, krzywoprzysiężcą i handlarzem żywym towarem.

Odkrycie skarbu przez jego protektora, pana de Santangel, zdecydowało o finansowaniu ekspedycji. To o złocie Krzysztof Kolumb pisze w każdym miejscu swego dziennika pokładowego; to złota zaczyna szukać natychmiast po dobiciu do wysp.

Jeśli tylko w jakimś miejscu jest gorąco, on natychmiast dostrzega perspektywę odkrycia kopalni złota! Jego zdaniem, Cipango „ma rzeczywiście bardzo bogate zasoby złota, pereł i szlachetnych kamieni; można tam znaleźć świątynie i królewskie siedziby z masywnego złota" (list Toscanellego do Kolumba, prawdopodobnie sfałszowany, napisany przez Genueńczyka).

Później Krzysztof Kolumb napisze takie zdanie, oddające co najmniej dziwny stan jego umysłu:

„Złoto jest wspaniałą rzeczą. Posiadanie go oznacza rozporządzanie tym, co najbardziej pożądane na świecie. Złoto może nawet zaprowadzić do raju, jeśli używa się go do odprawiania mszy".

Takie wyznanie wiary czyni z jeszcze większym cynizmem Fernando Cortez zwracając się do ambasadora króla Meksyku, Montezumy II: „Powiedz swemu panu, żeby przysłał nam złoto, dużo złota, ponieważ ja i moi towarzysze cierpimy na chorobę serca, którą można wyleczyć tylko za pomocą złota".

Ach, jak wielkimi byli Marco Polo, Jaques Cartier, Cabral! Jakkolwiek by było, w chciwości Kolumba i Corteza daje się dostrzec drapieżność piratów morskich szlaków!

Czasy podbojów hiszpańskich były w całym tego słowa znaczeniu erą skarbów ukradzionych, zagubionych, ukrytych, a przede wszystkim skarbów zatopionych.

Pochodząc z bajkowej przygody, złoto, srebro, perły, szmaragdy i rubiny spoczywają zagrzebane w skamieniałych szkieletach galeonów, zatopionych w czasie bitew lub pogrążonych przez burze.

Tradycja zapewnia o pięciuset tysiącach kilogramów złota! I ponad milionie kilogramów srebra w piastrach, dublonach, sztabach, bryłach i monetach!

W Hiszpanii na dnie pewnej zatoki tony złota spoczywają przemieszane z piaskiem i szczątkami wraków; tony srebra ścielą się jeszcze grubszą warstwą i to tu, to tam poniewierają się jakieś szkatułki szmaragdów, ametystów, pereł, ambry czarnej i szarej.

Przeszłe wieki, sztormy i prądy po trochu pogrzebały te kolosalne bogactwa pod metrami mułu i piasku i teraz morskie głębiny nie udostępniają żadnej wypukłości, która mogłaby wskazać skarb.

Miejsce jest znane z dokładnością do jednej mili! Taka dokładność jest niewystarczająca, ponieważ skarb z Vigo znajduje się pod trzydziestoma, pięćdziesięcioma metrami wody.

A jednak od trzech wieków ludzie angażują się, by zdobyć cenne złoże. Niektórzy wydobyli na powierzchnię galeony opróżnione z pierwotnej zawartości, inni zebrali parę kasetek z piastrami, jeszcze inni szperają dziś uzbrojeni w nowoczesną aparaturę.

Morze jednak broni swego skarbu, przez niektórych ocenianego na dwieście miliardów w złocie, co wydaje się stanowczo zbyt optymistyczne!

Do historii Vigo wśliznęła się bowiem także legenda, przynosząc to złoto i ładunki szlachetnych kamieni; wniknęła w nią tak głęboko, że nie wiadomo, na ilu setkach miliardów zatrzyma się przy określaniu wielkości skarbu.

W 1702 roku z obawy przed angielskimi i holenderskimi piratami władcy Hiszpanii nie zamawiali niczego w mennicy kolonii amerykańskiej, gdzie złoto i srebro gromadziło się od czterech lat.

Ale skarbiec w Madrycie opróżniał się i Filip V zażądał wysłania do Sewilli należnej metropolii daniny. Ryzyko było ogromne, ponieważ miliardy oczekujące na wysłanie przez ocean musiały wyzwolić namiętne pożądanie, tym bardziej że Hiszpania i Anglia były w stanie wojny.

Mimo to 2 czerwca 1702 roku port w Hawanie opuściło dziewiętnaście wielkich galeonów i pożeglowało wraz z całym bogactwem w kierunku hiszpańskiej matki-ojczyzny. Filip V był wnukiem Ludwika XIV i potężny król Francji, będący oczywiście również w stanie wojny z dziedzicznym wrogiem – Anglią, dostarczył w celu eskortowania złotej floty eskadrę dwudziestu trzech fregat, dowodzoną przez markiza de Châteaurenault.

Nie mogło być lepszego wyboru, ponieważ Châteaurenault, godny następca Tourville'a, zawsze – czy to przy równowadze sił, czy z mniejszymi siłami – rozbijał w proch Anglików. Pokonał także holenderskich admirałów Ruytera i Evertzena. „Plata Flota" była dowodzona przez Don Manoela Velasca.

Kiedy galoeny miały rozpocząć ostatni, najniebezpieczniejszy etap rejsu, w okolicach Azorów okazało się, że silna flota angielsko-holenderska przegradza im drogę na całej długości wybrzeży Andaluzji.

Na galeonie hiszpańskim „Capitana" zwołano natychmiast radę wojenną.

– Jak liczona jest flota nieprzyjacielska? – zapytał Châteaurenault.

– Sto pięćdziesiąt okrętów – odpowiedzieli posłańcy króla.

– Walka jest niemożliwa. Proponuję, byśmy tej nocy popłynęli na północ, by schronić się w dobrze strzeżonym porcie francuskim w La Rochelle albo Breście.

Ale Don Manoel Velasco udał, że tego nie słyszy!

„Plata Flota“ stanowiła najbardziej oczywisty ze skarbów Hiszpanii i mimo że Francuzi byli sprzymierzeńcami... nie należało kusić diabła!

– Spróbujemy przerwać blokadę – powiedział.

– To szaleństwo! – zagrzmiał Châteaurenault. – Czyż nie zdajecie sobie sprawy, że cała potęga angielsko-holenderska runie na nas?! Takimi siłami można zagrozić całemu państwu. Nawet taki port jak La Rochelle nie jest całkowicie bezpieczny! Czy pan nie rozumie, że taka koncentracja oznacza inwazję albo wojnę?

Niektórzy Hiszpanie przyznali mu rację, jednak większość przyłączyła się do opinii Velasca i ostatecznie zdecydowano, że „Plata Flota“ poszuka schronienia w zatoce Vigo.

Wybór nie był niedorzeczny.

Zatoka Vigo, wcinająca się w ląd na dwadzieścia kilometrów, szeroka od trzech do czterech kilometrów, zawiera w sobie redę zamkniętą wąskim przesmykiem wodnym na kształt ślepej uliczki o szerokości zaledwie siedmiuset metrów, przy wejściu od północy i od południa chronionym przez baterie nabrzeżne.

W rezultacie dziewiętnaście galeonów i dwadzieścia trzy żaglowce eskorty popłynęło w kierunku Vigo, gdzie dotarły bez przeszkód 22 września.

Châteaurenault dobrze wypełnił swą misję i admirał Velasco mógł sądzić, że flocie już nic nie zagraża.

Mimo to, dla pewności podwojono ilość dział broniących redę, wzmocniono północny i południowy garnizon i zbudowano tamę (zaporę z łańcuchów i pali) u wejścia do przesmyku.

Hiszpanie czuli się tak bezpiecznie, że pięć okrętów eskortujących zostało odesłanych do Francji. Otóż to... tym razem wygraliśmy – myślą.

Jednak nie! Ponieważ naród hiszpański, najgenialniejszy nawet (mamy na myśli tytanów noszących nazwiska Cervantes, Goya, Velasquez, Garcilaso de la Vega, Granados), ten genialny naród posiada jedną dziedziczną wadę: jest rutyniarski, nieufny, skomplikowany, „urzędniczy“ wraz ze wszystkim, co to określenie zawiera katastroficznego!

Wystarczyłoby wyładować skarb z „Plata Flota“, by zakończyć wszystko... Tak, ale to byłoby zbyt proste!

W praktyce zgodnie z przepisami całość handlu skierowanego do Ameryki lub pochodzącego z niej powinna być kontrolowana przez Casa de Contratacion w Sewilli, gdzie są wystawiane licencje królewskie i dokonywane inwentaryzacje. A więc wyładowanie skarbu jest niemożliwe!

Można by ewentualnie przewieźć go w całości drogą lądową aż do Sewilli, ale trzeba sobie wyobrazić, jaki problem stanowi konwój z tysiącami ton minerałów, jaką należałoby przewidzieć eskortę i jakie powstaje ryzyko utraty lub zniszczenia.

Jednakże na rozkaz specjalny Marii Luizy Sabaudzkiej, która rządziła królestwem pod nieobecność męża wojującego w Italii, królewskie *quinto* i część przysługująca skarbowi królewskiemu w sztabkach i monetach zostały wyładowane i wyprawione do Madrytu.

Wydawało się rozsądne pozostawienie „Plata Flota“ nietkniętą z wielkim bogactwem w ładowniach w głębi zatoki Vigo i oczekiwać, aż znużeni pilnowaniem Anglo-Holendrzy zdecydują się na odwrót. Wtedy galeony będą mogły wypłynąć na morze i dopłynąć do Sewilli albo przynajmniej do San Lucar czy Kadyksu.

Pomimo wszystko, ten punkt widzenia jest do przyjęcia i nic nie zapowiadałoby kłopotów, gdyby – jak zobaczymy – nieprzyjaciel nie wyciągnął odpowiednich wniosków i gdyby obrona lądowa zatoki, uważana za wartościową, nie okazała się w rzeczywistości śmiesznie słaba.

Dziewiętnaście galeonów stoi więc zakotwiczonych w głębi zatoki, w porcie Redondelle, osłanianych przez zaporę, nabrzeżne baterie artylerii i dziewiętnaście fregat Châteaurenaulta, rozstawionych wachlarzowato przed wejściem do przesmyku.

Dokładna pozycja galeonów jest następująca: zatoczka Saint-Simon, między przesmykiem, Wyspą Mnichów i miasteczkiem Redondelle. Kołyszą się tam na lekkiej fali pływające kasy pancerne o dźwięcznych nazwach: „Jesus-Maria-Joseph“, „Santa Cruz“, „Nuestra Señora do los Dolores“, „La Capitana“, „San Diego“, „Adjuan Bestra“, „San Juan“, „Santissima Trinidad“, „San Juan Baptista“, „Nuestra Señora del Rosario“, „Nuestra Señora de las Mercedes“, „Tojo“,„Sacra Familia“, „Nuestra Señora de las Animas“, „San Cristo de Buen Viaje“ itp.

W nadętych brzuchach z drzewa cedrowego śpią bogactwa zebrane w Peru i Meksyku.

Sen „Plata Flota“ trwał dokładnie miesiąc, gdy nagle 21 października sto pięćdziesiąt okrętów floty angielsko-holenderskiej pod dowództwem admirała Rooke'a brutalnie napadło na Vigo. Rooke wyładował osiem tysięcy ludzi, którzy zmietli garnizony i forty nabrzeżne, rzucił kilka statków do ostrzelania z armat zapory, która ustąpiła i odsłoniła przesmyk.

Z tym zastrzeżeniem jednak, że osiemnaście fregat należących do Châteaurenaulta stłoczyło się u wejścia do zwężonej części zatoki.

Nieprzyjaciel miał ośmiokrotną przewagę w ilości, a jego trzydzieści tysięcy prostych żołnierzy – siły podwojone perspektywą zdobyczy: skarb jest tuż tuż, przed nimi, na wyciągnięcie ręki.

Trzydzieści tysięcy żołnierzy przemieniło się w trzydzieści tysięcy piratów o wzmożonej żądzy, widzących już tańczące w kółko piastry, dublony, szlachetne kamienie i klejnoty...

Trzydzieści tysięcy dzikich bestii, wspartych piekielnym ogniem z 3115 luf, przypuściło szturm na fregaty i galeony. Była to apokaliptyczna bitwa morska, z pewnością bez precedensu w historii, gdyż prawie dwieście statków, połączonych bosakami, poplątanymi linami i przewróconymi masztami, walczyło ze sobą burta w burtę, bez żadnej możliwości manewru.

Strona francusko-hiszpańska przez długie godziny stawiała opór zalewowi ludzi i kartaczy, aż wreszcie przytłoczona, prawie unicestwiona pozostawiła nieprzyjaciela na wygranym polu.

Podjęto rozpaczliwe decyzje: Velasco wydał rozkaz podpalenia galeonów...

Czyż nie lepiej widzieć, jak dzielna „Plata Flota" tonie ze swoim bogactwem niż oddać ją w ręce agresorów?

Po koszmarze dnia nastąpiła dantejska noc: w zatoce płonęło dwadzieścia galeonów i fregat, oświetlając otaczające ją góry i redę aż po wyspy Cies.

Z wypalonych szkieletów okrętów roztopione złoto spływało w fale, a ruda srebra tworzyła rozpaloną do białości, aż nie do zniesienia dla wzroku, magmę; rozpalone powietrze pachniało wszystkimi aromatami wysp i cennymi przyprawami. Dostrzec było można, jak opowiadano, hiszpańskich marynarzy rzucających przez burtę kasetki, w których połyskiwały perły, rubiny i diamenty.

Francuzi stracili jedenaście żaglowców i prawie dziesięć tysięcy ludzi!

Zwycięska koalicja angielsko-holenderska próbowała gasić pożar. Udało się uratować kilka galeonów i wziąć je na hol, ale wściekłość była ogromna, kiedy okazało się, że największa część bogactw legła w morzu na głębokości dziesięciu, dwudziestu metrów.

Rankiem dwudziestego czwartego angielscy nurkowie odważyli się podjąć próbę penetracji wraków, wyciągnęli trochę łupów, ale ostrzelani przez lądowe oddziały ochotników, szybko musieli zaniechać wydobywania.

Cała flota Rooke'a wyszła w morze, ciągnąc za sobą pięć prawie nie uszkodzonych galeonów z zawartością. Według przekazu, Hiszpania utraciła połowę skarbu w zatopionej „Plata Flota": dwieście milionów funtów szterlingów... dwieście miliardów ciągle spoczywa w mulistych piaskach zatoki.

Pewien Francuz, Florent Ramaugé, poszukiwał skarbu z Vigo od 1945 do 1962 roku, skupiając wysiłki szczególnie na morzu w pobliżu wysp Cies, ponieważ znany jest historyczny fakt zatonięcia tam jednego galeonu obciążonego łupem, który w tym miejscu zerwał się 24 października 1702 roku Anglikom z holu.

Galeon leży zagrzebany w piasku i nie można go dostrzec na głębokości trzydziestu pięciu, pięćdziesięciu metrów, ale

Florent Ramaugé ma nadzieję natknąć się pewnego dnia na wrak i powetować sobie wtedy wszystkie rozczarowania.

Ale czy miałby to być cały bajeczny skarb z Vigo?

Ryzykując zniszczenie legendy i rozpryśnięcie się jak świetlne pociski fantomów złotej floty, można przypuścić, że galeon z wysp Cies musi stanowić co najwyżej połowę jeszcze istniejącego skarbu!

I jest to prawdopodobnie ta część, która jest praktycznie do odzyskania.

Jej wartość może być bliska dziesięciu, może dwudziestu miliardom i gra może być warta świeczki.

Kroniki donoszą, że na rozkaz królowej Marii Luizy „generał Velasco wyprawił do Lugo 1500 wozów złota – zdaniem jednych, a 300 wozów ciągniętych przez woły – zdaniem innych".

Część konwoju musiała zostać zrabowana przez rozbójników i ukryta w górach otaczających Pontevedra.

Admirał Chacon, wzięty do niewoli przez Anglików, sądził, że „musiało zatonąć prawdopodobnie cztery do pięciu tysięcy wozów złota".

Cztery do pięciu tysięcy wozów złota to całkiem piękny zaginiony skarb!

A to, co zostało aż do naszych dni, może zaspokoić najbardziej nieumiarkowane apetyty, nawet jakiegoś nowoczesnego Pizarra.

SKARBY INKÓW

Można z całą pewnością stwierdzić, że Marco Polo, Don Juan i William Phips wyrażają ducha ludzkiej ciekawości.

Ciekawości wiedzy, miłości i tajemnicy; przygody, kobiet i złota.

Właśnie delikatna kompozycja tego zestawu poprowadziła Sir Waltera Raleigha w kierunku amerykańskiego Eldorado: kochał królową, pragnął sławy, a tajemnicze królestwo Złotego Króla wraz ze złotymi górami i perłowymi rzekami wzywało go do siebie.

Walter Raleigh był kimś w rodzaju błędnego rycerza, był prawdziwym poszukiwaczem skarbów, a o jakim piękniejszym skarbie można było marzyć w XVI wieku niż Eldorado?

Wszyscy o nim mówili, niektórzy twierdzili, że je widzieli, że w nim byli, ale prośba o wskazanie na mapach z tamtych czasów jego dokładnego położenia wprawiłaby w zakłopotanie najbardziej oddanych przygodzie geografów.

Przybliżone miejsce położenia upatrywano w strefie zawartej między Amazonką i Orinoko w dzisiejszej Gujanie wenezuelskiej, a więc pomiędzy równikiem – 0° szerokości geograficznej i 68° długości geograficznej zachodniej.

Stolicą tego urojonego królestwa była Manoa, a jego władca nazywał się zarówno Wielki Payté jak Wielki Moxo czy Wielki Paru lub Enim, albo jeszcze lepiej: Złoty Król (El Dorado).

Tę rajską krainę, obfitującą w najbardziej godne pożądania bogactwa, wymyślił porucznik z wyprawy Pizarra o nazwisku Orellana.

Hiszpan Martinez twierdzi, że przebywał tam siedem miesięcy, i na poparcie swego twierdzenia wykonał mapę, na której wyrysował trzy łańcuchy górskie, otaczające królestwo Eldorado: góry ze złota, ze srebra i z soli!

Walter Raleigh z kolei, po powrocie z ekspedycji do Ameryki Południowej, nie obawiał się opublikowania szczegółowego raportu ze swych przygód, zatytułowanego *Odkrycie rozległego, bogatego i pięknego imperium Gujany i wielkiego złotego miasta Manoa*, w którym opisywał z upodobaniem pałace z porfiru i alabastru, góry złota i pereł, ludzi bez głów zamieszkujących wnętrze kraju oraz plemię Amazonek z obciętą piersią!

Z pewnością opisywał rzeczy, o których wiedział tylko ze słyszenia!

Niezależnie od bogactw naturalnych, Eldorado uchodziło za miejsce ukrycia skarbu Inków. To właśnie w Eldorado, jak powiadają Hiszpanie, schronił się brat Atahualpy, inki zamordowanego przez Pizarra, wraz z całym skarbcem imperium Peru.

Jest to niewątpliwie legenda! Ale o ile Eldorado stanowiło wspaniały mit, który poza magicznym wezwaniem budził w ludziach także odwieczny, prehistoryczny instynkt marszu na zachód, chęci odkrycia krańca świata, tam gdzie każdego wieczoru pogrążało się słońce, jeśli więc Eldorado było wymyślone w każdym calu, to skarb Inków, niepokojący sny tylu pokoleń, nie jest skarbem mitycznym!

Jest on największym ze wszystkich skarbów, o wartości równej prawdopodobnie wartości wszystkich skarbów na świecie, gdyby udało się je zgromadzić.

Trudno jest określić jakąś wartość liczbową, tym bardziej że trzeba by mówić o miliardach miliardów, ale trzeba przyznać, że złoto ukryte w 1533 roku przez Inków, stanowiące fortunę tysiącletniej cywilizacji, odpowiadało ilości złota wydobytego w kopalniach Peru od XVI wieku do roku 1803.

Okres ten i hipotezę zapożyczyliśmy od historyka Bertranda de Jouvenela. Zgodnie z nią złoto przywiezione do Europy odpowiadało 1 232 445 500 piastrom, czyli kwocie około 1 tryliona 500 miliardów dzisiejszych franków w złocie.

Liczba jest tak ogromna, że bardziej oddziałuje na wyobraźnię niż na rozum.

By wyjaśnić genezę inkaskich skarbów, trzeba zacząć od wcześniejszej historii imperium Inków aż do jego podbicia przez Franciszka Pizarra w 1532 roku.

Imperium rozciągało się od Chile do Kolumbii, wokół Andów. Stworzył je około XI wieku Manco Capac, a po nim nastąpiło panowanie czternastu monarchów, czyli „inków".

W 1524 roku Huayna Capac, inka dwunasty, podzielił królestwo pomiędzy dwóch synów: Huascara – inkę prawowitego, który panował w Cuzco, i Atahualpę – syna naturalnego, panującego w Quito. I to było źródłem walk bratobójczych.

Atahualpa zrzucił brata z tronu i ogłosił się inką najwyższym w 1532 roku, a więc dokładnie w roku, który Pizarro wybrał sobie na podbój Ameryki Południowej.

16 listopada 1532 roku w Cajamarca na północy kraju odbyło się spotkanie między Atahualpą i konkwistadorem, czego rezultatem było perfidne, trzeba to przyznać, uwięzienie inki przez Pizarra.

Wiąże się z tym sławetna historia okupu: Atahualpa, który tymczasem kazał zamordować Huascara, zaoferował za swe uwolnienie złoto wypełniające miejsce odosobnienia do wysokości 9 stóp od ziemi i na dodatek srebro w ilości podwójnej objętości przyległej sali.

Termin dostarczenia okupu wyznaczono na dwa miesiące.

Pizarro oczywiście zaakceptował propozycję i indiańscy posłańcy wyruszyli w głąb kraju, by zbierać metale szlachetne.

Cela Atahualpy miała następujące wymiary:

– zdaniem Xeresa, sekretarza Pizarra, mierzyła 17 stóp na 22, a więc 5,5 metra na 7;

– zdaniem Franciszka Pizarra: 35 stóp długości na 17–18 szerokości.

Przyjmując uzgodnioną wysokość 9 stóp, objętość złotego okupu miała mierzyć około 105 metrów sześciennych.

Uwzględniając puste miejsca, wynikające ze składowania złotych przedmiotów, określone na najmniej cztery piąte całej objętości, otrzymalibyśmy ilość odpowiadającą 20 m^3 złota, a więc czterystu tysiącom kilogramów złota – dwu do trzystu miliardom!

Ale Atahualpa trochę przesadził z okupem; on był tylko inkaskim bastardem, nie uznanym przez kapłanów i w niewielkim stopniu szanowanym przez wielkich imperium. Jego dość już wątpliwy autorytet po uwięzieniu przez Pizarra spadł prawie do zera, co sprawiło, że szlachetne metale napływały skąpo.

Atahualpa obiecywał 400 tysięcy kilogramów złota, udało mu się zebrać zaledwie około 5 tysięcy! Hiszpanie podzielili się okupem w Cajamarca 18 czerwca 1533 roku, po stopieniu całości.

Stop, zważony i opisany, składał się z:

– jednego miliona 326,539 złotych pesos (około 4500 kilogramów),

– 51610 marek[1] srebra (około 12900 kilogramów), którymi podzielili się Pizarro, jego sześćdziesięciu dwóch jeźdźców i stu dwóch żołnierzy pieszych, dla Almagra i jego niewielkiego oddziału pozostawiając jakieś okruchy.

Mówiono, że Franciszek Pizarro otrzymał 57220 monet i 1175 funtów srebra. Każdy z jeźdźców – 8880 monet i 180 funtów srebra, a każdy piechur – 4400 monet i 90 funtów srebra.

Niezły ekwipunek do przetransportowania przez góry Indii Zachodnich! Co najmniej sześćdziesiąt kilogramów na tych najmniej obciążonych!

Krótko mówiąc, kiedy Atahualpa został zamordowany przez Hiszpanów, okup przestał napływać i twierdzi się, że konwoje ze złotem, będące w drodze, zostały zatrzymane i schowane w górach.

---

[1] Marka – jednostka wagi drogocennych metali, moneta równa 8 uncjom.

Jest więc faktem bezspornym, że historia z Cajamarca i okup za Atahualpę nie mają zupełnie nic wspólnego ze skarbem Inków, który składa się ze złota obrobionego w każdej z możliwych postaci, z kosztowności będących obiektami kultu, pochodzącymi z pałacu królewskiego i pałaców wielmożów, z wyłączeniem monet, których Inkowie nie znali i nie zajmowali się ich wybijaniem.

Mimo że cywilizacja preinkaska była o wiele starsza, przyjmuje się, że przodkowie Inków gromadzili złoto w skarbcu od XI wieku.

Stanowi to więc sześć wieków gromadzenia w kraju obfitującym w metale szlachetne. Wartość skarbu powinna wobec tego osiągnąć 1 trylion 500 miliardów franków.

I tego złota Hiszpanie nie znaleźli.

Nie było nas oczywiście w Cajamarca i w Cuzco w czasie podboju, byśmy mogli wyciągać takie wnioski, ale Pedro Pizarro był tam ze swymi braćmi. Był więc świadkiem wydarzeń, a oto co zapisał w swej kronice:

„Opiszę teraz, co zastaliśmy po przybyciu do Cuzco... Ze zdumieniem oglądaliśmy wazy wykonane z drewna, złota i srebra, chociaż najpiękniejsze zostały przez Indian ukryte.

Wśród innych rzeczy odkryliśmy wizerunek wykonany ze złota, a Indianie wyjaśnili nam, że jest to wizerunek twórcy dynastii Inków.

Znaleźliśmy także złote kraby, wazy z motywami ptaków, węży, pająków, jaszczurek i innego robactwa. Wszystkie te cenne rzeczy odkryte zostały w grocie w pobliżu Cuzco.

Pewien Indianin powiedział nam, że w jaskini niedaleko Villaconga znajdują się ukryte wielkie ilości płytek ze złota, które kazał wykonać Huascar, by nimi udekorować swój pałac.

Jednak w kilka dni po przekazaniu nam tej rewelacji nasz informator zniknął bez śladu.

Wszystkie skarby są ukryte w sposób uniemożliwiający ich odkrycie.

Orejones kazali je służbie dostarczyć w pobliże wybranej skrytki. Tam inni Indianie zastąpili tragarzy. Zakopali wszystkie przedmioty, a następnie na rozkaz swych panów albo się powiesili, albo rzucili w przepaść bez najmniejszego protestu.

W kraju znajduje się niezliczona ilość skarbów, ale tylko cud pozwoliłby nam je znaleźć..."

Z tej kroniki Pedra Pizarra trzeba wyciągnąć jeden niezwykle ważny wniosek: skarby zostały ukryte w taki sposób, by wiadomość o kryjówce posiadało jedynie niewielkie grono wtajemniczonych, prawdopodobnie kapłanów. Ludzie ci zostali bez wątpienia zlikwidowani albo popełnili samobójstwo, tak że nie mieli nigdy okazji ani pretekstu do rozgłoszenia sekretu. Tym bardziej że ich religia została nieodwracalnie zastąpiona przez chrześcijaństwo.

Galeony „Plata Flota" wywoziły z Peru do Europy w przeważającej większości rudę metali.

Często ruda ta była przerabiana na miejscu, a mennice Ciudad de los Reyes (Lima) i Meksyku wybijały monety.

Nie ma więc żadnej wątpliwości, że skarb wciąż znajduje się w kryjówkach. Pochodził głównie z królewskiego pałacu i świątyń, szczególnie ze świątyń Boga-Słońca w Cuzco i nad Titicaca.

Z jeziorem Titicaca związana jest barwna legenda, którą na marginesie skarbu Inków warto opowiedzieć. Jest to legenda o słońcu ze złota.

Kiedy Hiszpanie podzielili już między siebie spory łup z Cajamarca i Cuzco, stali się tak bogaci, tak opływający w złoto i srebro, że nie wiedzieli, co z tym bogactwem robić. Zabawiali się więc grą w kości o nie.

Opowiadano, że jeden z nich, jak twierdzi pisarz Prescott – kawaler Leguisano, a według historyka Hubera – żołnierz Mancio Serra, posiadał w swojej części łupu złoty krążek z wizerunkiem słońca.

Pewnej nocy przegrał ten krążek w kości i z tego narodziło się przysłowie hiszpańskie: „Grać o słońce przed wschodem".

Słoneczny krążek dostał się następnie w ręce pewnego caballero, zakochanego nieprzytomnie w inkaskiej dziewczynie, której udało się nawrócić go na religię Boga-Słońca i przekonać, że słoneczny krążek ze złota winien być zwrócony kapłanom i dostarczony do nie obrabowanej jeszcze świątyni nad Titicaca.

Ruszyli więc oboje na południe, ale za nimi podążał specjalny oddział hiszpański, dowodzony przez jednego z poruczników Pizarra.

Z niewielką przewagą czasu uciekinierzy dotarli nad święte jezioro i wsiedli do łodzi z drzewa balsa wraz z cennym wizerunkiem.

Osaczeni przez Hiszpanów, wiedząc, że nie mogą liczyć na żadną łaskę, kochankowie wrzucili złote słońce do wody, w której pogrążyło się wydając ostatni cudowny błysk. A potem objęci skoczyli razem do jeziora, znikając w jego wodach.

Florent Ramaugé zna bardzo piękną legendę, mówiącą o dwóch skarbach inkaskich, niestety – dość problematycznych.

– Jest to historia fascynująca – mówił Florent – ale na nieszczęście zapomniałem pewnych szczegółów, a także imion bohaterów; zapewniano mnie o autentyczności faktów, co być może jest zgodne z prawdą.

Pewien stary Inka, należący do szlachty, dziedzic tradycji i wielkich tajemnic przodków, pod koniec życia poczuł się bezradny, ponieważ to, co wiedział, miało ogromne znaczenie i nie powinno umrzeć wraz z nim.

Chodziło o dwa wielkie inkaskie skarby, ukryte w Andach przez kapłanów Słońca w dwóch kryjówkach zwanych „Pez Grande" i „Pez Chico".

Stary człowiek miał hiszpańskiego przyjaciela, człowieka o wielkich zaletach moralnych, oddanego miłośnika miejscowych obyczajów (a przynajmniej za takiego uważał go stary Inka), który od dawna dostarczał mu dowodów swej najwierniejszej przyjaźni.

Hiszpan ten był z pewnością jego najlepszym przyjacielem i po głębokim namyśle Inka zdecydował się na uczynienie z niego swego ostatniego powiernika, takiego, który po jego śmierci dotrzyma niezwykłego sekretu Pez Grande i Pez Chico.

Przywołał go do swego łoża i powiedział:

– Posłuchaj, przyjacielu, zawsze okazywałeś mi szacunek i przyjaźń, wierzę więc w twą wielkoduszność oraz zalety ducha. Moje dni są policzone; powinienem pozostawić dla przyszłości sekret, który mnie pozostawili moi przodkowie. Tobie, przyjacielu, powiem, gdzie znajduje się skarb z Pez Chico. Jest on ukryty w Andach Carahaya na zboczu doliny, którą płynie rzeka. Znajdziesz tam grotę, którą oświetla wschodzące słońce swym pierwszym promieniem. Na końcu groty zawalonej wielkimi głazami musisz znaleźć szparę wystarczająco szeroką, by mógł się przecisnąć człowiek. Za głazami w głąb góry podąża podziemny korytarz. W nim należy otworzyć po kolei troje drzwi, by móc dostać się do tajemnego sanktuarium.

Pierwsze drzwi są z miedzi i otwiera się je złotym kluczem. Drugie – ze srebra i otwiera je klucz miedziany. Trzecie ze złota – otwiera się je srebrnym kluczem.

W sanktuarium znajdziesz zgromadzone wielkie bogactwa; posągi z drogocennych metali i krążek z czystego złota, który masz mi przynieść, bym mógł na niego popatrzeć jeszcze przed śmiercią. Potem odniesiesz go do sanktuarium i będziesz zawsze dbał, by nic nie uronić z bogactwa należącego do Boga.

Hiszpan przyrzekł wszystko, o co prosił go starzec, i udał się w Andy Carahaya.

Lecz w miarę zagłębiania się w góry ogarniała go gorączka złota i szaleństwo na jego punkcie. Wszedł do groty, a ponieważ zamki nie dawały się łatwo otworzyć, wysadził drzwi, potem opróżnił sanktuarium ze wszystkiego, co w nim było najcenniejszego.

Łup ten jednak tylko powiększył jego szaleństwo złota. Ogarnęło go nagłe i nieodparte pragnienie zdobycia skarbu Pez Grande, jeszcze wspanialszego.

Wrócił do starego i groźbami oraz przymusem próbował wydobyć od niego sekret wielkiego skarbu.

– Nie – rzekł Inka. – Oszukałeś mnie, zawiodłeś zaufanie, jakim cię obdarzyłem, ale nigdy nie uda ci się poznać sekretu Pez Grande... nigdy... nigdy...

Przed śmiercią, która nastąpiła w wyniku zadanych mu tortur, wyszeptał jednak słowa, które podniecily nadzieje Hiszpana: „Wejście do Pez Grande jest pod posągiem Boga-Słońca, ale go nie znajdziesz!"

Hiszpan, przypominając sobie taki posąg z sanktuarium Pez Chico, zrozumiał czy domyślił się, że należy szukać w grocie, gdzie powrócił uzbrojony w łopatę i kilof. W świetle latarni okrętowej całymi godzinami zmagał się z posągiem Boga, który wreszcie udało mu się powalić. Jednak w tej samej chwili zawaliły się ściany groty i pogrzebały go.

W ten sposób na zawsze przepadł sekret Pez Chico i Pez Grande, których historia dotarła do nas, nie wiadomo jakimi tajemniczymi drogami.

Historia jeziora Titicaca należy natomiast do rzędu spraw możliwych i prawdopodobnych.

Jezioro jest jak wewnętrzne morze o długości ponad dwustu kilometrów; znajduje się w odległości jednego dnia konnej jazdy od granicy Peru i Boliwii, na wysokości 3919 metrów nad poziomem morza.

Właśnie na wyspie na Titicaca około roku 1100 Manco Capac, pierwszy inkaski król – pierwszy inka – miał objawienie misji, do jakiej wyznaczył go Bóg-Słońce.

Titicaca stało się więc celem pielgrzymek Indian, jak Jerozolima, Mekka czy Benares.

Inkowie wznieśli na wyspie – położonej aktualnie na terytorium boliwijskim – wspaniałą świątynię, której mury wyłożone były złotem (w inkaskiej mitologii lub historii mury świątyń zawsze pokryte są złotem. Była to niewątpliwie prawda).

Każdy Indianin miał obowiązek przynajmniej raz w życiu udać się na pielgrzymkę do świątyni i złożyć ofiarę z cennego kruszcu.

Garcilaso de la Vega pisał na ten temat:

„Inkowie wybudowali tam jaśniejącą świątynię o murach pokrytych złotymi płytkami.

Każdego roku prowincje imperium wysyłały w podzięce Bogu-Słońcu ofiary o wielkiej wartości, w formie złota i srebra".

Ojciec Blas Valera twierdził, że według wyznań Mitimaca, strażnika na świętej wyspie, czyli „Ayllusa", stosy złota i srebra złożone na wyspie Titicaca wystarczyłyby do wybudowania nowej świątyni bez konieczności użycia kamieni czy zaprawy murarskiej.

Było to złoto w stosach, w postaci płytek, pocięte w płyty, obrobione wstępnie, godne podziwu dwudziestu pokoleń ludzkich!

Świątynia przepełniona więc była bogactwem przynajmniej porównywalnym ze zgromadzonym w Cuzco.

Cóż więc stało się z tymi bogactwami?

Kronikarze zapewniają, że kiedy „Ayllusowie" dowiedzieli się o przybyciu zdobywców i o tym, że czyhają oni tylko na złoto, wrzucili cały skarb ze świątyni Titicaca do jeziora, a Hiszpanie zastali tam tylko ogołocone ruiny.

Dziś na miejscu starożytnego sanktuarium, jakby w wyniku monstrualnego świętokradztwa, znajduje się kościół Notre-Dame z Capac Arana.

Skarb pozostaje zatopiony, bez wątpienia na największych głębinach, osiągających 185 metrów.

Woda w jeziorze jest zimna, zmącona, a na wysokości dochodzącej do czterech tysięcy metrów nad poziomem morza nie jest możliwe posługiwanie się indywidualnym skafandrem poniżej dwudziestu metrów, ponieważ ciśnienie pod wodą jest odwrotnie proporcjonalne do ciśnienia atmosferycznego.

Może wysuszyć jezioro? Zadanie ogromne i niewykonalne, Titicaca jest bowiem prawdziwym morzem wewnętrznym. Ponadto Peru ma zamiar wydrążyć sześćdziesięciokilometrowy tunel w celu uzyskania spadków wody mającej zasilać elektrownię wodną.

Skarb z Titicaca prawdopodobnie na zawsze spoczywa w mułach świętego jeziora.

Naszym zdaniem, właściwy skarb Inków stanowi skarb ze świątyni Słońca w Cuzco, która ustępując pod względem poważania przez lud sanktuarium Titicaca, stała się ważnym miejscem w szesnastowiecznym imperium.

Świątynia Słońca wznosiła się w południowej strefie miasta, na brzegu rzeki Guatanay.

Przylegał do niej święty ogród, CURICANCHA (od *quicha curi* – złoto i *cancha* – ogrodzenie), a więc złota zagroda!

Ojciec Cobo, jezuita i historyk hiszpański, żyjący w Peru i Meksyku w XVII wieku, donosi, że w Curicancha w Cuzco znajdowały się ogromne ilości złota i srebra, że mury kaplicy, gdzie stał posąg Boga-Słońca, pokryte były złotymi płytkami i że wszystkie naczynia używane w świątyni wykonane były z masywnego złota.

Inny hiszpański kronikarz, współczesny Pizarrowi, żyjący w Cuzco koło roku 1540, znakomity Cieza de Leon, pisał:

„Duża część murów sanktuarium pokryta jest cienkimi, wyklepanymi płytkami złota; dach ze szczytem, wykonany z cienkiej słomy, podtrzymywany jest wiązaniem, którego części przyozdobione są złotymi płytkami. Bóstwa, wazy i wszystkie przedmioty są ze złota".

A oto Curicancha według opisu Garcilaso de la Vega:

„Lecz wyżej od tych cudowności stoją łany kukurydzy wykonane na wzór naturalnych, wraz z korzeniami, kwiatami i kolbami, w których ziarna były ze złota, a reszta ze srebra, wszystko ze sobą pospawane. Można obserwować jeszcze inne rośliny, starannie obrobione na wzór naturalnych poprzez łączenie i spawanie tych metali.

Było tam można zobaczyć także zwierzęta duże i małe, wykonane ze złota i srebra, w wielkości naturalnej i jak żywe: króliki, szczury, jaszczurki, zaskrońce, motyle, lisy oraz dzikie koty, ponieważ domowych było niewiele.

Ponadto znajdowało się wszelkiego rodzaju ptactwo; niektóre jakby śpiewały siedząc na drzewach, inne z rozwiniętymi skrzydłami jakby miały wzlecieć.

Słowem, jeśli zobaczyło się daniele, lwy, tygrysy i wszelkiego rodzaju zwierzęta, to każde z nich wyglądało jak żywe i umieszczone we właściwym mu środowisku naturalnym.

We wszystkich domach były łaźnie z wielkimi zbiornikami ze złota i srebra, w których Inkowie myli się, a rury, którymi dostarczano wodę, wykonane były z tych samych metali.

Ponadto miejsca, w których biły źródła naturalne z ciepłą wodą, wykorzystywaną także do mycia, udekorowane były również wieloma niezwykle pięknymi przedmiotami, wykonanymi ze złota.

Wśród innych potężnych rzeczy, posiadali oni składowiska złota i srebra, z których czerpano te metale w miarę potrzeb i wykorzystywano je na rzecz rodów królewskich.

Kiedy Indianie poznali nienasyconą łapczywość Hiszpanów na złoto i srebro, większość z tych bogactw ukryli, i to w taki sposób, że od tamtych czasów nie można odnaleźć żadnej z wymienionych rzeczy; nie da się także przewidzieć, czy w przyszłości zostaną one ujawnione inaczej niż przez przypadek.

Pewne jest także, że dzisiaj i Indianie też nic nie wiedzą o tych skarbach, bo ich przodkowie nie przekazali im tej wiedzy, by przeszkodzić w korzystaniu z nich przez kogoś innego niż królowie, dla których tylko były przeznaczone". (Zapisane przez Ynkę Garcilaso de la Vega, urodzonego w Cuzco i wiernie przetłumaczone z wersji hiszpańskiej przez I. Baudoina, 1633).

Garcilaso de la Vega oczywiście nie widział niczego z tego, o czym pisał na temat Curicanchy. To matka, inkaska księżniczka, z pamięci przytoczyła mu całą dokumentację na temat bogactw, które bez wątpienia bardzo dobrze znała, ale z całą pewnością w ich opisie znacznie przesadziła!

Jednakże opisane fakty były bardzo nieodległe w czasie. Jeśli dowiedział się o nich w wieku siedmiu lat, to nie mogło upłynąć więcej niż osiem od ukrycia skarbów. Jego świadectwo było niemal współczesne wydarzeniom.

Możliwe nawet, że widział słynny złoty łańcuch Huascara, mający ważyć ponad dwa tysiące kilogramów.

Cieza de Leon mówi na ten temat:

„Niedługo po narodzinach pierworodnego syna książę Huayna Capac kazał, jak powiadają, wykonać coś w rodzaju liny, a raczej złotego łańcucha, tak grubego i ciężkiego, zdaniem tych, którzy go widzieli, że potrzeba było dwustu Indian, by go – i to z wielkim trudem – unieść".

Dalej pisał:

„Gdyby można było mieć dostęp do wszystkich znajdujących się w Peru skarbów, niemożliwe byłoby określenie ich wartości, a Hiszpanie mają niewielkie pojęcie o tym, co pozostaje ukryte.

Z tego widać, że w kraju tym przepadła nieskończona ilość skarbów, które, gdyby najazd Hiszpanów nie zmusił Indian do ich ukrycia, zostałyby ofiarowane Diabłu lub wraz z umarłymi pochowane w grobach".

Wszyscy kronikarze są więc zgodni, co do historycznego uzasadnienia istnienia skarbów inkaskich.

W oparciu o tradycję i wiarygodne wskazówki można wierzyć, iż skarb z Curicanchy został ukryty w podziemiach fortecy Sacsahuaman.

Forteca ta znajduje się na północ od Cuzco.

Tradycja zawsze wiązała z nią największy ze skarbów Inków. Powiadano, że pewnego dnia w podziemiach zgubiło się dwóch chłopców. Po trzech dniach udało im się znaleźć wyjście w pobliżu monasteru San Domingo, zbudowanego na miejscu dawnej świątyni Słońca.

Jeden z chłopców trzymał w dłoni kolbę kukurydzy wykonaną ze złota, kojarzącą się niewątpliwie z religijnym skarbem z Curicanchy.

Jeszcze inne dowody świadczą na korzyść Sacsahuamanu jako najważniejszej skrytki skarbu Inków.

W centrum twierdzy wznosiła się okrągła wieża – Moyoc Marca – zbudowana na platformie dziwnie poprzegradzanej, połączonej z podziemiami, tworzącymi labirynt dostępny tylko kilku wtajemniczonym przewodnikom.

W podziemiach było obfite w wodę źródło, którego ujście znane było tylko najwyższemu ince i członkom rady starszych.

Czemu miałyby służyć te podziemia w formie labiryntu? Dlaczego ze źródłem miałby być związany taki królewski przywilej, gdyby nie chodziło o wprowadzenie w błąd, o utrudnienie ewentualnych poszukiwań, o ochronę groty ze skarbem, kryjówki, najlepszego schronienia dla skarbów imperium?

– Hiszpanie – wspomina Huber – mieli wielką ochotę na eksplorację podziemi, w których, jak wiedzieli, a w każdym razie wierzyli w to, ukryte zostały ogromne bogactwa. Nie mogli jednak ich spenetrować, ponieważ forteca została w czasie wojny zburzona i rozmyślnie spowodowane zawaliska musiały zatkać korytarze.

Wydaje się również możliwe, że bardzo ważna kryjówka mieściła się w głębi kraju, w świątyni Machu Pichu.

Istotnie, wysłany przez Hiszpanów do Manca, ostatniego inki po śmierci Huascara i Atahualpy, ambasador Ruiz Diaz stał się świadkiem dziwnych przetargów.

Manco kazał sobie przynieść korzec kukurydzy, którą rozsypał na ziemi.

Wziął jedno ziarno i pokazał je Diazowi mówiąc:

– Oto co udało się uszczknąć Hiszpanom ze złota Inków.

Następnie wskazując na pozostałe rozrzucone na ziemi, dodał:

– A oto co pozostało i co mógłbym wam dać, gdybyście zobowiązali się na zawsze opuścić imperium. (Według relacji historyka Hubera).

Pizarro nie wyraził zgody na taki warunek, ponieważ był on zobowiązany przybyć do Peru także jako chrześcijański misjonarz, ale anegdota wydaje się świadczyć o tym, że Manco znał jedną z najważniejszych skrytek ze skarbem Inków.

Istnieje możliwość, że skrytka ta, jak również i inne, szczególnie znajdujące się w Cuzco i Machu Pichu, znane są aktualnie miejscowym kapłanom, obarczonym misją podtrzymywania kultu Słońca, i że być może pewnego dnia olśnieni ludzi ujrzą wyłaniający się z podziemi albo andyjskich jaskiń łańcuch Huascara, złote płytki, kolby kukurydzy, lwy i tygrysy, wykonane na wzór żywych ze szlachetnego kruszcu, oraz niezwykłe skarby z Curicanchy...

PIRACI

Złoto, będące przyczyną odkrycia nieznanego świata, uświetnia także historię powieści: szkarłatnej, żółtej i czarnej, której bohaterami są piraci, flibustierzy, rozbójnicy, Bracia Wybrzeża i korsarze, wielcy rabusie oceanicznych szlaków i przypadkowi beneficjenci niezmierzonych bogactw amerykańskich.

Niektórzy z tych awanturników byli autentycznymi dżentelmenami, marynarzami i odkrywcami nowych lądów, przez wydarzenia polityczne rzuconymi w wir korsarskiej wojny.

Inni po prostu liczyli na łupy.

Wielu dożyło swych dni w bogactwie i szacunku; niektórych powieszono na rei, na co faktycznie zasługiwali.

Oto ich nazwiska: Drake, Frobisher, Hewkins, Levasseur, Mansweld, Legrand, Olonnois, Morgan, Montbars Niszczyciel, Wafer, Dampier, Devis, Laurent de Graff, de Lussan, Kidd...

Kiedy „Plata Flota", eskortowana przez chmary fregat, zmierzała do Sewilli lub Kadyksu, piraci rzadko ośmielali się atakować ją frontalnie.

Jednak przed zgrupowaniem, kiedy wzdłuż wybrzeży Brazylii czy Peru, w Zatoce Meksykańskiej czy na Morzu Karaibskim rozproszone galeony zbierały ładunki, wtedy zgraja pirackich brygów, szybkich i przebiegłych dwumasztowców, rzucała się na zdobycz!

Ze stu ludźmi przeciw trzystu i dwudziestoma armatami przeciwko sześćdziesięciu piraci podejmowali ze statkami walkę, prawie zawsze kończącą się przewagą strony bardziej zdecydowanej, bardziej szalonej; zwycięstwem tych, którzy w zdobycie bajecznego łupu gotowi byli włożyć całą swą zuchwałość.

Największe szkody *treasure ships* wyrządzali przede wszystkim piraci i korsarze angielscy, których ojczyzna była w niemal permanentnej wojnie z Hiszpanią.

W XVI wieku statki „San Felipe“ i „Cacafuego“ dostarczyły Sir Francisowi Drake'owi łupu w wysokości 2 milionów dolarów w złocie i srebrze.

Francis Frobisher zdobył na „Madre de Dios“ płynącej z Filipin, bogaty ładunek, składający się z dywanów, hebanu, kości słoniowej, szlachetnych kamieni i monet, wart 1 259 000 dolarów.

W XVII wieku rabusie ograbili „San Pedro“ z „21 tysięcy piastrów, mieszczących się w ośmiu dębowych kufrach i 16 tysięcy w workach, a także pewnej ilości srebra“.

W Kartaginie zrabowali podobno skarb wartości dwudziestu milionów funtów szterlingów.

Pirat Avery w 1694 roku zdobył na statku „Gunsway“, Wielkiego Mogoła[1] i sto tysięcy piastrów oraz tyle samo cekinów[2].

Jednak nawet wśród piratów i awanturników wszelkiej maści, a przynajmniej wśród korsarzy i rozbójników, obowiązywały pewne prawa; przestrzegali elementarnych reguł wojennych, a zdobyczą dzielili się zgodnie z własnym poczuciem sprawiedliwości.

Prawo to, nie stając się absolutnie obowiązującą regułą, przedstawiało się następująco:

1) Każdy musi złożyć przysięgę, że nie sprzeniewierzy ani nie zatrzyma dla siebie najmniejszej nawet zdobyczy.

2) Udział w statku zostaje przekazany kapitanowi.

3) Żołd cieśli (10 do 150 piastrów).

---

[1] Diament – 280 karatów po oszlifowaniu, zaginął po 1747 roku.

[2] Złota moneta wenecka od roku 1284, później zwana dukatem wenec-

4) Udział w zaopatrzeniu (200 piastrów).

5) Żołd chirurga i zaopatrzenie apteczki (250 piastrów).

6) Odszkodowania za odniesione rany, utratę kończyn itp., będące przyczyną upośledzenia fizycznego (według klasyfikacji niezdolności: 600 piastrów za prawą rękę, 500 za lewą, 500 za prawą nogę, 100 za oko lub palec itp.). Warto wspomnieć, że jeden piastr w 1960 roku był równy dolarowi.

7) Reguły podziału łupów: pięć, sześć części przypadało kapitanowi, po dwie były dla drugiego i oficerów, jedna część dla marynarza lub chłopca pokładowego.

8) Nie ma łupu, nie ma żołdu.

Z tego, co powiedziane powyżej, wynika, że ładunki przewożone przez galeony, a co za tym idzie, i łupy piratów, wcale nie osiągały nadzwyczajnych wielkości, przypisywanych przez tradycję skarbom podwodnym i ukrytym na lądzie.

Ponieważ nie mamy możliwości określenia nawet w przybliżeniu ich rozmiarów, pozostaje nam przyjąć to, co przekazały aż do naszych czasów ustne, rozmyślnie optymistyczne relacje! Wydaje nam się jednak, że można wielkość wszystkich ukrytych na lądzie i w morzu bogactw określić kwotą równą, a nawet przekraczającą miliard dolarów.

Piraci, bezustannie zagrożeni stryczkiem, dość rzadko mogli skorzystać ze swej nielegalnie zdobytej fortuny. Bo gdzie ukryć się, by móc żyć spokojnie? Zakładając, że wycofanie się na ubocze było w ogóle możliwe – wiadomo, że ryzyko związane z zawodem było ogromne.

Lepiej więc było wydać, ile się dało, z korsarskich zdobyczy w tawernach Wyspy Żółwiowej i Jamajki.

Jednakże nieufni i przezorni jak zwyczajni mieszczanie, piraci nie zaniedbywali potrzeby znalezienia kryjówki dla zasobów na czarną godzinę, w której siłą rzeczy gromadziły się ogromne ilości dublonów i ósmaków, a także klejnotów i drogocennych kamieni nie dających się spieniężyć.

Wciąż pozostaje wiele nietkniętych kryjówek, gdyż ich właściciele zginęli w walce lub zostali powieszeni, a one same bądź plany określające ich położenie stanowią obiekt gorączkowych poszukiwań.

W 1932 roku z Francji na wyspy Galapagos wyruszyła dość szczególna wyprawa poszukiwaczy skarbów. W jej skład wchodziła baronowa Antoinette de Wagner, Austriaczka, który wyszła za mąż za francuskiego lotnika B., oraz jej trzech przybocznych rycerzy: Robert Philipson, Rudolph Lorentz i doktor Ritter.

Ten kwartet miał zamiar przeżyć podwójny romans – miłosny i przygodowy.

Przygodą miało być poszukiwanie skarbu Desmaresta i stworzenie na wyspie Marchena z archipelagu Galapagos samodzielnego imperium z piękną ciemnowłosą baronową jako władczynią.

Natomiast miłość... mój Boże, jesteśmy tu skazani wyłącznie na domysły, ponieważ wszyscy bohaterowie tej historii albo nie żyją, albo gdzieś zniknęli. Przypuszczano, że baronowa chciała z kartą króla Pausole odtworzyć niepowtarzalne życie Kleopatry, Antoniusza i Amimetobiesów!

Na Marchenie przechadzała się wśród krzewów całkowicie naga w towarzystwie swych trzech pöddanych, a prasa naturystyczna uznała ją za najbardziej zagorzałą zwolenniczkę naturyzmu.

A przecież, kiedy jeszcze była właścicielką sklepu z zabawkami przy ulicy Piopus w Paryżu, nie wpadała zupełnie w gimnozofię... a tym bardziej nie nawiązywała bardzo śmiałych flirtów!

Na swej wyspie Antoinette de Wagner nie nosiła żadnego ubrania z wyjątkiem skórzanego paska z przypiętym do niego sztyletem z karbunkułem w formie gałki rękojeści i rewolwerem z kolbą ozdobioną macicą perłową.

Trzej poddani dokonywali poszukiwań w rozmaitych miejscach, co pozwala przypuszczać, że dysponowali jakimś planem.

Pewien norweski marynarz o nazwisku Nuggerud, przyciągnięty reputacją pięknej władczyni, dobił pewnego dnia do Marcheny. Najpierw potraktowano go bardzo surowo, a chcąc dowiedzieć się, czy także poszukuje skarbu, całą noc trzymano go pod kluczem.

Kiedy okazało się, że jest tylko admiratorem, baronowa po poddaniu go pewnym próbom inicjacyjnym i przekonaniu do nudyzmu dołączyła do swego miłosnego dworu.

Dla niej jeden więcej kochanek stanowił nie byle jaką gratkę; dla trzech współtowarzyszy dwie nowe ręce do przekopywania ziemi na wyspie też były nie do pogardzenia.

Dwaj amerykańscy żeglarze, którzy wkrótce potem dobili, zostali powitani ogniem ze strzelb i szybko się wycofali.

Od roku 1936 historia wspólnoty nie jest znana i nie wiadomo, czy skarb został odnaleziony. W roku 1944 na wybrzeżu Marcheny odkryto ciała Rudolpha Lorentza i Nuggeruda, według jednych zmarłych z miłości, według innej wersji – zamordowanych. Ich śmierć, w każdym razie, nastąpiła wiele miesięcy wcześniej.

Co stało się z innymi mieszkańcami wyspy?

Zgodnie z pogłoskami, prawdopodobnie bezpodstawnymi, doktor Ritter został otruty i pochowany na Florianie, najbardziej na południe położonej wyspie archipelagu Galapagos, a jego grób został w 1949 roku splądrowany przez tajemniczych gości, prawdopodobnie poszukujących przy zwłokach jakichś dokumentów.

Czy Philipson i baronowa zniknęli, by móc przeżywać miłość doskonałą, czy też by sami mogli korzystać z odnalezionego w końcu skarbu?

Nie ma możliwości wyjaśnienia dramatu i odgadnięcia epilogu tego dziwnego romansu.

Dalej na południe w kierunku Cieśniny Magellana, gdzieś w pobliżu 49°38' długości geograficznej zachodniej, ukryty jest bardzo prawdopodobny skarb korsarza Terracuci, byłego porucznika Pola l'Olonnois.

Jego dwumasztowy szkuner „Césarès" był tak obciążony i w tak kiepskim stanie, że po przebyciu cieśniny w styczniu 1751 roku Terracuca uznał, że ostrożniej byłoby pozostawić łup na wyspie Saumapé, gdzie zrobił przerwę w podróży.

Łup składał się ze sztab złota wartości ówczesnej równej stu milionom złotych dublonów, z łupu ze splądrowanego Bahia-Blanca, skarbu Indian Mahuidas, zawierającego pięć tysięcy kilogramów złotych płytek, zerwanych z ołtarzy ofiarnych świątyń.

Przed odpłynięciem załoga, osiemnastu ludzi, podzieliła się bogactwem, jednak z powodu szalejących chorób, szczególnie szkorbutu, nie można było odpłynąć. Wielu marynarzy zmarło na miejscu, a z nimi pozostała ich część złota i srebra. Jest nawet prawdopodobne, że żaden pirat „Césarèsa" nie wyszedł cało z przygody.

W 1846 roku znaleziono w jakiejś grocie dziewięć szkieletów, broń i złote płytki. Nieco później udało się natrafić na klejnoty i dublony. Dwie ekspedycje, podjęte w roku 1896 i 1912, odkryły kilka niewielkich kryjówek, zawierających sześć milionów dublonów, jednak większa część całego skarbu wciąż pozostaje ukryta w którejś z licznych grot wyspy.

W głębi Zatoki Tonkińskiej, na jednej z Wysp Piratów, około 21°15' szerokości geograficznej północnej i 106°5', długości geograficznej wschodniej został, jak mówi kronika, zamurowany w jakiejś pieczarze, znajdującej się prawdopodobnie na wyspie w pobliżu Ha-Tien, skarb pirata Laki Banga, który w 1780 roku pustoszył wybrzeża Birmy i Syjamu i przez dwa lata był panem Kalkuty.

Laka Bang, ofiarodawca słynnego diamentu „Wielki Mogoł" dla radży Rampuru, został zabity przez swego rywala Kaï-Tu, nie wyjawiwszy sekretu swej kryjówki.

Kiedy ktoś spada w przepaść, ma zostać zmiażdżony w potwornym mechanizmie albo tonie w głębinie otchłani, do ostatniej świadomej chwili życia oczekuje cudu z niewysłowioną wiarą: pragnie przezwyciężyć ciążenie, zatrzymać materię, stać się stworzeniem latającym, bezcielesnym lub cofnąć się w czasie...

Ale w obliczu niezniszczalności nieświadomej materii cuda nie istnieją: przyciąganie ziemskie rzuci człowieka na skały, mechanizm zmiażdży, zabójcza woda utopi pływaka: prawa fizyki nigdy nie ulegają prośbie umysłu.

Natomiast między człowiekiem i człowiekiem, między jedną ludzką inteligencją i inną ludzką inteligencją prawie zawsze istnieje możliwość sprawienia cudu za pomocą jednego słowa, słowa mającego magiczną moc: skarb!

Wystarczy tylko wypowiedzieć je do gangstera zdecydowanego zabić, do nieprzyjaciela trzymającego was w swej mocy, do społeczeństwa obojętnego na wasze bankructwo czy też nieszczęście. Wystarczy tylko powiedzieć: „Wiem, gdzie znajduje się skarb..."

Natychmiast gangster opuści kolta, wróg obdarzy was łaską i dobrzy ludzie pochylą się nad wami z zainteresowaniem.

Ta magiczna formułka, prawdziwa lub fałszywa, wywrze odpowiednie wrażenie, przynajmniej na jakiś czas, i niejeden pirat, niejeden awanturnik, niejeden prawdziwy posiadacz wykorzystywał jej wszechmocność.

W ten sposób ocalony z korsarskiego brygu unikał stryczka, ujawniając skarb szefa piratów; więzień prawa powszechnego, Luigi Lorenzi, zdradzając skarb z gór Ora; tak też było z Peterem Fleightem, który przyznał się od ukrycia skarbu Rommela; a więzień z florenckiego więzienia zadeklarował, że wie, gdzie Buffarino Guidi zatopił środki swego ministerstwa; taki był przypadek byłego żołnierza hiszpańskiego i skarbu Argelesa; a lump z Sydney okazał się posiadaczem planu skrytek na Wyspie Kokosowej; radiesteta z Sully-sur-Loire, wykrywający szkatułki pełne złota i dokumentów; włóczęga Pierre Alquier z Perpignan zapewniał, że spenetrował kryptę zawierającą skarb z Rennes-le-Château...

Wszyscy wiedzą, gdzie znajduje się skarb, ale albo wiedza ich jest niedokładna, albo konfiguracja miejsca uległa zmanie, lub też skrytka jest na drugim końcu świata, słowem, zawsze jest jakaś przeszkoda do przezwyciężenia!

W 1710 roku pewnego słynnego sierpniowego poranka trzymasztowiec „Assomption", z kapitanem Porée, minął wyspę Grand-Bé i rzucił kotwicę przy kei Saint-Malo.

Port zapełniony był wielką ciżbą, ponieważ wiadomo było, że statek przybywał z Ameryki, z pewnością z ogromnym i cennym ładunkiem; być może przywiózł także niezwykłe zwierzęta i egzotyczne rośliny!

Gapie byli nieco rozczarowani, widząc tylko pięćdziesięciu jeńców, w większości Anglików, których Hiszpanie pozbyli się z Peru na rzecz dobrych francuskich więzień. Sami więźniowie uważali, że wywinęli się tanim kosztem, wszyscy bowiem byli w mniejszym lub większym stopniu piratami i zasługiwali na cztery sążnie sznura!

Nie było jeszcze wtedy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ale rozsądek i dobra wola były w poważaniu i nawet między odwiecznymi wrogami, jakimi były Francja i Anglia, w pełni stanu wojny istniała instytucja wymiany jeńców.

Byli oni wsadzeni w Plymouth i w Saint-Malo na „statki parlamentarne", płynące pod własną banderą na bezanie, tak jak powinno być, i z nieprzyjacielską banderą wywieszoną na szczycie fokmasztu na przodzie.

Więzienie fortu Saint-Malo powinno więc służyć jedynie jako miejsce tymczasowego internowania w oczekiwaniu na najbliższy konwój. Jeńcy zostali zarejestrowani i uprzedzeni, że za kilka dni zostaną przekazani do Anglii. Wtedy jeden z nich, porucznik Thomas Stradling, odmówił zgody na powrót do ojczyzny i poprosił o wypuszczenie na wolność na ziemi francuskiej.

– Jest to niemożliwe – odrzekł mu pan Lempereur, komisarz i zarządca Marynarki Królewskiej, który prowadził przesłuchania. – Nie możemy przysparzać sobie gąb do żywienia i Anglików na porządnej francuskiej ziemi! Chcecie czy nie, i tak was odstawimy do Plymouth.

Ale Stradling upierał się i komisarz wreszcie spytał o powody takiej determinacji.

– Wypłynąłem z Kinsale w Irlandii na pokładzie starej fregaty „Cinque Ports Galley" na wyprawą korsarską. Moja kampania, jak sam pan może stwierdzić, poniosła klapę i nie przywożę niczego moim armatorom.

– Takie jest ryzyko żeglugi! – odpowiedział pan Lempereur.

– Oczywiście, ale... kiedy dowiedzą się, że stałem się bogaty, będą starali się mnie dopaść!

I po nitce do kłębka, przyciskany pytaniami i groźbą natychmiastowej przymusowej repatriacji, Thomas Stradling musiał uchybić rąbka i opowiedzieć historię swego skarbu.

Historia stała się w tamtym czasie bardzo głośna i szczególnie zainteresowała pana Lempereura, który sądził, że znalazł środek do zbicia fortuny.

Stradling zapewniał, że ukrył ponad sto tysięcy piastrów (pięćset milionów z roku 1938) w skrytce znanej tylko jemu na wyspie Plata albo Srebrnej.

Pan Lempereur uwierzył w nią, a za nim i pewien znany pisarz marynista, Henri Lemarquand, który w 1938 roku odnalazł w Archiwum Arsenału w Breście i Bibliotece Narodowej dokumentację do niej się odnoszącą.

Pan Lempereur był znakomitym urzędnikiem, nie był jednak za mocny w geografii. Na podstawie źle tłumaczonego z języka angielskiego zeznania Stradlinga złożył meldunek ministrowi marynarki, księciu Jérôme'owi de Pontchartrain, sytuując Srebrną Wyspę na pełnym morzu u wybrzeży Urugwaju w Rio de la Plata.

W rzeczywistości chodziło o wyspę Plata na Pacyfiku, od strony Peru, nieco poniżej równika.

Minister się nie mylił, jednak nie chciał nadać sprawie biegu, jeśli nie powiadomi się króla Hiszpanii. Pan Lempereur zaprotestował i powołując się na rozporządzenie Colberta twierdził, że skarb jest zdobyczą wojenną; zaproponował nawet proporcje podziału: jedna czwarta dla Anglika, jedna czwarta dla przedsiębiorstwa zajmującego się poszukiwaniem, dwie czwarte dla ministerstwa.

Armatorzy z Saint-Malo byli gotowi do sfinansowania ekspedycji i pan Lempereur wiedział, iż otrzyma swój udział. Po bezowocnej wymianie not do ugody nie doszło i Stradling został bezwzględnie załadowany na statek parlamentarny.

A oto historia opowiedziana przez Thomasa Stradlinga na podstawie manuskryptów przestudiowanych przez pana Lemarquanda.

Był Anglikiem urodzonym w Londynie. Mając dwadzieścia osiem lat wyjechał we wrześniu 1703 roku do Kinsale, jako porucznik fregaty „Cinque Ports Galley" wypłynął na wyprawę korsarską na morzach południowych w towarzystwie słynnego flibustiera Dampiera, komendanta ekspedycji na okręcie „Saint-George", posiadającym dwadzieścia sześć armat.

Po nieudanej kampanii, którą pogarszały nieporozumienia między Dampierem i Stradlingiem, „Cinque Ports Galley" odłączył się od „Saint-George" w Zatoce Panamskiej i próbował w pojedynkę szczęścia na szlaku.

Wkrótce potem wybuchły nowe nieporozumienia, tym razem pomiędzy kłótliwym Stradlingiem i Alexandrem Selkirkiem, szefem załogi, pozostawionym w konsekwencji wraz z karabinem i funtem prochu na bezludnej wyspie Juan Fernandez.

Selkirk miał później posłużyć Danielowi Defoe za model bohatera słynnej powieści *Robinson Crusoe*.

„Cinque Ports" był kiepskim okrętem, przeżartym przez pasożyty i algi i potrzebował poważnej naprawy. Należało się do tego szybko zabrać, by z powodu spróchniałego kadłuba nie zatonął.

Na wysokości przylądka Bianca Stradling podstępem zagarnął hiszpański statek patrolowy o dwunastu armatach, wybił załogę, a w dokumentach dotyczących deklarowanego ładunku odkrył bajeczne nazewnictwo: skórzane torby, kasetki, kufry opieczętowane czerwonym woskiem, złoto, srebro, diamenty, perły!

Patrolowiec przewoził przemycane do Acapulco w Meksyku prywatne bogactwa, które miały być potajemnie wysłane w kierunku Hiszpanii, by uniknąć oddania królewskiego *quinta*.

Skarb został zagrabiony, patrolowiec zatopiony wraz z pozostałą przy życiu resztą załogi i zaczęto zastanawiać się nad drogą powrotną: przylądek Horn czy Indie Wschodnie? Piraci nie zdążyli się nawet zdecydować, kiedy ktoś krzyknął:

– Toniemy! Przeciek!

Zatkano dziury natłuszczonymi brezentowymi szmatami, ale trzeba było cały czas pompować, by ładownie nie wypełniały się wodą... i próbować dopłynąć do jakiejś wyspy.

„Cinque Ports" żeglował tyle o ile, a na domiar nieszczęścia – jeśli nie była to kara niebios – na pokładzie pojawił się tyfus.

Kiedy wreszcie dobili do Albemarle na Galapagos, piratów udręczonych i zdziesiątkowanych przez chorobę nie było więcej niż trzydziestu; wkrótce żyło ich już nie więcej niż dwudziestu i nie było mowy o tym, by wprowadzić kadłub do suchego doku. Poreperowana z grubsza fregata wypłynęła na morze, ale szybko ujawnił się znowu poważny przeciek!

Tym razem awaria była poważna i Anglicy wraz ze swym skarbem, zdewaluowanym do kilkuset tysięcy, a może nawet do dwustu tysięcy piastrów, stracili nadzieję, że ujrzą kiedykolwiek przylądek Clear i port w Kinsale.

Jak to, teraz, kiedy są bogaci, mają pogrążyć się w falach wraz ze swą spróchniałą fregatą i kuframi piastrów i klejnotów?

Wrzucono do morza armaty, by ulżyć, i ostatecznie ludzie, żywność i skarb musieli szukać ratunku na sporządzonej naprędce tratwie i jedynej na pokładzie szalupie.

„Cinque Ports Galley" zatonął i rozbitkowie, popychani przez prądy, po uniknięciu wielu niebezpieczeństw dobili do małej bezludnej wysepki, którą uważali za wyspę Plata czy też de la Plata.

Skarb został ukryty w jednej z grot skalistego brzegu, w pobliżu zatoczki, w której wylądowali. Wejście do groty zostało zamaskowane ogromnymi kamieniami, które piraci z wielkim trudem tam przyciągnęli.

Coraz bardziej i bardziej wyniszczani przez tyfus, próbowali przetrwać we wrogim otoczeniu, bez źródła słodkiej wody, owoców, dziczyzny, której zresztą nie byliby w stanie upolować, i każdy poranek odkrywał kolejnego nieboszczyka, zmarłego z powodu choroby, z głodu lub wycieńczenia.

Kiedy pozostało ich przy życiu tylko czterech, Stradling zdecydował się wywiesić flagę alarmową: lepiej wpaść w ręce Hiszpanów niż zdychać jak potępieńcy.

Zataczający się ze zmęczenia i gorączki, Anglicy byli całkowicie załamani, ale w ostatnim przypływie energii Stradling, nie chcąc stracić swego skarbu, wysadził za pomocą dwóch baryłek prochu jaskinię i wyznaczył punkt odniesienia: skalny występ w odległości sześćdziesięciu kroków od kryjówki.

Kiedy rozbitkowie znajdowali się już u kresu wytrzymałości, pojawiła się jak ostatnia deska ratunku hiszpańska fregata, zarzucając kotwicę w zatoczce; Anglicy bełkocząc opowiadali słowami bez związku o skarbie, o piastrach i diamentach, mówili jednak po angielsku i przybysze nie zwrócili większej uwagi na ich słowne delirium.

Trzej przeżyli jeszcze tylko kilka dni, jedynym ocalonym okazał się Stradling, który z peruwiańskich więzień trafił do więzienia w Saint-Malo razem ze swym bajkowym sekretem i dokładnymi danymi, pozwalającymi odnaleźć skrytkę.

Wkrótce po powrocie do Anglii eks-pirat zaciągnął się, prawdopodobnie by znaleźć się bliżej swego skarbu, na mały stateczek, który zatonął bez śladu w pobliżu Nowej Ziemi.

I tak sto lub dwieście tysięcy przeklętych piastrów z hiszpańskiego patrolowca wciąż pozostaje w kufrach pod zwalonymi kamieniami skalistego wybrzeża na zagadkowej wyspie.

A oto dokładne położenie Srebrnej Wyspy na Morzu Południowym dla tych, których pociąga przygoda: 1°15' szerokości geograficznej i 81°10' długości geograficznej zachodniej.

BAJECZNA PRZYGODA NA WYSPIE KOKOSOWEJ

Skarb z Wyspy Kokosowej znajduje się na pierwszym miejscu w hierarchii pirackich łupów, ukrytych i nigdy nie ujawnionych, a na drugim miejscu wśród wszystkich znanych skarbów na świecie, tuż za skarbami Inków.

Dokumentacja odnosząca się do wydarzeń, o których opowiemy, nie należy do solidnie historycznie uzasadnionej, ale gośćmi Wyspy Kokosowej były takie sławne osobistości jak prezydent Franklin Roosevelt, admirał Nicholson, Malcolm Campbell, kapitan Tony Mangel i z tego powodu jej szlacheckie papiery stały się niepodważalne!

Wyspa należąca do Republiki Kostaryki wynurza się z Pacyfiku, z dala od wszelkich uczęszczanych szlaków, na północ od równika i od strony wybrzeży Kolumbii. Jej pozycja geograficzna: 5°32' szerokości geograficznej północnej, 87°10' długości geograficznej zachodniej.

Długa na 8 i szeroka na 4 kilometry, ma wygląd skalistego płaskowyżu, porośniętego palmami kokosowymi z jeżącymi się trzema stożkami wulkanów: Wierzchołkiem Zachodnim, Wielkim Szczytem (850 m), Stożkiem Południowym (480 m). Na wschodzie, górując nad morzem, wznosi się kamienna bariera, wysoka na 60 do 180 metrów.

Znajdują się na niej dwa ujęcia słodkiej wody: jedno w pobliżu zatoki Wafer, drugie w zatoce Chatham. Dwa małe strumyki, tworzące wodospady, czasami całkowicie wyschnięte, zmierzają w kierunku południowego wybrzeża wyspy; jeden wpada do morza w zatoce Espérance, a drugi 1250 metrów bardziej na wschód.

Wyspa jest bezludna, pełna, jak się twierdzi, węży, ale kapitan Tony Mangel, który był na niej dwa razy, zapewniał, że nie widział ani jednego.

Według kronik, mających półhistoryczny charakter, na Wyspie Kokosowej znajduje się wiele skarbów o ogólnej wartości dwudziestu miliardów franków.

Najważniejszy jest niewątpliwie skarb z „Mary Dear", wart dziesięć do dwudziestu miliardów franków.

Na początku XIX wieku państwa Ameryki Południowej podjęły serię wojen wyzwoleńczych.

W 1820 roku generał San Martin od strony lądu i lord Cochrane od strony morza, przeprowadzając działania z bazy na terytorium Boliwii, spotkali się pod Limą, pozostającą w rękach Hiszpanów wicekróla Pezueli.

Oddziały generała w zwycięskim marszu zmierzały do portu Callao, w którym lord Cochrane przywołał do porządku wielką fregatę „Esmeralda" i dwadzieścia sześć statków i korwet, mimo osłony trzystu armat fortu.

Przed ostatecznym szturmem bogaci Hiszpanie w panice szykowali się do ucieczki, oczywiście wraz ze swymi dobrami, a przynajmniej z tym, co dałoby się unieść.

Jedyną możliwą drogą ucieczki pozostawało jeszcze morze, ale w Callao, porcie Limy, była jedna tylko jednostka nadająca się do pomyślnego przepłynięcia trasy między Peru i Hiszpanią, „Esmeralda", obarczona, niestety, bezwzględną misją obrony portu.

„Mary Dear", bryg szkockiego kapitana Thompsona, zamierzał właśnie podnieść kotwicę, by uciec przed nieuchronną bitwą. Kupcy i duchowieństwo z Limy wynajęli ten statek za cenę złota.

W ciągu dwóch dni na pokład załadowano wszystko, co w mieście było najcenniejszego: prywatne kapitały, piastry, dukaty, ludwiki, biżuterię, szlachetne kamienie, złote świeczniki z katedry, kandelabry, naczynia liturgiczne i przedmioty o charakterze religijnym, złote i srebrne serwisy stołowe, książki, archiwa, dzieła sztuki itp.

Thompson nie był piratem, ale całkowicie oszołomiony niezmierzonym bogactwem przewożonego ładunku, odpłynął ze swymi pasażerami, niezupełnie zdecydowany, by ich dowieźć do Kadyksu albo innego portu hiszpańskiego.

Wziął kurs na północ i pewnej nocy, ulegając namowom załogi, dopuścił się zbrodni: pasażerowie zostali wyrżnięci w pień i wrzuceni do morza, a „Mary Dear“ przedzierzgnęła się w statek piracki, kierując się na Wyspę Kokosową, której położenie z dala od wszelkich strzeżonych szlaków nieodparcie przyciągało od wieków morskich rozbójników Morza Południowego.

Łup został ze względów bezpieczeństwa zakopany na wyspie, ponieważ „Mary Dear“, sygnalizowana na wszystkich oceanach, nie miała żadnej szansy na dobicie do jakiegokolwiek portu czy cywilizowanego państwa, gdzie niewątpliwie musiałaby zdać rachunek, z całą pewnością groźny.

Była to pełnia wieku XIX i międzynarodowe umowy bardzo dokładnie określały i karały śmiercią zbrodnie pirackie!

A zresztą dokąd się udać? Droga do przylądku Horn była trudna do przebycia, ponieważ należało płynąć wzdłuż wybrzeży Kolumbii, Peru i Chile, których statki Niepodległości bacznie strzegły.

Przepłynąć Pacyfik? Było to równie niebezpieczne, a ponadto nie można było pozostawić skarbu na tak odległej wyspie, na którą niewielu miałoby okazję powrócić, by go zabrać! Był jeszcze inny sposób: Thompson zbliżył się do Ameryki Środkowej, podpalił swój bryg i w szalupach wraz z załogą próbował dopłynąć do brzegu, zamierzając w razie konieczności odegrać rolę mimowolnych rozbitków.

Jednakże ciała zamordowanych pasażerów zostały wyłowione i podstęp całkowicie się nie powiódł: marynarze, zręcznie przesłuchiwani z pętlą na szyi i podeszwami stóp przypiekanymi powoli na rozżarzonych węglach, wyjawili wszystkie szczegóły zajścia oraz miejsce osobistych skarbów, które zostały z pewnością odzyskane.

Niestety – a z punktu widzenia moralności, na szczęście – kapitanowi Thompsonowi, bez wątpienia dzięki kilku niezgorszym garściom piastrów, udało się umknąć i osiedlić w Kanadzie, w Nowej Szkocji. Być może powracał on na Wyspę Kokosową, by czerpać ze swego ogromnego skarbu, ale nie naruszył go poważnie.

Na łożu śmierci, chcąc uciszyć sumienie i pozwolić przyjacielowi skorzystać z bogactw, ujawnił dokładne położenie skarbu.

Przyjaciel ten nazywał się Keating. Thompson przekazał mu plan i następujące wskazówki, jeśli wierzyć tradycji: „Wylądować w zatoce Espérance między dwiema wysepkami, na głębokości dziesięciu jardów. Wzdłuż strumienia przejść 350 kroków, następnie zboczyć w kierunku nord-nord-est 850 jardów, szczyt, zachodzące słońce szczytem zarysowuje cień orła o rozłożonych skrzydłach. Na granicy cienia i słońca: grota oznakowana krzyżem. Tam jest skarb".

Keating udał się na Wyspę Kokosową i obracając trzy razy zdołał zabrać ponad pięćset milionów, nie naruszając jednak bardzo skarbu, z którego nie udało mu się wydobyć największych przedmiotów.

On z kolei przekazał swój sekret pewnemu kwatermistrzowi o nazwisku Nicolas Fitzgerald, który był zbyt biedny, by móc zorganizować jakąś ekspedycję.

W późniejszych latach Fitzgerald znalazł się w Melbourne, gdzie będąc na wpół włóczęgą i czując, że umrze wraz ze swym bezużytecznym sekretem, zdecydował się odsłonić go w liście do kapitana Curzona Howe'a, który niegdyś ocalił mu życie.

Curzon Howe także nie udał się na Wyspę Kokosową.

Dokumenty dotyczące całej tej historii zachowały się: plany, mapy, spisy, przechodzące z rąk do rąk w ciągu wielu lat, przekazywane w spadku, darowane, ukradzione, sprzedane bądź wymienione za coś innego.

List Fitzgeralda, rekapitulujący notatki pozostawione przez Keatinga, jest, jak się sądzi, przechowywany w Nautical and Traveller Club w Sydney i zapisany pod numerem 18755.

Można w nim znaleźć następujące wskazówki:

„Dwa kable na południe od ostatniego wodopoju, na trzech wierzchołkach. Grota jest tą, która znajduje się pod drugim wierzchołkiem.

Christie, Ned i Anton próbowali, ale żaden z trzech nie powrócił. Ned za czwartym nurkowaniem znalazł wejście na dwunastu sążniach; po piątym nie powrócił.

Nie ma ośmiornic, ale rekiny.

Trzeba sobie otworzyć drogę do groty od zachodu. Wierzę w istnienie zawaliska u wejścia".

Inny oryginalny dokument, znaleziony w muzeum w Caracas, znajduje się w inwentarzu rzeczy pozostawionych przez Fitzgeralda w Coïba, a w ręce Howe'a dostał się 1883 roku.

A oto ten inwentarz:

„Na cztery stopy w czerwonej ziemi umieściliśmy:

1 skrzynia: wyposażenie ze złota zawierające cyboria[1], monstrancje, kielichy ozdobione 1244 kamieniami.

1 skrzynia: 2 relikwiarze ze złota ważące 120 funtów, z dekoracją zawierającą 654 topazy, krwawniki i szmaragdy, 12 diamentów.

1 skrzynia: trzy relikwiarze odlane, ważące 160 funtów z 860 rubinami i rozmaitymi kamieniami, 19 diamentów.

1 skrzynia: 4000 dublonów hiszpańskich o próbie 8. 5 tysięcy meksykańskich kronów[2], 124 szpady, 64 sztylety, 120 pasów skórzanych do przytrzymywania broni i bębnów, 28 zabytkowych tarcz.

1 skrzynia: 8 cedrowych i srebrnych szkatułek, zawierających 3840 szlifowanych kamieni, pierścienie oraz 4265 kamieni surowych.

28 stóp na nord-west, na 8 stóp w żółtym piasku:

7 skrzyń: z 22 kandelabrami srebrnymi i złotymi, ważącymi 250 funtów, ze 164 kamieniami, przypadającymi na jedną podstawę.

Na dwa sążnie na zachód, na 10 stóp w czerwonej ziemi: dwumetrowa Dziewica ze złota z Dzieciątkiem Jezus, z koroną i napierśnikiem ważącym 780 funtów, zawinięta w złoty ornat, przystrojona w 1684 kamienie, z czego 3 szmaragdy sześciocalowe na napierśniku i 6 topazów sześciocalowych w koronie. 7 diamentowych krzyży".

---

[1] Cyborium – naczynie liturgiczne.

[2] Crown – szkło kryształowe jasne o małym współczynniku załamania.

Oto dwa dokumenty dotyczące skarbu Thompsona, szczegółowe, ale wzajemnie sobie przeczące.

Niestety, czy tłumaczenie było niedokładne, czy ustny przekaz został zakłócony skretyniałą pamięcią, w każdym razie ci, którzy znają Wyspę Kokosową, muszą przyjąć te punkty z dużymi zastrzeżeniami.

Jeśli wziąć pod uwagę oświadczenie o odległości w stopach z listu, to ostatnie ujęcie wody jest w zatoce Wafer, a pierwsze należy usytuować w zatoce Chatham, gdzie zawijają zwykle statki. Innych ujęć wody pitnej na wyspie nie ma.

Tak więc „na dwa kable (370,40 m) na południe" od jednego lub drugiego ujęcia wody niemożliwe jest znalezienie „trzech wierzchołków" i „na głębokości dwunastu sążni" z tego prostego powodu, że znajdujemy się w tym miejscu na lądzie!

Ale jest jeszcze jedno kotwicowisko na południu wyspy, w zatoce Espérance, z jeszcze jednym ujęciem wody, gdyż w porze deszczowej w tym miejscu do morza wlewa się kaskada.

W stosunku do ujęcia północnego jest ono rzeczywiście „ostatnim".

Ponadto zresztą, jeśli przez dwanaście sążni rozumie się 21,84 metra, to w pobliżu tak ujęcia Wafer jak i Chatham nie da się znaleźć takiej głębi, gdyż tam do dna nie ma więcej niż trzy, cztery metry, ponadto dno jest piaszczyste i próżno szukać kamiennego usypiska, mogącego zamykać jakąś grotę.

Głębokości dwudziestojednometrowe istnieją tylko koło wyspy Nuez (na północ od ujęcia wody), pomiędzy tą wyspą i szczytem Colnett, i na południu w pobliżu wyspy Głowa Cukru oraz na wybrzeżu na wprost wyspy Meule.

Można jednak przyjąć, że dwanaście sążni (długość równa rozłożonym ramionom) w dokumencie nie oznacza 21,84 metra, tylko dwanaście zagarnięć wody przez pływaka, czyli około dziewięciu, dwunastu metrów.

Ponadto, nie ma raczej przypadkowych pływaków, którzy potrafiliby zanurkować na głębokość dwudziestu jeden metrów, co stanowi prawie rekord świata (rekord świata w 1933 roku w Nicei, należący do Rosjanina Kramarenki, wynosił dokładnie dwadzieścia jeden metrów).

By zejść na dziesięć metrów, potrzeba już bardzo dobrego pływaka i trudno sobie wyobrazić, by skarby zostały złożone w podwodnej grocie, do której tylko najznakomitsi nurkowie byliby w stanie donieść lub wynieść z niej skrzynie zawierające łupy.

Wszyscy znawcy technik nurkowania są zgodni, że piraci byliby w stanie wykonać taką pracę na głębokości najwyżej sześciu, ośmiu metrów... a nawet mniej!

Nie ma materialnej możliwości, by sprawy potoczyły się inaczej, w ten sposób dochodzimy do następującej racjonalnej konkluzji: skrzynie Thompsona i Keatinga zostały zatopione na głębokości od sześciu do dziewięciu metrów w zatoce Espérance, jakieś 370 metrów na południe od „ostatniego ujęcia wody“, czyli Kaskady.

Przy tym wyjaśnieniu wszystkie dane i współrzędne wydają się możliwe do zaakceptowania: „Dwa kable od ostatniego ujęcia wody, na głębokości dwunastu ruchów ramion pływaka“.

Tu, na północnym zachodzie i na zachodzie, można natrafić na czerwoną ziemię wyspy i żółty piasek zatoki.

Interpretację powyższą wzmacnia jeszcze plan Keatinga (własność Klubu Poszukiwaczy Skarbów), na którym położenie szczytów zgadza się mniej więcej z zaznaczonymi w sposób pokrętny i tajemniczy w liście Fitzgeralda.

Opis „trzech skalnych wierzchołków“ powinien pomóc w lokalizacji kryjówki.

Sam inwentarz skarbu jest z całą pewnością fałszywy, przesadzony, co jest popularną praktyką w normalnej nomenklaturze skarbów!

Te domniemane wartości zachęciły jednak kapitana Tony'ego Mangela, wielkiego poszukiwacza skarbów w obliczu Wieczności i trochę pirata wobec Diabła, do zaangażowania się w przygodę w 1927 roku, kiedy na pokładzie swego jachtu „Perhaps I" przemierzał morze w okolicy cieśniny Bass.

„W tamtym czasie – opowiadał podczas wizyty w Nautical and Traveller Club w Sydney – zatrzymałem się przed dokumentami oprawionymi w szkło i opatrzonymi przypisami: był to słynny list Keatinga, zarejestrowany pod numerem 18755, i jeszcze jeden dokument nieznanego pochodzenia.

Poprosiłem o sporządzenie kopii, a ponieważ Wyspa Kokosowa znajdowała się niezbyt daleko od mojej powrotnej trasy, zdecydowałem się na niewielkie zboczenie.

Nie dysponowałem żadnym oprzyrządowaniem, a ekspedycja miała jedynie na celu rozpoznanie terenu; miałem zamiar obejrzeć miejsce, a szczególnie chciałem się przekonać, czy znajdę strefę, w której cień głowy orła ukaże się w promieniach zachodzącego słońca.

Wypłynąłem na morze i zawinąłem do zatoki Wafer jak wszyscy, ponieważ tam znajduje się najlepsze kotwicowisko i ujęcie wody pitnej.

Wyspa stanowi kamienistą platformę, obniżającą się w kierunku północnym i południowym łagodnymi stokami, na której wznoszą się trzy dobrze znane wulkaniczne wierzchołki.

Przede wszystkim zaopatrzyłem się w słodką wodę i wyruszyłem na przełaj w kierunku południowym.

Teren nie był trudny do pokonania: kamienie i palmy kokosowe!

Moją obsesję stanowiła chęć ujrzenia cienia i pomyślałem przede wszystkim o Wielkim Szczycie.

Rzeczywiście, już pierwszego wieczoru zrobiłem takie spostrzeżenie: kiedy zachodzące słońce znajduje się w swoim perigeum, Wielki Szczyt rzuca cień, w którym można się było dopatrzyć kształtu głowy kondora. Ale działo się to we wrześniu i cień padał w całości na ląd.

Coś się tu nie zgadzało!

Znalazłem się tam z pewnością w innej porze roku niż ta, w której Thompson poczynił swoje obserwacje. Wprawdzie skarb został ukryty we wrześniu, ale oznakowanie poczyniono zimą, kiedy słońce wschodzi na południowym wschodzie, a zachodzi na północnym zachodzie, i Wielki Szczyt prawdopodobnie rzuca cień na zatokę Espérance.

Zrozumiawszy to wszystko, po odtworzeniu planu wyspy i paru uderzeniach kilofem w ziemię dla spokoju sumienia, podniosłem kotwicę i odpłynąłem.

Wróciłem na Wyspę Kokosową w 1929 roku.

Tym razem przygotowałem się do wszystkiego. Przywiozłem szpadle, kilofy i dynamit; przede wszystkim jednak przestudiowałem punkt wyznaczony przez Thompsona i określony w stopniach i minutach... punkt znany tylko mnie. I uzyskałem pewność: ten punkt był fałszywy! I tu tkwiło sedno!

Był on fałszywy, ponieważ znajdowaliśmy się w XX wieku, operowaliśmy sekstansem, oraz bardzo dokładnymi przyrządami, wskazującymi północ geograficzną.

Tymczasem Thompson ukrył swój skarb w 1820 roku i obliczył jego położenie posługując się oktantem, niezbyt dokładnym zegarkiem i busolą wskazującą dokładnie biegun magnetyczny!

Należało więc powtórzyć obliczenia Thompsona, popełniając te same błędy, zgodnie z danymi tablic żeglarskich z okresu między 1820 i 1823 rokiem; mój punkt odniesienia, w ten sposób poprawiony, był w roku 1929 następujący: 5°30'17" szerokości północnej i 87°0'40" długości geograficznej zachodniej.

Skarb znajdował się gdzieś tu i to z dokładnością do stu metrów. Słowem, moje obliczenia sytuowały kryjówkę na południu zatoki Espérance, na północny-północny-zachód od wyspy Meule.

Tam znalazłem grotę dostępną w czasie odpływu w ciągu około godziny.

Niewiele brakowało, bym się utopił, ryzykując samotną wyprawę na Wyspę Kokosową.

W tym miejscu i tego dnia prąd był bardzo silny. Zakotwiczyłem mój jacht, a szalupą uwiązaną na długim konopnym sznurze podpłynąłem w głąb groty, gdzie przetrwała wyłaniająca się z wody łacha piasku. W półmroku próbowałem sondować, a potem kopać szpadlem, ponieważ na głębokości metra natrafiałem na jakiś opór, co zrodziło nadzieję, ale miejsce to znajdowało się między morzem i suchym piaskiem i martwa fala cały czas nanosiła z powrotem wykopany z dziury piasek. Po dobrej półgodzinie zrozumiałem, że bez oszalowania nie uda mi się osiągnąć jednego metra... co mówię! – pięćdziesięciu centymetrów!

Kiedy się tak trudziłem, morze coraz bardziej wypełniało grotę. Powinienem co prędzej wynosić się!

I wtedy nastąpiła przykra niespodzianka: szalupa zagłębiona w grocie zablokowała się przez przypływ pod występem skalnym sklepienia.

Zmagałem się z nią, ale woda wciąż się podnosiła, mogłem zostać ostatecznie uwięziony w grocie jak w mysiej dziurze i zginąć wraz z ogromnym skarbem, którego nawet nie zobaczyłem!

Pomyślałem o przekleństwie ścigającym poszukiwaczy skarbów... lecz nagle wpadła fala mocniejsza od innych, przybój podciął mi nogi, w tym samym momencie kiedy szalupa cofnęła się, co wykorzystałem, by ją wypchnąć zza skalnego występu...

Uff! Wybrnąłem z niezłej kabały!

Po tej przygodzie nigdy już nie wróciłem do groty, próbowałem natomiast w różnych miejscach dynamitu, nigdzie jednak nie natrafiłem na najmniejszego dukata. Potem wróciłem do Francji, rozczarowany i zdecydowany zapomnieć o tej historii, która kosztowała mnie kupę pieniędzy".

Kapitan Tony Mangel nie miał racji, deptał bowiem po tonach srebra i złota i przy pewnej dozie szczęścia mógł odkopać skarb z „Mary Dear".

I rzeczywiście, w 1931 roku pewien Belg o nazwisku Bergmans, posługując się danymi Tony'ego Mangela, wydobył z zatoki Espérance figurę Matki Boskiej ze złota, mierzącą 60 centymetrów, którą sprzedał za jedenaście tysięcy dolarów w Nowym Jorku.

Pozostałe skarby Wyspy Kokosowej dzielnie odpierają wszelkie ataki, nie uciszając gorączki poszukiwaczy, coraz liczniejszych i zaopatrzonych w coraz lepsze, najautentyczniejsze punkty orientacyjne.

Jeden z planów, odnaleziony w Indochinach, stał się własnością marynarza Louisa Rebillarda de Dinard, który poczynił pewne zwierzenia w Międzynarodowym Klubie Poszukiwaczy Skarbów.

Inny plan jest w posiadaniu kapitana Tony'ego Mangela, a trzeci należy do bogatego ogrodnika z Los Angeles, Jamesa Forbesa.

Forbes twierdzący, że jest właścicielem listu pozostawionego jednemu z jego pradziadów przez samego Thompsona, wierzył, iż skarb został zakopany pod warstwą szmat i pięćdziesięciocentymetrową warstwą kamieni. Zorganizował pięć rujnujących ekspedycji, stosując najnowocześniejsze oprzyrządowanie, i niczego nie znalazł.

W 1962 roku trzej Francuzi, Jean Portelle, Claude Challiès i Robert Vergnes, udali się na Wyspę Kokosową z planem Klubu Poszukiwaczy Skarbów. 21 grudnia Jean Portelle i Claude Challiès zginęli w tajemniczych okolicznościach, dokonując rekonesansu wokół wyspy. Robert Vergnes sam powrócił do Francji.

Relikwiarze, kandelabry, dwumetrowa figura Matki Boskiej z masywnego złota oraz Dzieciątko Jezus, jej cenny płaszcz pokryty diamentami, szmaragdami i topazami, wszystkie klejnoty pięknych señoras z Limy, zamordowanych na „Mary Dear“, spoczywają w czerwonej ziemi i złotym piasku Wyspy Piratów, pod czujnym spojrzeniem kondora o rozpostartych skrzydłach i tylko przenikliwe spojrzenie drapieżnego ptaka dojrzy w sekretnych skrytkach migotanie nagromadzonych wspaniałości, które nawiedzają sny poszukiwaczy.

SKARBY REWOLUCJI

Mieliśmy Wielką Rewolucję Francuską i wszystkie podręczniki historii robią z niej wielkie wydarzenie.

A przecież, niezależnie od aspektów politycznych, chcielibyśmy dostarczyć kronikarzom paru ciekawych spostrzeżeń.

Rewolucje, te wojny rządzące się prawami dżungli, nadzwyczaj sprzyjają skarbom wszelkiego rodzaju. Tajemnym pragnieniem strony zwycięskiej jest bowiem dopaść majątków przedstawicieli strony przegranej, ci zaś próbują oczywiście uniknąć złego losu!

W latach 1789 – 1793 setki tysięcy Francuzów: bogatych panów, potężnych duchownych, skromnych mieszczan i biednych poczciwców, uciekło z ojczyzny lub zostało wymordowanych, najpierw jednak chowając w pewnym miejscu swe bogactwa o wielkim lub skromnym znaczeniu.

Zanim rozgromiono w Wandei Białych, zdołali oni ukryć całe złoto w tysiącach skrytek i ani próby ognia, ani gilotyna, ani tortury nie przerwały ich milczenia.

Ci, którym udało się uniknąć śmierci, szczególnie właściciele zamków, powracali później potajemnie, by wyjąć ze skrytki całość lub część swych majątków. Wielu zmarło na wygnaniu pozostawiając plany skrytek, dowiedziono jednak, że w dziesięć lat od ukrycia jest pięć szans na dziesięć możliwości odnalezienia skarbu, a stosunek ten zwiększa się do siedmiu na dziesięć po dwudziestu pięciu latach, ponieważ istnieje ryzyko całkowitej zmiany konfiguracji terenu.

Z tego powodu mnogość skarbów, będących skutkiem rewolucji, nie posiada właściciela.

Wszystko to, mimo swego dramatyzmu, utrzymuje się w normie, jednak przypadki Conques i Saint-Antonin (które nie są czymś wyjątkowym) otwierają nowe horyzonty naszej ciekawości.

Kościół w Conques w 1789 posiadał skarb złożony z relikwiarzy otoczonych powszechnym poważaniem, które można podziwiać do dziś w malowniczym miasteczku w Owernii: „Majesté" świętego Foya, relikwiarz Pépina, lampa Bégona – wszystko pozłacane, ozdobione emalią i intaglio[1] (szmaragdami, krwawnikami, berylami – wygrawerowanymi, by służyć za skrytkę) pochodzące z X wieku.

Pewnego dnia w roku 1792 nadeszła nowina, że do Conques podążają wysłannicy Konwentu z oczywistym zamiarem zagarnięcia religijnego skarbu. Ludność zareagowała jednomyślnie i natychmiast.

W nocy do kościoła przybył oddział specjalny, zabrał skarb, podzielił go na czterdzieści części i natychmiast rozdzielił wśród czterdziestu rodzin. Kiedy przybyli rewolucjoniści, mieszkańcy udali zaskoczenie i oburzenie: skarb z Conques został skradziony, na pewno przez Cyganów!

Przesłuchania, poszukiwania nic nie dały, relikwiarze były nie do odnalezienia i wysłannicy Konwentu wrócili z niczym do Paryża!

Ani jeden na parę tysięcy mieszkańców nie zdradził tajemnicy! I pomyśleć, że w 1792 roku w Conques nie było nawet jednego republikanina!

Kiedy burzliwe czasy przeminęły, czterdzieści części wróciło do kościoła w nienaruszonym stanie.

Taka sama komedia odegrana została w Saint-Antonin (Tarn-et-Garonne), być może z udziałem tych samych rewolucjonistów, tym razem jednak chodziło o kościelne dzwony, które chciano przetopić.

---

[1] Intaglio – (pół) szlachetny kamień gładzony, rzeźbiony wklęsło.

By największy mógł się zmieścić w piwnicach Grande-Rue, rozpruto jeden z domów, gdzie indziej wykopano i wymurowano krypty. W ciągu jednego dnia i jednej nocy dzwony zostały ukryte i tu także nie znalazł się ani jeden zdrajca, który szepnąłby słówko. Uciekły... ulotniły się!

Zostały schowane z tak wielką pieczołowitością, że cztery z nich pozostają ukryte do dziś i stanowią „brązowy i srebrny skarb z Saint-Antonin"!

Istnieje pamiętnik z 1825 roku, dający bardzo dokładne informacje:

„Dzwony ze starego kościoła w Saint-Antonin są u pani Alliez, wdowy, w podziemnych pomieszczeniach, znajdujących się pod ulicą Place, do których wchodzi się przez piwnicę.

Drzwi nie ma, ale w fundamentach muru od strony ulicy umieszczone zostały dwa piękne, przystające do siebie kamienie, łatwo dające się usunąć, i przez ten otwór wchodzi się do pomieszczenia, gdzie stoją dwa dzwony na belkach.

Dwa inne dzwony są w piwnicy pana Bardona w pomieszczeniu podziemnym, także pod Grande-Rue, do którego się wchodzi przez piwnicę".

Rewolucjoniści z 1789 roku, tak łasi na ukryte skarby, zaniedbali jednego, który sam pchał się natrętnie w ich ręce: skarbu pani du Barry.

Oto jak bardzo republikański siedemnastotomowy *Wielki Słownik Larousse'a* opisuje tę sprawę:

„Na skutek ponawianych nacisków władz miasta i ludowej społeczności Luciennes Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego wreszcie pozwolił na aresztowanie [madame du Barry].

Najważniejsi z członków władz miasta, należący do służby księżnej [szczególnie Zamore], znali wszystkie zakamarki zamku, gdzie ukryła ona resztę swego skarbu. Nie licząc tego wszystkiego, co zdołali zagarnąć ci patrioci w liberiach".

I dalej:

„Ujawniła jedną po drugiej wszystkie skrytki, w których schowała resztę biżuterii i bogactwa, ponieważ wciąż trochę tego było, a możliwe nawet, że nie odnaleziono wszystkiego. Pozwoliło jej to zarobić jeden dzień życia...“

Nie, du Barry nie ujawniła wszystkich skrytek: najważniejszą trzymała w tajemnicy aż do końca, usiłując przy jej pomocy negocjować o swe życie, ale sankiuloci zlekceważyli targi – być może dlatego, że sądzili, iż dostali już wszystko, a być może bardziej niż złoto mieli ochotę ujrzeć toczącą się po szafocie zachwycającą jeszcze głowę faworyty poprzedniego króla.

Przekazana przez Henriego de Rocheforta tradycja chce, by najpiękniejsze klejnoty księżnej i kasetka złotych monet zostały schowane w parku Sceaux.

Henriego Camille'a de Colmonta, właściciela Châlonnais, spotkał taki sam los i z tych samych powodów co du Barry.

Ten kapitan, eks-pretendent w 1762 roku do ręki Marie Corneille, pupilek Woltera, ożenił się w 1779 z bogatą spadkobierczynią z Villefranche (Rodan).

„Kiedy wybuchła rewolucja, postanowił dzięki sprytowi odłożyć pięćset lub sześćset luidorów, które w czasie pierwszych zajść schował w jednym z klombów w ogrodzie.

Niezbyt lubiany przez otoczenie, zadenuncjowany jako arystokrata i fałszywie jako emigrant, został zatrzymany, wypuszczony, uwięziony na nowo i po niesprawiedliwym wyroku stracony wraz z żoną przez rewolucjonistów, chcących zawładnąć jego majątkiem“.

Colmont umarł nie wyjawiając najmniejszej informacji na temat skrytki, a rewolucjoniści na próżno przekopywali ogród.

Sam proces był tak ohydnie stronniczy, że mordercy sami zostali niebawem postawieni przed sądem i zgilotynowani.

Skarb ukryty jest więc albo w dawnej posiadłości rodziny Jacquet de La Colonge w Villefranche, albo w zamku La Cruzille, w parafii Chatenoy-le-Royal.

Na szczęście, spora liczba prześladowanych zdołała ujść przed ślepą nienawiścią nie kontrolowanych mas, szczęśliwie stało się również dla dzisiejszych poszukiwaczy, że wpadli na pomysł pozostawić swe bezpańskie skarby, umierając na wygnaniu bądź nie ryzykując powrotu do Francji.

Niech będzie ilustracją przypadek pana Lamboulasa, bogatego byłego posiadacza z regionu Moissac. Nie mogąc zabrać na ucieczkę do Hiszpanii całej swej fortuny, ukrył na terenie swej posiadłości „skórę wołu pełną monet złotych i srebrnych". Przed śmiercią powierzył wiernemu słudze, towarzyszącemu mu na wygnaniu, sekret i położenie skrytki: „W spiętrzeniu strumienia płynącego w pobliżu zamku, u stóp wielkiej wierzby".

Powróciwszy kilka lat później do Francji, powiernik zaczął poszukiwanie skarbu na równinie Luc, ale upłynęło zbyt dużo czasu: równina podmokła i porosła ją wielka ilość wierzb – poszukiwania okazały się nieskuteczne.

I tak jak jego pan, w godzinie śmierci wierny sługa przekazał sekret członkom konfraterni Saint-Mathias przy kościele Saint-Pierre-de-Moissac.

Sekret jest od 1962 roku w posiadaniu rodziny Baret, ogrodników z Moissac.

W Bois-Charmant (Charente-Maritime) inny skarb, opuszczony przez dawnego posiadacza, spoczywa u stóp drzewa łatwiejszego do odróżnienia niż wierzba z Luc, ponieważ drzewo to można rozpoznać „z tego powodu, że jest zawsze zielone"! Chodzi bez wątpienia o sosnę lub świerk.

W Bois-Charruau, niedaleko od La Romagne (Maine-et-Loire), skarb z 1789 roku może być znaleziony dzięki takim wskazówkom... prawdę powiedziawszy sybilińskim:

„Sto kroków do przodu,
Sto kroków do tyłu,
Jedna baryłka złota, jedna baryłka srebra,
Dwie skrzyżowane szpady znaczą miejsce ukrycia".

Z tej samej epoki pochodzą warte odnotowania: dzbany ze złotem zakopane w zamku Bourdeilles (Dordogne); 1 500 000 złotych funtów w rezydencji markiza de Chambray przy ulicy Regard w Paryżu; skarb właścicieli Beaulon w ich zamku w Allier, ale jeśli ktoś poruszy ziemię, zostanie ukąszony przez pięć czerwonych żmij, broniących skrytki; skarb z opactwa Jumièges, obok cisa przy dzwonnicy; dwa miliardy zakopane w Luwrze przez Ludwika XVI w 1789 roku; szmaragd wielki jak ludzkie serce z zamku Malicorne (Sarthe); skóra krowy napełniona sztukami złota przez kasztelanów Mirandolu (Lot) w ich nawiedzonym zamku.

Poza tym warto odnotować skarby ukryte w podziemiach: złoto i dzwony z brązu pod opactwem Saint-Acheul (Pas-de-Calais), relikwiarze, klejnoty, kasetki z luidorami pod wszystkimi prawie zrujnowanymi zamkami.

Mnisi z opactwa Faize (Gironde) wyruszyli na rewolucję wraz z relikwiarzami i zawartością skarbca, przechodząc najpierw podziemiami wychodzącymi w Lussac. Kiedy jednak wyszli na światło dzienne, nie mieli niczego, a podziemne korytarze zapełniły się wodą.

I od tego czasu pozostają zatopione.

Także w podziemnych korytarzach, fakt został udowodniony, śpi historyczny skarb z Mans, posiadający swe dokumenty założycielskie, a jego autentyczność potwierdzają liczni kronikarze, a wśród nich erudyta André Bouton, archeolog i wybitny historyk.

3 vendémiaire'a I Roku Republiki Francuskiej, Jedynej Niepodzielnej i Pierwszej (24 września 1792 roku), bogaty, opływający w dostatki klasztor urszulanek z Mans żył w trwodze przed terrorem. Po trzech latach zawieszenia zakonnice były zagrożone wysiedleniem i – przynajmniej tak sądziły – jeszcze gorszymi represjami republikańskimi.

W istocie chodziło tylko o przekształcenie klasztoru w więzienie, których brakowało w całej Francji, i o przerobienie w mennicy państwowej kościelnych sreber na monety trzydziesto- i piętnastosoldowe, których najbardziej brakowało Konwentowi.

Oczywiście zakonnice i ich przełożona, Luiza Desportes, zrobiły wszystko, by ocalić własność wspólnoty. W ten sposób powstał skarb urszulanek z Mans.

Księża z Saint-Julien przybyli o zmierzchu i powiadomili Luizę Desportes, że wizyta wojskowych przedstawicieli władz municypalnych, E. Chevereau, L. Francheta i Toussainta Garganta, przewidziana jest na dzień następny, na godzinę dziewiątą.

Tak więc jeszcze przed świtem przełożona zastosowała środki ostrożności: na wielkim stole refektarza postawiono pięć otwartych drewnianych kufrów i kilka zaufanych zakonnic zajmowało się składaniem do nich najważniejszych kosztowności klasztoru.

W przybliżeniu spis skarbów wyglądał następująco:

– cyboria, kielichy, czarki, pojemniczki na oleje, srebrne nakrycia stołowe;

– jedna waza liturgiczna, srebrne świeczniki, złoty krucyfiks;

– dwie kropielnice, dwie kadzielnice, relikwiarze;

– dokumenty i pergaminy;

– rulony sztuk złota i monet sześciofuntowych.

Mówi się także o trzech dzwonkach z kapliczki, jeden z pozłacanego srebra, pozostałe ze srebra i ze stali.

Kufry zostały właśnie zapełnione, kiedy siostra furtianka zaanonsowała przybycie „mężczyzny o odrażającej twarzy... słowem, miejskiego gwardzisty", żądającego wpuszczenia do klasztoru.

– Wprowadzić go – rozkazała Luiza Desportes.

Siostra furtianka obrzuciła zrozpaczonym wzrokiem kufry z kosztownościami, ale przełożona ponowiła rozkaz.

Gwardzista w obszernym kapeluszu z rogami i pióropuszem, z długą szablą wiszącą u pasa, niósł wielką torbę, „na której widok zakonnice zbladły".

Urszulanki wycofały się, a przełożona pozostawszy sam na sam z mężczyzną odezwała się do niego poufale:

– Janie – powiedziała – potrzebna mi twoja pomoc i chciałabym móc liczyć na twoją całkowitą dyskrecję.

Domniemany „gwardzista", murarz o nazwisku Dorizon, pochylił się z szacunkiem.

– Ma pani moje słowo, siostro – odpowiedział. – Za wszystkie oddane mojej rodzinie przysługi będę siostrze zobowiązany do śmierci.

– Znakomicie! Bierzmy się zatem do roboty. Trzeba te kosztowności przetransportować do podziemi, zamurować starannie i szybko. Weźcie jeden z kufrów i idźcie za mną.

Zapaliła świecę, spuściła żaluzje w refektarzu i uniosła płytę w posadzce. Potem wraz z podążającym za nią murarzem zeszła po schodach prowadzących, według jednej wersji, do Clos de Gazonfilère, a według innych kronikarzy, do posesji sąsiadującej z urszulankami.

Murarz z zakonnicą szli długo, ale być może chodziło o zmylenie Jeana Dorizona.

Wreszcie przełożona zatrzymała się.

– Proszę kuć tutaj. Liczyłam kroki i ustaliłam miejsce.

Murarz obrócił jeszcze pięć razy, by znieść kufry, i w bladym świetle jednej świecy z impetem zaatakował kilofem prawą stronę sklepienia.

Wykopał wielką jamę, wpuścił do niej kufry i zamurował, tak zgrabnie spajając kamienie, że wszelkie ślady pracy stały się niemal niewidoczne.

Kiedy skończył, ksieni zaznaczyła krzyżem miejsce ukrycia skarbu i poprowadziła murarza okrężną drogą do wyjścia.

Kiedy zbliżali się już do schodów wyjściowych, nad ich głowami wybuchła wielka wrzawa. Krzyki zakonnic uprzedziły ich, że gwardziści – tym razem prawdziwi – otoczyli właśnie klasztor.

Spiesząc się do wyjścia, zakonnica w zdenerwowaniu upuściła świecę, która zgasła. Oboje musieli wspinać się w ciemnościach po schodach.

Takie są względnie historyczne fakty, związane ze skarbem z Mans, zanotowane przez kronikarzy.

Klasztor został w XIX wieku zburzony, a na jego miejscu powstały ogrody Tascher. Nie ma kościoła, sal, podziemi, wszystko zmieniło wygląd.

Jean Dorizon żył długie lata, jednak absolutnie dyskretny nigdy nie ujawnił niczego z całej historii.

Przełożona przeniosła się do Vire w Normandii i kiedy hrabia Tascher, krewny Józefiny de Beauharnais i poszukiwacz skarbów, odnalazł ją, okazało się, że Luiza Desportes ze starości ogłuchła, oślepła i tak osłabła, że nie udało mu się wyciągnąć od niej wielu pożytecznych informacji.

Zapewniła jednak, że świeca została upuszczona bardzo blisko kryjówki. Ponieważ wiadomo, iż zakonnica znajdowała się w tym momencie niedaleko od wyjścia, można wnioskować o niewielkim dystansie dzielącym skarb od refektarza.

Długi marsz chodnikami podziemnymi miał jakoby na celu zatrzeć ślady, o ile nie został po prostu wymyślony. Trudno bowiem uwierzyć, by Luiza Desportes chciała wprowadzić w błąd murarza, tak zaznajomionego z miejscem ukrycia, że to on mógłby raczej oprowadzić ją po wszystkich zakamarkach klasztoru.

Ponadto opowieści o „długich" korytarzach podziemnych skłaniają do przypuszczeń o raczej krótkiej trasie, przebiegającej po niezbyt rozległych tunelach.

Pan Tascher zaangażował się w poważne i kosztowne poszukiwania, próbował wykorzystać wątpliwe umiejętności różdżkarzy i wydał w 1882 roku sto tysięcy talarów na zlokalizowanie skarbu wartego około czterech lub pięciu milionów w złocie.

Szczegół wart odnotowania: w czasie poszukiwań prowadzonych przez władze miejskie odnaleziono świecę.

Tajemnica skrytki nie została jednak całkowicie zaprzepaszczona. Potwierdzano istnienie w ubiegłym wieku pewnej osobistości z Mans, znającej bardzo dokładnie miejsce ukrycia pięciu kufrów. W naszych czasach posiadaczem odkrywczego planu miał być potomek tej osobistości, dziedziczący po niej. Można wobec tego zadać pytanie: dlaczego skarb nie został dotąd odzyskany?

Być może dlatego, że w ciągu tego całego okresu właściciel terenu – państwo? pan Gargant? – nie dawał wystarczających gwarancji powrotu skarbu w ręce instytucji religijnych po ewentualnym odnalezieniu składowiska.

A może w tej chwili dostęp do skrytki jest niemożliwy?

Albo może skarb został ukradziony?

Mówi się, że około 1875 roku jakiś cudzoziemiec wynajął dom przy ulicy Champgarreau (Albert Maignan), robił jakieś poszukiwania w jego piwnicach i zniknął bardzo tajemniczo. Czyżby odnalazł kufry? Jest to bardzo mało prawdopodobne.

Klub Poszukiwaczy Skarbów, a szczególnie panowie Lejeune i Boudet z Mans, bardzo dokładnie przestudiowali całą tradycję związaną ze skarbem, konfrontując ją z aktualnym stanem miejsc.

Wydaje się, że skarb został ukryty w starym podziemnym przejściu, łączącym klasztor z Wielkim Krużgankiem, niemal do niego przylegającym, w przejściu zwanym Sklepieniem Aren albo Urszuli.

Mierzyło ono 4,52 metra szerokości, 30 metrów długości i 3,5 metra wysokości do sklepienia, było wybrukowane i pozwalało na transport największych ładunków. Zamykała je mocna żelazna brama.

To przejście czy też tunel dziś znajduje się pod placem Etoile, pomiędzy ulicami Arènes i Ursulines, i musi wciąż istnieć, częściowo zatkany, ponieważ natrafiono na niego w 1906 roku w czasie zakładania wodociągów. Jego ślady można spotkać w piwnicach Banku Francuskiego i pod ulicami: Albert-Maignan, Gougeard i Ursulines.

Skarb jest gdzieś tu... być może w zapadniętym krużganku, może w piwnicy któregoś z domów okalających plac Etoile.

Na ziemi francuskiej istnieją tysiące takich skarbów rewolucji i niewiele zamków, opactw czy starych domostw nie posiada własnej tradycji czy dokumentów mówiących o ukrytych bogactwach.

Najbardziej znanym, także najbardziej problematycznym jest skarb Ludwika XVI, sytuowany w wielu miejscach, także poza granicami Francji.

Mówiono o dwóch miliardach ukrytych przez króla w Luwrze, ale skarb z „Télémaque'a" jest bardziej udokumentowany.

Dwumasztowiec „Télémaque", upozorowany na statek handlowy, zatonął 3 stycznia 1790 roku w dół od Quilleboeuf (Eure). Długi na 26 metrów, o pojemności 130 ton, pod dowództwem kapitana Adriena Quemina (lub Cumminga) płynął Sekwaną z Rouen do Londynu z ładunkiem smoły i drewna budowlanego.

Stanął na kotwicy w Quilleboeuf, by przepuścić przypływ, ale w nocy zerwał kotwice i zatonął na skraju miasta w pobliżu latarni morskiej.

„Télémaque" eskortowany był przez szkuner, na którym rewizja przeprowadzona przez rewolucjonistów ujawniła srebra rodziny królewskiej.

Bryg natomiast, jak mówiono, miał przewozić osobisty majątek Ludwika XVI i diamenty Marii Antoniny.

Wśród kosztowności miało być:

– dwa i pół miliona funtów w złocie, należących do króla;

– diamentowy naszyjnik Marii Antoniny, wartości półtora miliona funtów;

– wyroby złotnicze;

– przedmioty ze srebra i przedmioty o wartości religijnej, pochodzące z opactwa Jumièges i Saint-Martin-de-Boscheville;

– pięćset tysięcy franków i luidorów w złocie;

– majątki pięciu opatów i trzydziestu emigrantów „z wyższych sfer".

Spowiednik Ludwika XVI i mnich z opactwa Jumièges mieli potwierdzić istnienie większości z tych kosztowności.

Wrak „Télémaque'a" odnaleziony został w mule na głębokości siedemnastu metrów; między 1830 i 1850 rokiem podniesiono go, ale przerwały się liny i wrak ponownie spoczął na dnie.

Podjęte z 1939 roku poszukiwania doprowadziły tylko do odnalezienia, podważanego zresztą, pięciu świeczników z miedzi i klamer do butów. Poza tym nie ma żadnej pewności, że był to wrak „Télémaque'a".

Tymczasem istnienie skarbu zostało potwierdzone licznymi doniesieniami i zwierzeniami jednego z potomków lokaja Ludwika XVI.

Inne dokumenty (wątpliwe) utrzymują, że jedna część klejnotów Korony została zakopana u wybrzeży Nowej Szkocji i na Wyspie Dębów (Oak Island) w 1795 roku.

Wielokrotne poszukiwania skarbu, począwszy od 1800 roku, spełzły na niczym; w 1909 Franklin Roosevelt, zdecydowanie pechowy poszukiwacz, wziął udział w ekspedycji, która zakończyła się totalną klęską.

W Verdun, w uświęconej ziemi, ubitej żelazem, przesiąkniętej krwią, będącej milczącym świadkiem ostatnich westchnień chłopaków lat 1914–1918, są według przekazu zagrzebane skarby „Dziewic z Verdun".

W 1794 roku dwanaście dziewcząt z tego miasta zostało obwinionych o wręczenie (jakoby) koszyka cukierków księciu brunszwickiemu i zgilotynowanych przez republikanów.

Lamartine pisał o tym:

„Ich młodość, uroda, przedawnienie oszczerstw i triumfująca mściwość Republiki nie zostały wzięte pod uwagę przez Trybunał w Paryżu, gdzie zostały dowiezione.

Zostały skazane na śmierć za zbrodnie ojców (którzy wyemigrowali). Najstarsza miała osiemnaście lat. Wszystkie były ubrane na biało. Wóz, którym je wieziono, przypominał kosz z liliami o kwiatach kołyszących się w rytm ruchów ręki".

Oprócz młodziutkich dziewcząt ścięto też młode kobiety, między innymi siostry Watrin: dwudziestopięcioletnią Annę, dwudziestotrzyletnią Henriettę i dwudziestodwuletnią Helenę; znalazły się tam też córka byłego prezesa sądu w Verdun i siostrzenice ślicznej baronowej de la Lance, także ściętej; siostry Henry: dwudziestosześcioletnia Suzanne i dwudziestopięcioletnia Gabrielle.

Mówiono, że Annie Watrin udało się przed aresztowaniem zakopać dziesięć tysięcy funtów stanowiących jej posag, najpewniej w stajniach w rodzinnej posiadłości.

Suzanne i Gabrielle Henry z kolei ukryły w ogrodzie niewielki skarb złożony z pięciu tysięcy talarów i powinien tam wciąż tkwić.

No i wreszcie niezliczone wprost skarby z Wandei!

Miejscowy historyk z Beaurepaire, Jean Lagniau, zna tysiące sekretów i dramatycznych anegdot z nimi związanych.

Pan Lagniau, autentyczny szuan[1] (w szlachetnym tego słowa znaczeniu), patriota dumny z wandejskiego herbu o dwóch splecionych sercach pod koroną i chrześcijańskim krzyżem, lubi opowiadać w czasie nocnych pogawędek piękne historie skarbów z Boccage i Marais.

---

[1] Szuan – uczestnik chłopskich powstań w Wandei w czasie rewolucji francuskiej w latach 1793–96.

Przy pękających w popiele kasztanach, przy jabłeczniku lub słabym, odświeżającym winie, pitym w przyjemnym otoczeniu, w atmosferze spokoju, dawne wojny domowe ukazują się znowu, bardziej jeszcze ożywione i okrutne.

„Wszyscy posiadający jakieś kosztowności starali się je umieścić poza zasięgiem Błękitnych, często chowając je pod kamiennym dnem kominka, pod progami drzwi, pod drzewami. Ponieważ zwykle domy puszczano z dymem, nieostrożnością było szukanie skrytek pod podłogą czy w wiązaniach dachu.

Republikanie zabili trzysta tysięcy osób; często wybijano całe rodziny: ojca, matkę, dzieci, nie pozostawał przy życiu nikt, kto mógłby wrócić do opuszczonego domu i zabrać skarb.

W Soullans w Marais rodzina Pivoin schroniła się za granicą, z wyjątkiem ojca Paula, który pozostał w domu, by spróbować ocalić fortunę.

Opinia zasobnego burżuja szybko ściągnęła na niego podejrzenia i Komitet Rewolucyjny złożył mu wizytę.

– Ty jesteś bogaty – powiedział jeden z sankiulotów – a my biedni. Powinniśmy cię zabić, ale pozostawimy cię przy życiu, jeśli powiesz nam, gdzie są pieniądze.

– Rodzina zabrała wszystko uciekając – odpowiedział szuan.

– Kiedy ktoś ucieka, to znaczy, że ma nieczyste sumienie...

Rewolucjoniści przeszukali na próżno cały dom i wściekli przeszli do zastosowania drastyczniejszych środków.

Paul Pivoin został związany, rozzuty i gołe stopy przypiekano mu na rozżarzonych węglach, wypełniających palenisko imponującego kominka, istniejącego do dziś. Równie uparty jak jego oprawcy zawzięci, nie puścił pary z ust. Wobec tego sądząc, iż lepiej nie pozostawiać za sobą świadka z opalonymi stopami, jeden z sankiulotów poczęstował go kulką z pistoletu.

Skarbu nie odnaleziono nigdy. Niektórzy twierdzą, że był on schowany pod kamieniami kominka, świadka tortur Pivoina, i że wciąż tam pozostaje".

Pan Lagniau opowiada o jeszcze jednej zachowanej tradycji, dotyczącej miasteczka Fontaines niedaleko Fontenay-le-Comte.

„W szlacheckim dworku Logis właściciele schowali w 1793 roku cały posiadany majątek w monetach złotych i srebrnych koło starego gołębnika.

Dworek został spalony przez Piekielne Kolumny, a skarbu nie odnaleziono nigdy".

Tak, „Piekielne Komuny" dla dawnych szuanów i starych Wandejczyków naszych czasów oznaczały rewolucjonistów! Pozostawmy opowieściom naszego informatora cały ich pieprzyk i stronę sympatyczną, niewinną!

„Jeśli ktoś chciałby odnaleźć obrobione dłutem, wykonane z masywnego złota drzwi od tabernakulum w kościele Epesses, powinien ich szukać w ziemi na terenie kościoła i krypty.

O ile nie ukradł ich notariusz z miasteczka, który w czasie wojny w Wandei zgromadził ogromną fortunę".

Wspaniały ciężki Chrystus z masywnego złota, należący do kasztelana Girarda de Beaurepaire, jest wciąż schowany w podziemnych korytarzach, łączących zamek z kościołem parafialnym.

„Potomkowie jednego ze służących w zamku Boucherie spod Landes-Génusson opowiadają w ślad za relacjami ich przodków, że w 1793 roku służący ten o nazwisku Testaud ukrywał wraz ze swymi chlebodawcami ich kosztowności.

Sakiewki i szkatułki pełne złota i srebra, bezcenne puchary, srebra stołowe itp. – wszystko zostało starannie zamknięte w dużej baryłce okutej żelazem, następnie nocą i z zachowaniem tysiąca środków ostrożności przetransportowanej w miejsce nieznane do dziś, gdzieś pomiędzy zamkiem Boucherie i młynem Landes.

Baryłki okutej żelazem, pełnej złota i srebra, nigdy nie odnaleziono.

W nocy, gdy chwycono za broń w Gaubretière, 10 marca 1793 roku Wandejczycy przygotowali się do ataku na spore miasteczko Herbiers.

W nocy z 10 na 11 Jaśnie Pan Pierre Prosper de Boisy, kawaler, markiz de Landebaudière, przeczuwając, że bitwa będzie mordercza, włożył do kufra okutego żelazem wszystko, co posiadał ze złota i srebra, srebra stołowe, klejnoty, a następnie przy pomocy jednego ze służących i zarządcy Saint-Paul wstawił kufer na wóz i odjechał, by go ukryć w jednym ze swych folwarków.

Na początku stycznia 1794 roku markiz i służący zostali rozstrzelani przez Piekielnych na placu w Noirmoutier".

Skarb jest do dziś nienaruszony. Zamek Landebaudière wraz z folwarkami został sprzedany, ale akt kupna przewiduje, że w przypadku odnalezienia skarb wróci do spadkobierców pana na Boisy.

Charette, zwany przez Lenôtre'a „królem Wandei", całą wojnę dowodzący siłami królewskimi w sektorze Nantes – Sables d'Olonne, dysponował bogatym skarbem wojennym, zasilonym przez Anglików.

W 1794 roku Charette szukał schronienia w lasach Chaize i Gralas. Na jednej z polan w tych ostatnich, przeciętej strumieniem i nazywanej jeszcze dziś „Schronieniem", powstało prawdziwe miasto.

„Gałęzie oparte o drzewa i podtrzymywane przez mocne kołki tworzyły zwieńczenie każdego mieszkania. Inne gałęzie, przeplecione i poprzetykane kępkami trawy, stanowiły ściany.

Ustawione w wielu szeregach budy sprawiały wrażenie uliczek z krótkiej i gęstej trawy...

Dwie studnie zaopatrywały miasteczko w wodę pitną, dwie studnie obmurowane jeszcze istnieją, dziś wypełnione błotem, odgrywają pierwszoplanową rolę w historii skarbów Charette'a".

W lipcu 1795 roku generał Hoche, nie mający ochoty na starcie z którymkolwiek dowódcą wandejskim, wystawiającym mu cały czas krwawe rachunki, pisał do generała Delage'a: „Charette ma sześć tysięcy luidorów, obiecajcie je komukolwiek, kto dostarczy go żywego lub martwego..."

Travot i Delage odpowiedzieli mu z wielką godnością: „Ujmiemy Charette'a, a jeśli znajdziemy te luidory, obdzielimy nimi zgodnie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, szpitale w Angers, Nantes i Sables. Angielskim złotem zapłacimy za lekarstwa na rany naszych żołnierzy!"

Trzy miesiące później wielkie zamieszanie w lesie Gralas: Błękitni atakują całą siłą i Biali otoczeni rozpierzchają się w nieładzie. Charette wydaje rozkaz ładowania na konie po dwa połączone ze sobą worki, wypełnione żywnością, amunicją, dokumentami, ale w bagażach znajdują się także dwie walizy dyliżansowe, solidne, okute żelazem: zawierają skarb Charette'a. Oficer podskarbi armii dopytuje się o instrukcje na jego temat.

– Złoto nie gnije – odpowiada Charette.

Jedna z waliz ląduje w studni, druga zostaje załadowana na grzbiet konia.

Mimo heroizmu Wandejczyków i niemieckich najemników, Charette zmuszony był się wycofać i zmniejszyć maksymalnie obciążenie. Także druga waliza ze złotem w czasie przejazdu przez Andrière w pobliżu Saint-Denis-la-Chevasse wrzucona została do studni w miasteczku.

– Wrócimy po nasz skarb – powiedział szef do kilku zaufanych.

Nikt z nich nie uniknął jednak śmierci i skarb pozostałby w wodzie, gdyby nie zajął się nim jakiś mąż zniesławiony przez Charette'a... a przynajmniej tak utrzymywano!

Ale jest zupełnie możliwe, że walizy ze złotem wandejskiego przywódcy wciąż znajdują się na dnie studni w „Schronieniu" i w Andrière, o ile bowiem faktem historycznym jest ich wrzucanie do studni, to nie ma żadnych przesłanek, które świadczyłyby o ich wydobyciu.

Wiele skarbów zostało odnalezionych:

„Skarb pana de Jousbert z Landreau ocalał przed Piekielnymi Oddziałami i odzyskano go; schowany był w głębi kominka na farmie Méancière w pobliżu Góry Skowronków, za żeliwną płytą.

Wciąż w tej samej okolicy Haut-Bocage około 1900 roku pewien gospodarz z wioski Seigneurie, ojciec Rondeau, pracując w polu w pobliżu skraju drogi z Gaubretière do Bazoches w Paillers, ujrzał zatrzymujący się piękny samochód, z którego wysiadło dwóch panów, ubranych w wyszukany sposób.

Nieznajomi dopytywali się, gdzie znajduje się pole krzyża i czy krzyż znajdujący się na nim nie został przeniesiony.

Pan Rondeau zaprowadził ich na miejsce i pokazał to, co pozostało z dawnego granitowego krzyża o bardzo krótkich ramionach, leżącego na podmurówce, tak jak się widuje na skrzyżowaniach dróg.

Nieznajomi podziękowali i odjechali, ale kilka dni później, powróciwszy na pole krzyża, pan Rondeau zaskoczony ujrzał, że cokół został zburzony, odsłaniając obmurowaną skrytkę opróżnioną z zawartości".

Stary skarb został wydobyty nocą, bez wątpienia przez potomków właściciela, który wyemigrował.

W Nieul-le-Dolent przetrwały resztki zamku rycerza Josepha Roberta, pana na Chaon la Moricière, Vildor i innych miejscach.

W 1660 roku rycerz pojedynkował się ze swym sąsiadem, panem Burcerie. Pojedynek był tak zażarty, że pozabijali się nawzajem.

Nigdy nie odnaleziono skarbu pana Chaon, ale tradycja zapewnia, że studnia na farmie Vildor kryje „kręgle ze złota", które kazał wytopić wszechmocny pan.

W 1950 roku farmer zszedł do studni pod pretekstem oczyszczenia, ale głównie z ciekawości.

„Na głębokości 2,7 metra w ścianie zobaczył potężne dębowe bale, pomiędzy które wbił ostry pręt, nie natrafiając ani na dno, ani na opór.

Komplet złotych kręgli jest, być może, tutaj schowany, a może pod kamiennymi płytami w stawie albo w zatkanych korytarzach podziemnych, znajdujących się niedaleko budynków".

Nie wiadomo, ile w tym prawdy, ale opowiadano, że jeden z poprzedników tego rolnika, znalazłszy w ziemi „żelazną sztabę" o bardzo paskudnym wyglądzie, zaniósł ją do kowala w Nieul, by z niej zrobić lemiesz do pługa.

Jakie było zaskoczenie rzemieślnika, kiedy kując młotem spostrzegł, że niesłychana sztaba żelazna... była ze złota!

Opowiadano, że włóczędzy sypiający w stodole w Vildor, znalazłszy w niej metalowe płytki, użyli ich do podkucia sabotów.

I te płytki były ze złota!

Kroniki wyjawiają taką samą naiwność w innej wersji i historii skarbu Charette'a, który ścigany przez Błękitnych przed klęską w lesie Gralas, umieścił ogromne bogactwa w mocnej torbie, zawieszonej na dwóch skrzyżowanych żerdziach, spoczywających na czterech jucznych koniach.

W torbie tej znajdowały się nie tylko monety, ale także klejnoty, w tym liczne naszyjniki wykonane ze złotych płytek.

Przejeżdżając przez jakiś staw, Charette, mający pościg tuż za plecami, przeciął rzemienie i torba wpadła do wody.

Pewien parobek pracujący na farmie w służbie u rodziny Lindreau znalazł złote płytki z naszyjników i posłużył się nimi do okucia swych sabotów!

Jego przebieglejszy pan rozpoznał złoto i miał czelność zaproponować wymianę płytek na dobre podkówki z kutego żelaza, co zostało zaakceptowane przez parobka.

Kiedy Lindreau dowiedział się, gdzie zostały znalezione płytki, ukradł skarb Charette'a.

Wkrótce potem umarł, a czuwający przy zwłokach w noc przed pogrzebem opowiadali, że z pokoju farmera wyfrunął ogromny czarny ptak.

Ciało Lindreau zniknęło, a do trumny włożono polana, by zakamuflować te diabelskie sztuczki!

Mówiono... opowiadano... oczywiście to wszystko są legendy albo sfałszowane historie, ale czyż nie jest normalne, że Wandea, a dokładniej Soulans, Beaurepaire, Epesses, Nieul-le-Dolant i Vildor, miejsca o nazwach wybranych, kojarzą się z kuframi luidorów (or – złoto), czasami splamionymi błękitną krwią arystokratów, którą republikańskie czasy przekształciły w purpurową rdzę!

SKARBY RELIGIJNE

Wydaje się, że we Francji skarby związane z uprawianiem kultu mają swe źródło w rewolucji 1789 roku, co potwierdzają bezpośrednio skarby Wandei i skarby zgilotynowanych bądź zmuszonych do podróży bez powrotu arystokratów.

W Ameryce Południowej rewolucja „Independencia“ była również bardzo dobrą dostawczynią zakopanych bogactw, a w inwentarzach skarbów nierzadko można natrafić na cyboria, krucyfiksy, święte posągi.

Do tych przyczyn wyższego rzędu dochodzą przypadki szczególne: równoczesne występowanie prześladowań ugrupowań religijnych ze skarbami katarów, jezuitów, a nawet templariuszy!

Sygnalizujemy fakt nadzwyczajny występowania niewielu skarbów religijnych w katolickiej Hiszpanii, która skorzystawszy z „dobrodziejstw“ inkwizycji – jest to teza do udowodnienia – uniknęła aż do 1936 roku katastrofalnych wojen religijnych i gwałtowności powszechnych walk wyzwoleńczych.

Fakt istnienia wielkich skarbów, takich jak skarby katarów, jezuitów i templariuszy, nie jest, prawdę powiedziawszy, udowodniony i za zdumiewające można uznać to, że z wielkich wspólnot nie pozostał ani jeden żyjący świadek, mogący rozpowszechnić miejsce ukrycia!

Niezależnie od faktów, wielu historyków utrzymuje, że katarowie posiadali ogromne bogactwa, które udało im się uchronić przed łapczywością nieprzyjaciół.

W 1243 roku królewski sędzia z Carcassonne oblegał ostatnich albigensów czy – jak kto woli – katarów w zamku Montségur, położonym w Ariège, na południe od Lavelanet, na stromej, mającej 1207 metrów skale.

W 1244 roku katolikom udało się po zuchwałej wspinaczce zająć jedno skrzydło fortecy. Fanatyczni katarowie, uznając się za zgubionych, po przyjęciu sakramentu pocieszenia rzucili się w płomienie wielkiego stosu, który sami zapalili, pozostała większość zaś została żywcem spalona przez napastników.

Katarów-albigensów podejrzewano o posiadanie wielkich bogactw, do których nie przywiązywali większej wagi, które jednak zgodnie z jedną z relacji historycznych ewakuowali przed kapitulacją fortecy.

Zdaniem Armanda Rogera z Mirepoix, który uczestniczył w tragicznych wydarzeniach, skarb pozostawał w zamku do lutego 1244 roku, aż pewnej ciemnej nocy trzej heretycy, Amiel, Aicart i Hugo, spuścili się na długich linach do podnóża skały z misją przeniesienia kosztowności należących do sekty w jakieś pewne miejsce.

Nie mogąc jednak przedrzeć się przez oblężenie, trzej mężczyźni musieli zakopać depozyt w lasach Serrelongue albo w grocie w Lombrive niedaleko Ornolac, powyżej kąpieliska Ussat.

W tej właśnie grocie o licznych rozgałęzieniach i długości wielu kilometrów katarowie urządzili potajemny kościół. Setki wyznawców kazały się tam zamurować wraz z biskupem, wybierając raczej śmierć głodową niż wyrzeczenie się własnej wiary.

W okolicy krążą jeszcze inne podania na ten temat: skarby miały być wrzucone do naturalnej studni na terenie zamku Montségur, która następnie miała być zasypana; ewentualnie zostały ukryte w rozległych podziemiach fortecy.

Napoleon Peyrat, historyk zbyt pewnie łatwowierny, polegając na opowieściach pasterzy napisał, że zbocza góry zawierały podziemne miasto, poprzecinane długimi korytarzami. Z zamku do wioski prowadzić miały spiralne schody, sięgające aż do rzeki Hers, co jest zupełnie niewyobrażalne. U stóp schodów miały znajdować się grobowce i obszerne groty, gdzie miał być przechowywany święty Graal[1]!

Pewien poszukiwacz skarbów, Arnaud z Bordeaux, przeprowadził poszukiwania na głębokości trzydziestu metrów pod zamkiem w nadziei odnalezienia wspaniałych schodów i jednego chociaż korytarza podziemnego miasta, musiał jednak porzucić ten gigantyczny wysiłek, który okazał się bezużyteczny.

Jednakże wydaje się prawdopodobne, że skarb katarów został ukryty gdzieś w okolicach Montségur albo w Rennes-le-Château (Aude).

Rezultatem innych wojen religijnych i całkowicie historycznie uzasadniony jest skarb z Crain, do którego także legenda dohaftowała cudowny feston z ochroną sił tajemnych, wymyśloną w chwalebnej trosce o uchronienie go przed świętokradczymi zakusami.

Nad skarbem czuwa biała dama, która, jak się sądzi, sprzyjałaby poszukiwaczom mającym szlachetne pobudki!

Historia ta sięga tragicznej nocy 27 września 1567 roku, kiedy hugenoci[2] zdobyli Auxerre, mordując katolików i demolując kościoły w bezrozumnym szale.

Jak zwykle, rozbój wiąże się z działaniami wojskowymi i z religijnym sekciarstwem, a między najbardziej zawziętymi w grabieży wyróżnił się Jacques de Loron, pan na Maison-Blanche z Crain.

W *Historii zdobycia Auxerre* ksiądz Leboeuf zdaje relację z oblężenia miasta i szczegółowo opisuje relikwiarze, wazy i ornamenty, figurujące w spisach inwentarzowych katedry.

„W Wielkim Skarbcu: jeden krzyż, jeden klejnot, miniaturowa kapliczka zawierająca fragment dolnej szczęki świętego Wawrzyńca, relikwiarz Marii i Salome, krucyfiks z kawałkiem drewna z prawdziwego Krzyża i inny relikwiarz... wszystkie te przedmioty o nieocenionej wartości, ze złoconego srebra; figury świętego Piotra i świętego Jana Ewangelisty, pokryte złoconym srebrem.

---

[1] Św. Graal – legendarny talizman, przedstawiany najczęściej jako kielich, poszukiwany przez rycerzy króla Artura.

[2] Hugenoci albo hugonoci – nazwa protestantów francuskich, XVI/XVII wiek.

W Małym Skarbcu: klucze świętego Amâtre'a biskupa, świętego Justa dziecka, oprawione w pozłacane srebro; pudełka, relikwiarze, serwisy stołowe, świeczniki, kadzielnice, kielichy, ornaty, dalmatyki[1] itp."

To wszystko zostało rozbite, rozkradzione lub wyrzucone na ulicę wraz z karbunkułami, granatami, szafirami, ametystami i innymi drogocennymi kamieniami, pochodzącymi z darowizn czynionych przez wszystkich biskupów następujących po sobie w siedzibie biskupiej w Auxerre albo podarowanymi przez przejezdnych książąt lub królów Francji.

Dzwony zostały stopione, groby otwarte w celu wykradzenia miedzi; ołów z kolumn, brązy ze świeczników i kropielnic przetopiono na kule i armaty.

Kroniki zaświadczają, że sire de Loron z Crain załadował „na jedenaście albo dziesięć wozów", natychmiast skierowanych do własnej kryjówki w Maison-Blanche, łup pochodzący głównie z opactwa Saint-Germain.

Posiadamy dokładne informacje na temat zawartości skarbu z Crain, pochodzące ze świadectwa Claudine Ravier, służącej z zamku, która 15 grudnia 1610 roku złożyła oficjalne zeznanie przed Jeanem Lasnem, porucznikiem przy trybunale w Donziois.

Sire de Loron w 1567 roku zamieszkiwał zamek Crain wraz z żoną, trojgiem dzieci – dwóch chłopców i jedna dziewczynka – i dość liczną służbą, do której należała Claudine Ravier, mająca jedenaście lat.

Claudine widziała więc, jak zajechało do Maison-Blanche „jedenaście czy dziesięć" wozów eskortowanych przez około stu żołnierzy, wyładowanych cennymi przedmiotami, krzyżami, cyboriami, świecznikami i złotym relikwiarzem świętego Germaina.

---

[1] Dalmatyka – rodzaj ornatu.

Przedmioty z cennych metali były rozładowywane i przebierane bez wątpienia według wartości i prawdopodobnie jakaś ich część została rozdana „bandytom grasującym po drogach i wśród nędzarzy okolicznych", którzy pomagali w rabunku.

Pan de Loron zarezerwował oczywiście dla siebie najlepszą część i złoty relikwiarz, który miał być połamany i stopiony przez złotnika z Auxerre. Kiedy zadanie okazało się trudne do wykonania, kasztelan zdecydował się ukryć wszystko w ogrodzie – jak twierdziła Claudine Ravier, według innych źródeł – w podziemiach.

Młoda służąca zapewniała, że odbyło się to w ogrodzie i że w tym celu zawołano do pomocy mistrza murarskiego z Clamecy, niejakiego Denisa, który zobowiązał się do wykonania prac ziemnych, żądając dwudziestu talarów.

Była już noc, kiedy oceniono, że rów jest wystarczająco głęboki. Claudine trzymała w ręce pochodnię oświetlając miejsce pracy; pan de Loron, jego żona i Denis nosili srebra z zamiarem złożenia ich do jamy.

W tym właśnie momencie służąca miała wizję, która bez wątpienia przydarzyła się tylko jej: jakaś biała dama pojawiła się w czarodziejski sposób i próbowała z całej siły przeszkodzić w pogrzebaniu świętego kufra.

Trójka świętokradców musiała użyć całej siły, by dobrze wykonać robotę, a kiedy Denis chciał zasypać wykop, biała dama zaczęła rozrzucać z wściekłością ziemię już zasypaną.

Wystraszona, zdumiona dziewczynka przyglądała się tej scenie. W końcu pokonana zjawa ulotniła się z okrzykiem rozpaczy.

Kiedy rów został zasypany i skrzynia z relikwiami zakopana, aktorzy dramatu powrócili na zamek i usiedli do kolacji. Murarz siedział obok znajomego rusznikarza, który po skończonej kolacji odprowadził go jakieś dwieście kroków od Maison-Blanche.

Nagle dał się słyszeć odgłos wystrzału i Claudine, jeszcze pełna emocji, wykrzyknęła nierozważnie:

– Niestety! To papiści!

– Zamilcz – zareagował brutalnie Loron – bo ci się przydarzy to co tamtemu!

Nazajutrz znaleziono podziurawione zwłoki murarza i Claudine otrzymała potwierdzenie zbrodni, którą przeczuwała: Loron zaniepokojony usunął świadka swych machinacji. Claudine, także niepewna w jego oczach, zawdzięczała życie wstawiennictwu swej pani.

Jednak czy to z naturalnego okrucieństwa, czy jako ostrzeżenie niegodziwy pan wyciągnął dziewczynce język i pokaleczył go nożem.

Długo Claudine nie mogła ani mówić, ani spożywać twardych pokarmów, ale w końcu rany zagoiły się i młoda służąca szczęśliwie powróciła do domu ojca, Jules'a Raviera, do Arcy-sur-Cure, gdzie mieszkała aż do swego ślubu.

Sześć lat później Loron został powieszony przez katolików, jak mówią, po odkopaniu relikwiarza w ogrodzie i kilku skarbów w podziemiach zamku.

Claudine, by oczyścić swe sumienie z mimowolnego współuczestnictwa, chciała opowiedzieć synom Lorona o wydarzeniach, których była świadkiem w 1567 roku, ale męska linia spadkobierców wymarła przedwcześnie. Tak więc pierwsze wyznania poczyniła wobec pana de Domecy, męża córki Lorona.

Powtórzyła je swemu mężowi, Claude'owi Villainowi, pionierowi mieszkającemu w Saint-Martin-du-Pré-lès-Donzy w Nivernais, który przekonał ją, by poinformowała o wszystkim wymiar sprawiedliwości.

Nie potrafiła jednak przypomnieć sobie dokładnego miejsca zakopania w ogrodzie kosztowności, co nietrudno uznać za normalne, biorąc pod uwagę jej stan ducha w czasie akcji, brak jakichkolwiek punktów orientacyjnych na terenie odmienionym w ciągu czterdziestu trzech lat, które upłynęły od wydarzeń.

Tymczasem możliwe jest, że złoty relikwiarz świętego Germaina jest wciąż zakopany w Maison-Blanche. Mieszkańcy Crain przywołując na pomoc wyobraźnię zapewniają, że inne skarby są zamurowane lub ukryte w podziemiach. Głównie chodzi o kurę z dwunastoma kurczętami z masywnego złota, która podobno spoczywa w ścianie studni w zamku.

Jeszcze raz legenda zdystansowała prawdę historyczną, a przynajmniej coś, co na nią wyglądało.

Około roku 1900 Henriette Marie Cécile Rabé z rodziny pana de Loron, by okupić świętokradztwo swego przodka, zorganizowała poszukiwania, które nie dały żadnego rezultatu.

Radiesteci i jasnowidzowie wielokrotnie lokalizowali położenie relikwiarza i innych skarbów, ale bezskuteczne poszukiwania wykazały ich bezsilność.

Henriette Rabé zmarła w 1940 roku, przekazując zamek Maison-Blanche hospicjum w Coulanges.

W 1957 roku pewna radiestetka i jasnowidząca, pani Ozanne z Paryża, zakupiła starą siedzibę w wyniku ciekawego proroczego snu.

Madame Ozanne tak o tym opowiada:

„W nocy 6 kwietnia 1957 roku, będąc przygnębioną, prosiłam Matkę Boską z Syrakuz, dla której mam szczególne nabożeństwo, o zesłanie na mnie pocieszycielskiego snu.

W moim śnie przesunęła się jak na taśmie filmowej cała seria obrazów, wyruszyłam więc do Yonne w poszukiwaniu ich potwierdzenia.

W Crain natknęłam się na kobietę rozwieszającą bieliznę, co zgadzało się z pierwszym obrazem z mojego snu. Kobieta powiedziała mi, że zamek Maison-Blanche jest na sprzedanie i że w jego murach bądź ogrodzie znajduje się ukryty skarb... wszystko więc zgadzało się z tym, czego szukałam.

Sprzedałam wszystko, co posiadałam, zrobiłam, co do mnie należało, i teraz zamek jest moją własnością.

Chciałabym odnaleźć relikwiarz, by oddać go kościołowi, i wydaje mi się, że wiem, gdzie się znajduje: niedaleko jednego z okien fasady. Sprawdziłam to miejsce wahadełkiem i mam nadzieję, że biała dama zechce przyjść mi z pomocą.

Ale prawdopodobnie nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Kiedy wybije godzina, dama da mi znak i na miejscu ukrycia skarbu zakwitnie krzak róży".

Pełna niepokoju pani Ozanne oczekuje na cud i każdej wiosny wypatruje kwitnienia w swoim parku...

Francuscy kartuzi[1], podporządkowani regule świętego Brunona, żyjący w odosobnieniu w Paryżu, w Grenoble, w Marsylii, w Villeneuve-lès-Avignon, musieli opuścić po rewolucji swoje klasztory.

Zabudowania uznane za dobra narodowe zostały w większości zburzone lub rozsprzedane po parcelacji. Taki los spotkał bardzo piękną kartuzję z Villeneuve-lès-Avignon, którą republiki dwudziestowieczne, w przeciwieństwie do tej z roku 1790, usiłują ocalić przed ruiną, odbudowując wciąż monumentalne szczątki.

I w tych miejscach o zmienionym przeznaczeniu, przebudowanych, czasami odbudowanych, gdzie od prawie dwóch wieków zamieszkują całe rody, zrodziła się tradycja skarbu, pieczołowicie odnotowywana przez pewnego miejscowego erudytę, historyka Laurenta Commune'a.

Istotnie, tradycja ta wsparta jest na poważnych podstawach historycznych i pewnego rodzaju dokumentach, wciąż utajnionych, które pewnego dnia pozwolą odnaleźć zasoby sztuk złota, dających się przeliczyć na pół miliarda franków.

W 1792 roku Konwent potrzebował złota na bicie monet, srebra na utrzymanie armii zagrożonej przez całą Europę i brązu na armaty.

Rozesłał swych emisariuszy po całej Francji z misją zagarnięcia bogactw gromadzonych przez klasztory, kościoły i wszystkie sanktuaria religijne.

Jednak rewolucyjna kwesta okazała się nie tak obfita, o wiele mniejsza, niż oczekiwano: wszędzie na prowincji zaniepokojony, być może nierozumny, ale na pewno wrogi lud zgotował wysłannikom jak najgorsze przyjęcie.

To, że ci Paryżanie czy Marsylczycy zabawiają się w robienie rewolucji, można przyjąć, ale by przychodzili ogołacać tabernakula z cyboriów, krypty ze świeczników, dzwonnice z dzwonów, tego dobry lud Francji nie przyjmował do wiadomości! Przypuszcza się, że ci sami wysłannicy Konwentu, którym nie powiodło się z relikwiami ukrytymi w Conques i dzwonami zakopanymi w Saint-Germain, udali się w końcu 1792 roku do miasteczka Villeneuve-lès-Avignon, opuszczonego właśnie przez kartuzów.

---

[1] Kartuzi – zakon kontemplacyjny pustelników o surowej regule, założony około 1086 roku koło Grenoble przez świętego Brunona z Kolonii.

Można zrozumieć wściekłość emisariuszy, tym razem zdecydowanych nie dopuścić do kpin z siebie. Sądząc jednak z inwentarza zdobytych w kartuzji cennych przedmiotów, i tym razem zakpiono sobie z nich.

Piszą:

„W dwóch szafach, o 27 szufladach każda, znaleźliśmy:

– 120 sztuk złota, 935 sztuk srebra, 2188 monet miedzianych.

Do tego trzeba dorzucić:

– dzwony;

– portrety mistrzów takich jak: Le Guide, Mignard, Guerchin itp., rozmieszczone w kolegiacie i w hospicjum;

– 9200 ksiąg (sprzedanych i rozproszonych w 1812 roku, a zawierających najrzadsze egzemplarze *Biblii* i *Talmud* o nieocenionej wartości)”.

Wydaje się, że są to bogactwa zbyt mizerne jak na tak potężną kartuzję, korzystającą z dochodów z licznych posiadłości, przeorstw, stodół, wysuszonych stawów w Rochefort i Pujaut, a także z darowizn i legatów, które mieli ochotę jej przekazać prałaci z Dworu Papieskiego, kiedy papież rezydował w Avignonie.

A co stało się z kielichami, cyboriami, krzyżami, kandelabrami i ornatem Innocentego VI oraz innymi relikwiami?

Wszystko to zostało schowane z krańcową ostrożnością i tak starannie, że od tamtych czasów prawie niemożliwe się stało (jak w przypadku dzwonów z Saint-Antonin) odnalezienie skarbów!

A przecież wiele osób wie z dokładnością do kilku metrów, gdzie schowano miliony luidorów, a nawet znany jest plan skrytki.

W 1790 roku przeor kartuzji odwiedził pewnego powszechnie szanowanego mieszkańca Villeneuve, mieszkającego w gospodarstwie Chabrelle, Dawida zwanego „de la Meynargue".

– Przyjacielu – powiedział duchowny – znamy się od dawna i wiem, że mogę liczyć na twoje oddanie, sądzę więc, że mogę powierzyć ci pewną poufną misję. W podzięce oddam ci farmę Grande'Bastide za parę wołów, co nada naszej transakcji odpowiednią wartość.

– Ach nie – odrzekł Dawid. – Bez zastrzeżeń i z całego serca zgadzam się oddać ci przysługę i odmawiam przyjęcia jakiejkolwiek zapłaty. Niebiosa mi wszystko wynagrodzą.

– Oto kto jest prawdziwym chrześcijaninem, ale nie masz racji odmawiając przyjęcia tej farmy, która tak jak i pozostałe będzie wkrótce sprzedana za bezcen i to nie wiadomo komu!

Misja, którą chcę cię obarczyć, jest tajemnicza i bardzo poufna. Nie chciej jej zrozumieć, ale wiedz, że jest ona na zaszczyt i chwałę Najwyższego...

I Dawid de la Meynargue dowiedział się, że zadaniem jego będzie pilnowanie z największą uwagą niektórych kamiennych słupków z wygrawerowanymi znakami herbowymi kartuzji, niedawno ustawionych na sąsiednich gruntach. Słupki te pod żadnym pozorem nie powinny być przestawiane, a gdyby się to jednak stało, należało pomierzyć odległości i nanieść ich nowe położenie.

W rok po tym spotkaniu kartuzi opuszczali swój monaster, z wyjątkiem brata Louisa, zbyt starego na wygnanie, o ile nie został także obarczony misją sekretną jak Dawid!

Brat Louis znalazł schronienie w grocie w Cabrion, gdzie żył dwa lata, żywiony codziennie potajemnie przez dzieci Dawida.

W chwili śmierci, otoczony przez swych opiekunów, nie był w stanie wypowiedzieć nic poza słowami: „Na skrzyżowaniu Czterech Dróg".

Kartuzi, którzy znaleźli schronienie w Saragossie, przeżyli w 1807 roku wejście francuskich żołnierzy Napoleona i dawny przeor niespodziewanie rozpoznał w jednym z młodych szwoleżerów mieszkańca Villeneuve, Pascala, zwanego Boufigue, którego znał niegdyś bardzo dobrze i znał jego uznanie dla swych przekonań.

Zaprosił żołnierza do swego stołu i przerwał z tej okazji, by ożywić szczęśliwe godziny przeszłości, regułę milczenia obowiązującą w zakonie.

Po wymianie wzajemnych wyrazów sympatii, wzmocnionych podwójnym wygnaniem, pod koniec posiłku przeor pozwolił sobie na kilka zwierzeń:

– Pascalu, po powrocie do Avignonu odnajdź Dawida de la Meynargue i poleć mu kontynuować bez opieszałości misję, która została mu powierzona.

A kiedy szwoleżer użalał się z powodu losów sławnej kartuzji, przeor dorzucił:

– Nie niepokój się, przyjacielu, o przyszłość naszego drogiego monasteru! Nawet gdyby został zburzony do fundamentów, zawsze jeszcze zostanie tyle złota, by go odbudować trzy razy.

Po powrocie do kraju Pascal wywiązał się z zadania. Słupki zresztą pozostawały długo na swoich miejscach, z wyjątkiem jednego wyrwanego, służącego jako portal w posiadłości Thomasa Davida.

Zrozumiałe, że i jedno, i drugie jego położenie zostało wiernie oznaczone.

Co wynika z tych faktów, enigmatycznych na pewno, ale pozwalających jednak na wyłowienie jednej prawie pewnej sprawy? Miejsce skarbu związane jest z usytuowaniem słupków i niektórzy nie omieszkaliby powiedzieć, że ich układ wskazuje położenie podziemi, rozpoczynających się w klasztorze i biegnących w kierunku Czterech Dróg, a więc miejsca rozpoznawalnego na powierzchni na wypadek przypadkowego zawalenia podziemnych korytarzy.

Ciekawe, że podobne środki ostrożności zostały podjęte, także w 1790 roku przez mnichów z opactwa Faize w Gironde i że wielokrotnie w ciągu wieków tajemniczy osobnicy przybywali na miejsce, tak w Faize jak i w Villeneuve, by dokonać przejęcia skarbów bądź ich poszukiwać albo by sprawdzić, czy punkty orientacyjne pozostają wciąż na swoich miejscach.

Przygoda ze skarbem klasztoru w Villeneuve-lès-Avignon twała przez całe lata i także w naszych czasach okolice Czterech Dróg znajdują się pod jakimś tajemnym, ale uważnym nadzorem.

Dawid de la Meynargue wiernie przekazał swym następcom instrukcję przeora. Aktualnie jeden z jego potomków, pan Canonge, osobistość dobrze znana mieszkańcom Villeneuve, zapewnia kolejną zmianę warty i z całą pewnością dochowuje tajemnicy skarbu!

W każdym razie, w 1850 roku, kiedy pewien pastuch z Chabrelle pędził stado z pastwiska, nagle na swej drodze wśród nocy natknął się na mnicha, pojawiającego się w czarodziejski sposób.

– Pasterzu – powiedziała zjawa – każ za mnie bezzwłocznie odprawić mszę, bo chodzi o zbawienie mojej duszy!

Kartuz zniknął, tak jak się pojawił, a pastuch, przez chwilę osłupiały, wzruszył ramionami i pomyślał, że ma halucynacje.

Nie uczynił niczego, nie wspominając nawet o wydarzeniu nikomu, ale nazajutrz wieczorem zjawa powróciła, jeszcze bardziej przynaglająca i błagająca, tak że już o świcie pasterz udał się do Avignonu, zamówił mszę i nigdy już nie był niepokojony przez ducha.

Około roku 1920 panu Vallatowi, strażnikowi klasztoru w Villeneuve, przed przeniesieniem do zamku w Vizille, gdzie przebywał aż do śmierci, złożył wizytę jakiś nieznajomy, przedstawiający się jako krewny ostatniego ojca przełożonego.

Poprosił uprzejmie o zaprowadzenie do „Domu Przeora" i strażnik zaprowadził go do głównego pomieszczenia, gdzie zaobserwował ze zdumieniem dziwne zachowanie przybysza.

Mężczyzna, ustawiając się według okna, odliczył kilka kroków aż do czegoś w rodzaju ściennej szafy, w której badał dno, a następnie poprosił strażnika o pozostawienie go samego przez cały dzień.

Vallat odmówił. Nieznajomy zawahał się przed szafą, jakby szukał w niej jakiejś wskazówki, po czym odszedł i nigdy nie wrócił.

Pan Canonge często wpadał na pogawędkę do strażnika, który zrelacjonował mu tajemniczą wizytę.

Zaintrygowany pan Canonge obejrzał szafę i zauważył, że została ona wykonana pośpiesznie z lichych materiałów, jakby miała maskować coś, co należało ukryć przed niepowołanym wzrokiem.

Szybko usunął kilofem przepierzenie, co odsłoniło na murze plan wyryty w kamieniu, odnotowany w grudniu 1957 roku, zawierający inskrypcję w narożniku.

Inskrypcja ta i podobne na słupkach kamiennych wskazują prawdopodobnie kierunek podziemi i ich początek w monasterze.

Trzeba je jednak umieć zinterpretować, usytuować na planie i wobec słupków.

Tyle mniej więcej wiadomo o skarbie z Villeneuve-lès-Avignon... a przynajmniej tyle, ile wolno na ten temat powiedzieć, bo w rzeczywistości dane są znacznie dokładniejsze.

Ponieważ przeor zapewniał, że skarb „w złocie", a więc prawdopodobnie w ludwikach, mógłby pozwolić na trzykrotną odbudowę monasteru, można ocenić jego wartość na kilkaset milionów, a więc na tonę złota!

Tona złota leży pod cienką warstwą ziemi, ponieważ do miejsca tego dotrzeć można i z powierzchni, i od podziemi.

Nie trzeba niczego więcej, by podniecić wyobraźnię!

Mieszkańcy miasta wiele razy poszukiwali wejścia do podziemi od strony piwnic i odkryli korytarze prowadzące, jak się mówi, do krypty w kaplicy.

Inne odgałęzienia prowadzą do kuchni pomieszczeń dla gości, do „piekieł" wytłaczalni oliwy i do sąsiednich pałaców...

Magowie korzystają ze swych magicznych różdżek, a wszyscy poszukiwacze ze swych szarych komórek. W rzeczywistości wejście do podziemi nie jest, być może, trudne do znalezienia, szczególnie dla tych, którzy choć trochę znają się na elementarnych zasadach konstrukcji krypt[1].

Tyle że droga może być zatkana! Ale pozostaje plan, słupki, wyryte znaki, Cztery Drogi: cudowna tajemnica fascynująca mieszkańców Villeneuve!

Jak templariusze za panowania Filipa Pięknego, tak jezuici w XVIII wieku stanowili państwo w państwie. Sprawowali suwerenną władzę, korzystając ze wszystkich przywilejów zorganizowanych narodów, posiadając własną flotę handlową, armię, szkoły i skarby o wiele bardziej znaczące od skarbów królów europejskich.

Ich wyniosła potęga, a także bogactwo sprawiły, że stali się niepożądani na Starym Kontynencie i wygnani z Anglii, Rosji, Hiszpanii, Francji i Włoch, osiedlili się głównie w Ameryce Południowej.

Jednak ich wrogowie nie popuścili i bullą *Dominus ac redemptor noster*, noszącą datę 21 lipca 1773 roku, papież Klemens XIV ogłosił likwidację zakonu.

W odpowiedzi na to jezuici wystąpili z otwartym buntem przeciw Stolicy Apostolskiej i rządom cywilnym.

W 1778 roku jezuici w Boliwii byli w stanie wojny z królem Hiszpanii, który odebrał im administrację kopalniami złota, srebra i pól diamentodajnych Ameryki Południowej.

Przewidując czas niełaski, od 1767 do 1778 roku gromadzili zapasy zysków z kopalni, co zresztą częściowo było przyczyną decyzji króla Hiszpanii.

Mówiono, że ukryli ten ogromny skarb w podziemnych korytarzach, wykutych w skale przez sześciuset Indian, pracujących nad tym ponad dwa lata.

---

[1] W niedzielę 12 stycznia 1957 roku brat René z Biura Badań Historycznych w Marsylii, obarczony misją, do realizacji której otrzymał pomoc straży pożarnej z Villeneuve i długą drabinę, przybył do klasztoru – jak następnie oświadczył – by odkryć sekret znany tylko kartuzom.

Trochę zdrowego rozsądku: przewody wentylacyjne podziemi wykorzystywały na ogół przewody kominowe prawdziwych lub fałszywych kominków. Brat René posługując się wielką drabiną odkrył rzecz bardzo łatwą do przewidzenia!

Kiedy oddziały królewskie zajęły warownię jezuitów, żołnierze nie znaleźli w niej niczego i bezskutecznie torturowali tubylców, podejrzewając ich o współudział w przygotowywaniu skrytki.

Ze zbioru rozmaitych niedyskrecji udało się jednak wyciągnąć wniosek, że skarby oceniane na dwanaście miliardów franków w złocie są zgromadzone w grotach, do których prowadził główny korytarz o długości 188 metrów, szerokości miejscami dochodzącej do 39 metrów.

Dowiedziano się także, że by wprowadzić w błąd poszukiwaczy, korytarze tworzyły rozległy labirynt z fałszywymi odgałęzieniami, drogami bez wyjścia i nawrotami poprzegradzanymi grubymi murami, i że druga zawikłana sieć przejść, umiejętnie wplątana, została umieszczona pod wysokim wzgórzem chroniącym skrytkę.

W 1903 roku angielski inżynier C.H. Prodgers spotkał w boliwijskiej Jurze Donę Corinę San Roman, bratanicę wielebnego ojca San Romana, który przed śmiercią przekazał dokument dotyczący jezuickich skarbów swemu bratu, prefektowi w Callao.

Dokument ten w grubszych zarysach mówił, co następuje:

„Jeśli natraficie na strome wzgórze, bogato zalesione, o spłaszczonym wierzchołku, porośniętym wysoką trawą i jeśli z tego wierzchołka można będzie dojrzeć rzekę Sacambaya z trzech stron, szukajcie w trawie wielkiego, jajowatego głazu, tak ciężkiego, że trzeba było siły pięciuset Indian, by go tam umieścić.

Kopiąc pod nim na głębokość pięciu jardów, traficie na sklepienie ogromnej pieczary, którą pięciuset Indian drążyło dwa i pół roku.

Pieczara mierzy siedemdziesiąt jardów, ma dwoje drzwi i długi, przestronny korytarz, prowadzący do wschodniego pomieszczenia przy górnym wejściu, znajdującym się w odległości dwustu jardów.

Kiedy znajdziecie drzwi, powinniście bardzo uważać przy ich otwieraniu. Są to ogromne żelazne drzwi i natychmiast po ich przekroczeniu natkniecie się na wykonaną z czystego złota statuę, mierzącą trzy stopy wysokości, o oczach wykonanych ze wspaniałych diamentów.

Posąg ten został umieszczony w tym miejscu dla szczęścia ludzkości.

Gdybyście podążali wzdłuż korytarza, w pierwszym pomieszczeniu znajdziecie trzydzieści pięć wielkich złotych mis i stos ozdób i klejnotów ze złota i ze srebra, wzbogaconych szlachetnymi kamieniami.

W drugim pomieszczeniu znajdziecie w prawym rogu duży kufer, w którym znajduje się 90 tysięcy dolarów w srebrze [srebrny piastr zawierający 919/1000 czystego srebra].

Przy wchodzeniu do tych pomieszczeń należy zachować szczególne środki ostrożności, ponieważ wkoło została rozłożona trucizna w ilości zdolnej wytruć regiment.

Na całej długości tunelu, w całym podziemiu i w obydwu pokojach rozmieszczone zostały sześćdziesiąt trzy złote misy, których wartość można ocenić na dobre 60 milionów dolarów.

Mury obydwu pomieszczeń zostały wzmocnione grubymi granitowymi blokami; od sklepienia do podłogi jest pięć jardów.

Szczyt sklepienia składa się z trzech odrębnych tarasów, pokrytych starannie pięcioma jardami ziemi ubitej z kamieniami.

Kiedy dojdziecie do pomieszczenia wysokiego na dwadzieścia stóp, w którym znajduje się droga tak szeroka, że dwóch ludzi idących naprzeciwko mogłoby się minąć, przejdźcie przez rzekę, a znajdziecie się w kościele, monasterze i innych budynkach". (Koniec dokumentu).

Brzmienie tego dokumentu jest w oczywisty sposób – zamierzenie lub nie – zagadkowe, o ile to nie wielokrotne przepisywanie i kolejne tłumaczenia zniekształciły pierwotny sens.

Skarb pobudził do licznych i niestety bezowocnych poszukiwań od 1903 do 1930 roku.

Położenie skarbu jest następujące: pod wzgórzem zwanym El Caballo Cunco, u zbiegu rzek Kato i Sacambaya.

Jego przybliżona wartość: dwanaście miliardów.

ZŁOTO, ZMYSŁY, SZALEŃSTWO

Ameryka jest najbardziej zdumiewającym kontynentem na naszym globie, ponieważ ta nowa ziemia, nie zamieszkana, jak sądzono, przez długie tysiąclecia, była świadkiem narodzin ludzi cywilizacji egzotycznych, które nie chciały i nie mogły rozwijać się w racjonalnym rytmie.

Ameryka Północna wraz z całym wkładem angielskim, francuskim, włoskim, niemieckim ma prozaiczną historię.

Przeciwnie Ameryka Środkowa i Południowa, które z przeszczepem hiszpańskich komórek mózgowych przeżywały okresy gorączkowej, barwnej anarchii, bogate w przygody, okresy upadków i wzlotów, miłości i nieludzkiego okrucieństwa.

Epopeja skarbów w tym pełnym sprzeczności nowym świecie, rozciągająca się od bieguna do bieguna, wybrała swe ulubione ziemie; wybrała środek i południe, Meksyk Majów, Peru Inków, Argentynę i Wenezuelę rewolucjonistów XIX wieku.

W miarę karczowania lasów i uprawy pampasów przygoda stawała się mniej dzika i wspaniała, ale bohaterowie skarbów jeszcze w końcu ubiegłego stulecia byli imponujący.

Jeden z nich, Juan Facundo Quiroga, był kolejno robotnikiem, żołnierzem, rozbójnikiem, gubernatorem prowincji, by zostać prezydentem Argentyny... w niespokojnych co prawda czasach wojen niepodległościowych.

Quiroga jako rozbójnik działał w prowincji Rioja około roku 1829.

Pomiędzy poszczególnymi wyprawami chował w kryjówkach na terenie regionu Rioja karabiny, proch i garści złota, ustanawiając rodzaj rezerwy wojennej.

Przyjmuje się, że każda skrytka zawierała trzysta do czterystu piastrów pochodzących z rozboju, które bandyta miał zamiar zwrócić po ustanowieniu pokoju.

Zginął zamordowany przez gaucza w 1835 roku i kryjówki zachowały swój sekret.

Pod koniec wojny, w której starły się z jednej strony Paragwaj, a z drugiej Brazylia, Argentyna i Urugwaj, generał François Solano Lopez, eks-prezydent Republiki Paragwajskiej – jeszcze jeden! – był zmuszony po heroicznym oporze uciekać wraz z kilkoma zwolennikami na południe.

W 1870 roku poniósł śmierć w walce z generałem Camarą.

Tradycja głosi, że swój wojenny skarb przetransportował do Posadas w Argentynie, na granicy z Paragwajem; skarb składający się z czterdziestu ton czystego złota, na czterdziestu wozach (!).

Zdumiewająca historia skarbu z Catamarca, pochodzącego z okresu, kiedy Quiroga i jego bandy wyjętych spod prawa maszerowały na miasto Kordoba w Republice Argentyńskiej, proponuje nam zanurzenie się w okultyzm.

Wydawało się, że Kordoba jest źle broniona przez oddziały unitariuszy José Paza, tak że obawiając się najgorszego, biskup don Balboa powziął decyzję o ucieczce wraz z najcenniejszymi przedmiotami ze skarbca katedry.

Ta szalona determinacja pogrążyła miasto w zdumieniu, nikt jednak nie ośmielił się przeciwstawić i pewnej nocy po odprawieniu uroczystej mszy pożegnalnej Balboa w towarzystwie małej grupki wiernych ruszył w kierunku północno-zachodnim, zapuszczając się w Sierrę i dzikie Salinas Grandes.

Karawana z mułów unosiła skarby wydobyte z pewnej kryjówki mieszczącej się w podziemiach, mających wyjście pod głównym ołtarzem katedry; skarby, jak mówi kronika, nieskończenie cenne:

- 13 kandelabrów z masywnego złota.
- Wiele kufrów na relikwie, z wprawionymi drogocennymi kamieniami.
- Kielichy, cyboria ze złota, cyzelowane pojemniki na oleje.
- Etole i ornaty tkane ze złotych nici.
- Klejnoty biskupie.
- Kufry z monetami, stanowiącymi fortunę prałata i jego świty.
- Wielki bizantyjski krzyż ze złota, zaopatrzony w podstawie w żelazny szpic, pozwalający umocować go w ziemi.

Ten krucyfiks, jak mówiono, został przywieziony do Ameryki przez Pizarra i Almagra; niesiony był przed armią i zdobywcy sypiali pod jego boską opieką.

W całej tej eskapadzie był jeden niepokojący szczegół: przewodnikiem był pewien awanturnik, mulat, magik i znany usuwacz ciąż, z powodu rudych włosów zwany „Colorado".

Uciekinierzy minęli San Pedro i zbliżali się do miasteczka Ambargasta, kiedy przybył posłaniec, by ich powiadomić, że wbrew wszelkim oczekiwaniom oddziały José Paza zostały rozbite przez gauczos Quirogi.

Rozsądnie byłoby zejść z drogi prowadzącej w głąb kraju przez niemal niedostępne doliny, kończące się niemożliwymi do przebycia Kordylierami, których sześciotysięczne szczyty majaczyły już na horyzoncie.

Biskup zebrał radę, ale przychylił się do opinii przewodnika, który twierdził, że wiadomość o zwycięstwie Paza stanowiła pułapkę, mającą na celu likwidację ich przewagi czasowej; Colorado zapewnił też, że zna drogę prowadzącą na wybrzeże Pacyfiku.

Don Balboa rozkazał więc marsz w kierunku zachodnim, na Salinas Grandes, nie pozwalając na poznanie swych ostatecznych decyzji.

Niektórzy podejrzewali, że oszalał albo oddawał się czarnoksięskim praktykom.

Po wielu dniach nieprzerwanego marszu, w czasie którego biskup nie zezwalał na żadne przerwy z wyjątkiem czasu potrzebnego na odprawianie rytualnych mszy, karawana doszła do gór Catamarca, w miejsce o kształcie malowniczego cyrku, gdzie niegdyś Indianie wznieśli świątynię Boga-Słońca.

W głębi cyrku zbocze zostało zagospodarowane na gigantyczne kamienne schody, pozwalające dostać się na platformę, gdzie wznosiły się ruiny piramid.

I tu można się gubić w domysłach na temat losów uciekinierów, których nikt więcej nie widział. Podróżnicy opowiadali, że niedługo potem widzieli trzynaście kandelabrów, rozmieszczonych w pewnym porządku w cyrku, krucyfiks wbity pośrodku w ziemię, a na nim zatkniętą ludzką głowę, jednak relacja jest wątpliwa.

Podejrzewa się, że Balboa wraz z wiernymi sobie został świadomie doprowadzony przez Colorada do tego miejsca, zamordowany przez Indian, a skarby katedry w Kordobie schowane w podziemiach góry, pod świątynią niedaleko miasteczka Huyamaca.

Skarby, tak w postaci przedmiotów kultowych, jak i szlachetnych kamieni oraz złotych monet, przedstawiały wartość prawie miliarda franków.

Przybliżone współrzędne świątyni: 29° szerokości geograficznej południowej i 69° długości geograficznej zachodniej.

Tajemne siły i szaleństwo tkwią w nadzwyczajnej przygodzie ze skarbem z Cerrity Colorado, w której z kasetkami wypełnionymi klejnotami i żywym, podniecającym złotem miesza się pewna piękna, nienasycona dziewczyna.

O pięknej dziewczynie wiadomo za pośrednictwem wielkiego poety Maurice'a Magre'a, mimo to można by było całą tę historię poddać w wątpliwość, gdyby nie stała się przedmiotem dochodzenia policyjnego w Maracaibo.

Ponadto pewien przyjaciel Klubu Poszukiwaczy Skarbów, Jean Legrand, podróżując po Ameryce Środkowej zebrał relacje, pokrywające się dość dokładnie z historią poety, tyle że heroina zmieniła imię: Maurice Magre nazywał ją Wandą, ale w Wenezueli pamiętano ją pod bardziej prawdopodobnym imieniem Rosita.

„Dozwolone od lat 16" – taki tytuł mogłaby nosić ta historia związana ze skarbem, w której obok pięknej, zawsze nagiej dziewczyny znajdujemy pewnego księdza, niewątpliwie pozostającego pod diabelskim urokiem.

Ale przejdźmy do faktów!

Na północ od Maracaibo (Wenezuela), kilka mil od przylądka San Roman znajduje się maleńka wysepka Aruba, prawie niedostępna, z wyjątkiem wąskiego i bardzo niebezpiecznego przesmyku, dającego dostęp do zatoki obramowanej wzgórzami o spadzistych zboczach z czerwonego kamienia: Cerrita Colorado.

W tym właśnie wzgórzu były ksiądz, który stał się piratem, Domingo Mugnoz, krył swój majątek i namiętne uczucia miłosne.

Mugnoz zapoczątkował swe awanturnicze życie jako ksiądz z Quito, w dzisiejszym Ekwadorze, wtedy pozostającym pod panowaniem Hiszpanów.

Był księdzem pełnym żarliwości, który bez wątpienia poświęciłby życie pełnieniu swej misji, gdyby pomiędzy jego owieczkami nie znalazła się pewna śliczna señora, Rosita. Jej mężem było jakieś niegodne polecenia indywiduum, którego najoczywistszym zajęciem było picie bez umiaru.

Gorąca, frywolna, młoda kobieta nie krępowała się zupełnie zdradzać męża, ale będąc praktykującą katoliczką, nie zapominała nigdy po każdym wybryku wyspowiadać się u padre Mugnoza, który zgodnie z nauczaniem swego kościoła, ale przy znacznym zagrożeniu własnego sumienia udzielał jej rozgrzeszenia.

Rosita była piękna, a jej niewyobrażalne blond włosy sięgały niemal do stóp, co stanowiło nie najmniejszy wdzięk w oczach jej kochanków.

Z początku spowiednik piorunował swą penitentkę zżeraną przez demona ciała, później stopniowo jego gniew zabarwił się uczuciami bardziej niepokojącymi, jeszcze utrzymywanymi w sekrecie.

Pewnego dnia po kłótni Rosita uciekła z domu zupełnie naga i biegła ulicami miasta, kryjąc mniej lub bardziej swe zachwycające wdzięki w kaskadzie złotych włosów.

Mąż gonił ją z nożem zataczając się, ale młodej kobiecie udało się znaleźć schronienie na plebanii, gdzie Domingo Mugnoz przyjął ją zażenowany i zachwycony.

Ksiądz nigdy jeszcze nie widział białej kobiety całkiem nagiej i ta, której pierś i delikatnie rzeźbione nogi przeświecały przez włosy, wzbudziła w nim pożądanie.

– Rosita – powiedział – powinnaś się ubrać i powrócić do domu.

Scena ta miała miejsce w 1820 roku, kiedy krajem wstrząsały niepokoje polityczne, i nie wywołała większego skandalu, Hiszpanie bowiem mieli dużo do roboty z uśmierzaniem buntów wybuchających we wszystkich miastach gubernatorstwa Quito.

Domingo Mugnoz podjął się mediacji pomiędzy grzesznicą i jej mężem i wszystko powróciło do względnego porządku.

Niestety! W jakiś czas później diabeł wywołał nowy incydent – tym razem był to dramat – i wystawił księdza na próbę.

Pewnej nocy Rosita znów zapukała do drzwi plebanii. Domingo otworzył i piękna wtargnęła do przedsionka: i tym razem była naga i drżąca z emocji.

– Ojcze – krzyczała – zabiłam męża! Musiałam się bronić!

Ruch niepodległościowy był właśnie w punkcie decydującym: Ekwador i Nowa Grenada stworzyły federację i Hiszpanie, nękani przez rewolucjonistów, bili się na wszystkich frontach.

Mieszkańcy miast pędzili do portów, by uciec do Hiszpanii, i w całej prowincji panowała anarchia.

Także Mugnoz ze spakowanymi bagażami oczekiwał na właściwą chwilę, by umknąć przed gniewem powstańców.

Okazji takiej dostarczyła mu piękna dziewczyna z pomocą szatana!

– Dobrze – powiedział. – Wyjeżdżamy. Quito stało się niebezpieczne i dla ciebie, i dla mnie!

W nocy wraz z Rositą, która odmówiła ubrania się, wydostali się na przedmieścia, przemykając się uliczkami i unikając potyczek wybuchających między republikanami i lojalnymi Hiszpanami.

Być może, nawet Mugnoz musiał posłużyć się bronią, ponieważ drogi były bardzo niebezpieczne i pełne niepewnego elementu, nie wahającego się grabić uciekających i zabijać bez wyboru.

Dla tych, którzy mogliby ich widzieć, widok ubranego na czarno księdza i kobiety białej i zupełnie nagiej z rozpuszczonymi włosami musiał być bardzo interesujący.

Kroniki milczą na temat ich losów w ciągu następnych dwóch lat. Później odnajdujemy ich na południu Morza Antylskiego, u wybrzeży Wenezueli, ale jakiś zasadniczy zwrot musiał rzucić ich na drogę grzechu, a dokładniej na drogi zakazane przez prawo wszystkich kontynentów.

Mugnoz stał się piratem, szefem bandy, a blond Rosita, niewątpliwie naznaczona jakimś nieuniknionym przeznaczeniem, stała się jego wspólniczką; wciąż piękna i jasnowłosa i nie bardziej ubrana niż w czasie ucieczki z Quito.

Ci, którzy mieli okazję ją widzieć w ciągu następnych lat, są niejednomyślni w twierdzeniach, czy jedynym jej ubraniem była krótka sukienka, szeroko rozchylona na piersi, uwydatniająca biodra i cudowne nogi i pozwalająca domyślać się, o ile nie oglądać, innych wdzięków, które raczej powinny pozostać najbardziej intymnymi.

Często zresztą pozostawała całkowicie naga, z ramionami obwieszonymi bransoletami, z obręczami na kostkach nóg i lśniącymi pierścieniami podkreślającymi urodę jej stóp.

Mugnoz przemierzał morza na swym dwumasztowcu i dowodził dwudziestką banitów, nawykłych do najokropniejszych zajęć. Od czasu do czasu plądrowali jakiś statek handlowy, rozgrabiali jego cenny ładunek, masakrowali załogę i próbowali zatrzeć ślady przestępstwa podpalając swą zdobycz ogołoconą ze wszystkiego, co miało wartość.

Kiedy indziej, kiedy korsarstwo szło źle, pustoszyli wybrzeża Wenezueli. Niezależnie jednak od rodzaju rozbójnictwa, zawsze łupy przywożone były do kryjówki, znajdującej się w jednej z grot Cerrity Colorado.

Tam, całkowicie bezpieczni, nie obawiając się żadnego ataku od strony lądu ani od trudno dostępnego przesmyka osłoniętego górami, rozpalali wielkie ognisko, by świętować udane przedsięwzięcia i oddawać się orgiom, z których relacji dostarczył czarny służący Mugnoza, Congo, pojmany nieco później. Dostarczył on jedynych wskazówek na temat piratów z Czerwonego Wzgórza.

Mugnoz, prawdopodobnie na skutek resztek wiary, ale bardziej chyba z opętania szaleństwem, urządził w jednej z grot coś w rodzaju kaplicy, gdzie wokół kamiennego ołtarza rozmieścił różne przedmioty kultowe, zagrabione w kościołach.

Orgie bandytów rozpoczynały się niezmiennie od wielkiego bankietu, na którym nie brakowało ani znakomitego mięsiwa, ani rzadkich win, ani luksusowych naczyń.

Rosita zajmowała honorowe miejsce, całkowicie naga i przystrojona połyskliwymi klejnotami. Siedząc w fotelu z rzeźbionego drewna, odbierała hołdy piratów i najrozmaitsze dary, które każdy zwykle poczuwał się do obowiązku jej ofiarować albo z dobrej woli, albo z chęci przypodobania się szefowi.

Mugnoz zresztą pierwszy składał u stóp swej kochanki najbardziej niespotykane klejnoty i nie ma żadnej wątpliwości, że przepełniony był dziwną, nienormalną, ale na pewno szczerą miłością do niej, miłością, która kierowała całym jego postępowaniem.

Po skończonym bankiecie współbiesiadnicy udawali się do kaplicy, z wyjątkiem tych, którzy – jak zdarzało się od czasu do czasu – pozostawali przygwożdżeni do ziemi ze sztyletem w piersi, bijatyki bowiem były zwykłym i bardzo cenionym widowiskiem.

W kaplicy Mugnoz celebrował, ale nie wiadomo dokładnie, jaki rodzaj mszy, po łacinie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa – do Szatana, o ile obiektem kultu nie stawała się Rosita leżąca na ołtarzu i obrazująca równocześnie boskość i hostię.

Mężczyźni adorowali ją na kolanach, a były ksiądz w szczytowym nasileniu histerii i świętokradztwa oddawał ją podnieconym bydlakom.

Tak w każdym razie opowiadał Congo i nie wydaje się, by miał powody kłamać.

Czy Rosicie odpowiadały te orgie? Czy była wszechmocną władczynią czy adorowaną niewolnicą? Z pewnością obydwiema naraz.

Marynarze opowiadali, że widywali ją na pirackim brygu, na wpół ubraną, przywiązaną do głównego masztu żelaznym łańcuchem, przymocowanym do szerokiej obręczy obejmującej kostkę jej nogi.

Była wciąż piękna, złote włosy spadały kaskadą na plecy, ale wzrok miała pusty i jakby pozbawiony świadomości. Być może ogarnęło ją szaleństwo?

Mugnoz z kolei wkrótce popadł w dziką mizantropię. Porzucił piractwo i odseparował się wraz ze swą współtowarzyszką w samotni Czerwonego Wzgórza.

W tym właśnie momencie, kiedy banda rozproszyła się, Congo, pozostawiony sam sobie i roztrwoniwszy swoją część łupu, został schwytany przez policję federalną i wtrącony do więzienia.

Jego zeznania pozwoliły na rekonstrukcję ostatnich rozdziałów tego miłosno-bandyckiego romansu i upewnienie się co do istnienia ukrytego skarbu.

– Kiedy pan wyruszał na morze – opowiadał więzień – moim zadaniem było opiekować się panią i nie opuszczać jej.

Gdyby pan nie wrócił z jakiejś wyprawy, miałem odkopać skarby i oddać je pani, ale tylko ona wiedziała, gdzie znajdują się skrytki.

Kiedy Congo widział Rositę po raz ostatni, stała nieruchoma jak posąg u wejścia do kryjówki.

Naga, ale od stóp do głów obwieszona obficie złotą biżuterią i drogocennymi kamieniami, wyglądała jak pogańskie bóstwo, skamieniałe w chwili adoracji.

Jej dziwne, szmaragdowe oczy, otwarte szeroko, wpatrywały się jak w ekstazie w horyzont między niebem i morzem.

Złota biżuteria, spływająca kaskadą z długich włosów tej jasnoskórej statui, żarzyła się jak roztopiony do białości metal.

Congo używał nieprecyzyjnych określeń dla wyrażenia swego wzburzenia, zdumienia i lęku, wzbudzonego tym nierzeczywistym obrazem, który prześladował go wciąż jeszcze w celi.

– To nie była żywa Rosita – powiedział – to był jej duch stojący przed jaskinią.

Władze policyjne Maracaibo na skutek tych zeznań otoczyły w 1826 roku cały masyw Aruby. W kryjówce nie odnaleziono nikogo, ale jeszcze ciepły popiół ogniska wskazywał na niedawną obecność ludzką.

Podziemny kościół był w nienaruszonym stanie, kwiaty przystrajały kamienny ołtarz otoczony srebrnymi kandelabrami i przedmiotami kultu, z których większość była ze złota.

Nie znaleziono jednak żadnych śladów Mugnoza ani Rosity, jak również skarbów, długo poszukiwanych we wszystkich grotach i korytarzach wydrążonych we wnętrzu wzgórza.

Wszystkie łupy pochodzące z czterech lat korsarstwa i rozbójnictwa oraz klejnoty ofiarowane pięknej jasnowłosej niewolnicy mogą należeć do tego, kto potrafi je znaleźć.

Autochtoni zapewniali, że Mugnoz i Rosita widziani byli w lasach Paraguany, gdzie zmarli w obłędzie w końcu roku 1826, nie próbując nawet odzyskać swych skarbów z Cerrity Colorado.

SKARBY WOJENNE 1

ARMIA I PIĘĆSET TON ZŁOTA IDĄ NA DNO

Gdyby dobrze się zastanowić, to przyczyną lub racją istnienia wszystkich lub prawie wszystkich skarbów jest wojna: to ona stanowi motyw ukrywania, prowokuje zatopienia, to dla wojny gromadzi się skarby.

Wymogom tym odpowiadają: skarby templariuszy, skarby religijne, rewolucyjne, należące do piratów... słowem, na pierwszy rzut oka trudno dostrzec, który z ważnych skarbów stanowiłby wyjątek od tej reguły!

Do „skarbów wojennych" w sposób arbitralny zaliczamy także te, które zostały zebrane w czasie niedawnych konfliktów, a także te, których oczywistym przeznaczeniem było wspieranie przyszłych konfliktów.

W tym sensie, wracając w przeszłość, najpoważniejszym schowanym zapasem – znanym, ale otoczonym ścisłą tajemnicą – jest skarb Inków, którego cząstka, jak można sądzić, posłużyła do rozjątrzenia zamieszek w Peru w 1915 roku.

Czy przypadkiem, kiedy nadejdą właściwe czasy, złoto Atahualpy nie wyłoni się z krypt Kordylierów, by uzbroić zbuntowanych autochtonów? Takie przypuszczenie nie jest całkiem pozbawione sensu.

To w środku wojny, w czasie pełnego odwrotu, zdaniem Rosjan, został zakopany w Kownie na Litwie skarb Wielkiej Armii.

Paul Krueger, prezydent Republiki Południowej Afryki, miał jakoby ukryć w roku 1900 pomiędzy Pretorią i Petersburgiem piętnaście milionów w złocie. Plan kryjówki znalazł się w rękach synów generała de Wetta, bohatera wojny burskiej, zmarłego w 1922 roku.

Pięć milionów franków w sztabach srebra zostało zakopanych w pobliżu Temosachic (Stan Chihuahua) w 1920 roku przez słynnego Pancha Villę.

W 1917 roku w czasie Wielkiej Wojny rosyjski pułkownik Ikaturow ukrył w Armenii w pobliżu granicy perskiej skarb o wartości ocenianej na osiemdziesiąt milionów w złocie tamtej epoki.

Skarbu tego poszukiwała bezskutecznie ekspedycja angielska w 1933 roku.

W 1939 roku wraz z synem komendanta Czerniawskiego pan de Gaalon z Cannes przygotowywał kolejną wyprawę poszukiwawczą, ale wojna udaremniła ten projekt.

Od pana de Gaalon uzyskaliśmy następujące szczegóły, dotyczące spisu zawartości depozytu:

„Waza z masywnego złota, przypisywana epoce Salomona. Posiada osiem ścian, każda ozdobiona wielkim osiemdziesięciokaratowym diamentem. W dolnej części na każdej ze ścianek wisi szmaragd od 70 do 80 karatów. Jednego brakuje.

70 kilogramów złota (w skrzyni).

2 kilogramy platyny.

50 tysięcy funtów szterlingów.

2 miliony funtów tureckich.

Duża torebka ze szlachetnymi kamieniami: diamentami, rubinami, szafirami i szmaragdami.

Kosztowności te, pochodzące z grabieży klasztorów, dokonanych przez Turków, zostały odzyskane przez oddział białych kozaków pod dowództwem pułkownika Ikaturowa.

Kozacy, otoczeni przez oddziały tureckie, zostali zdziesiątkowani, pułkownik zginął, a komendant Czerniawski, by ocalić odzyskany skarb, zapakował go w dwie paczki, schowane następnie do dwóch żołnierskich plecaków, które ukrył w górach".

Ocalony w czasie rewolucji skarb carów Rosji, otoczony niemal całkowitą tajemnicą, wielokrotnie kusił rządy radzieckie.

13 listopada 1919 roku rosyjski admirał Aleksiej Wasiliewicz Kołczak uszedł z Omska na Syberię na czele ludności ogarniętej paniką. Był to prawdziwy exodus miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy biedaków, których rewolucyjne represje przerażały bardziej niż szaleńcza ucieczka w środku zimy przez trzy tysiące kilometrów stepów i tundry.

Poza cywilami, w skład karawany wchodziło także pięćset tysięcy żołnierzy – wycofującej się armii admirała – mających misję eskortowania pociągu pancernego, składającego się z dwudziestu ośmiu wagonów, wiozących pięćset tysięcy ton złota z carskiego skarbca.

Było fizyczną niemożliwością przetrzymanie przez uciekinierów czterech, pięciu miesięcy, jakie mógł potrwać exodus, bez korzystania z ton żywności przewożonej w pociągu.

Jednak admirał odmówił siedmiuset tysiącom towarzyszących mu cywilów utrzymania, gwarantując wyżywienie jedynie żołnierzom.

Wieści o masakrach dokonywanych w miastach na zachodzie, zajętych przez bolszewików, do tego stopnia przerażały ludność, że wolała wybrać śmiertelną ucieczkę od jatek wojny domowej.

Zima na przełomie roku 1919/1920 była wyjątkowo surowa i temperatura na Syberii często spadała poniżej – 60° C. Na każdym etapie setki, a potem tysiące uciekinierów marło z głodu, wycieńczenia i zimna i żałosna gromada rozciągała się na długości ponad stu kilometrów, znacząc swe przejście niewielkimi wzgórkami stosów trupów, przy których wilki wydzierały sobie nawzajem porcje jadła.

Trasa ucieczki wiodła szlakiem kolei transsyberyjskiej, ale pociąg nie przebywał więcej niż średnio trzydzieści kilometrów na dzień, ponieważ w wielu miejscach szyny były rozmontowywane przez miejscowych rewolucjonistów, którzy nie odważyli się jednak atakować całej armii.

Po trzech miesiącach niewysłowionej kalwarii i nieludzkich cierpień prawie wszyscy cywile wyginęli i nawet nażarte wilki nie podążały już za żyjącymi. Wreszcie dwieście pięćdziesiąt tysięcy szkieletów, które miały jeszcze siłę iść, dotarło do jeziora Bajkał.

Milion nieszczęśników spało ostatnim snem w śniegach największego cmentarza na świecie.

Dla ocalałych dwustu pięćdziesięciu tysięcy Bajkał był ostatnim etapem przed osiągnięciem Ziemi Obiecanej: byle szczęśliwie go przebrnąć, a pozostawało tylko dotrzeć do przyjaznej granicy z Mandżurią i tam powinien zakończyć się ten niewyobrażalny koszmar.

Brzegi całego jeziora są urwiste i kolej transsyberyjska biegnie wzdłuż nich w kierunku południowym, zataczając pętlę od Irkucka do Ułan-Ude, co wydłuża trasę o sto pięćdziesiąt kilometrów.

Ponieważ w Irkucku tory zostały zniszczone, Kołczak zdecydował się przejechać jezioro saniami, co poza skróceniem drogi było normalną praktyką w czasie zimy, kiedy lód osiągał grubość od dwu do czterech metrów.

Pięćset ton złota zostało przeładowane i uciekinierzy wyruszyli w osiemdziesięciokilometrową drogę w poprzek jeziora.

Śnieg padał grubymi płatkami i przynosił wizje rozwiewające się w porywach wiatru. Zimno stawało się coraz bardziej przejmujące i w śnieżnej zadymce admirał posługiwał się busolą, by utrzymać właściwy kierunek. Pod ogromną pokrywą lodową – zjawisko znane, ale zawsze robiące ogromne wrażenie – słychać było ryk podwodnej burzy, jakby próbującej rozerwać lodowe sklepienie.

Nadmiernie obciążone sanie poruszały się wolno i cały czas trzeba było przed nimi oczyszczać drogę albo przekopywać się przez zaspy śniegu, opadającego cały czas na kształt zasłony. Nigdy dotąd karawana nie musiała walczyć z tyloma szalejącymi żywiołami, atakującymi z diabelską furią.

Oślepione, z zamarzniętymi powiekami i nosami, przemarznięte aż do szpiku kości, półtrupy posuwały się już tylko w jakimś wszechogarniającym odrętwieniu bliskim śmierci. Aż wreszcie stopniowo nieruchomiejąca kolumna zgromadziła się wokół skamieniałej czołówki i we wszystkich w niesamowitej ciszy zatrzymał się rytm życia, tak jakby na znak jakiegoś czarodzieja zatrzymało się dwieście pięćdziesiąt tysięcy wahadeł w dwustu pięćdziesięciu tysiącach zegarów.

Armia Kołczaka, zgromadzona wokół skarbu, zamieniła się w obraz, w dantejską, znieruchomiałą dioramę, którą musiało oglądać bezlitosne oko Opatrzności.

Nie rozległ się z pewnością żaden krzyk, nie dało się usłyszeć nawet jednego oddechu... jak mechanizm u kresu wytrzymałości, dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi umarło z zimna i wstąpiło łagodnie z nicości do nieba.

Wiatr sporządził im wspólny sarkofag pod górą śniegu, a na placu boju pozostała zima, wyładowująca swą zwycięską wściekłość na lodowcu.

Gdzieś w początkach maja Bajkał ogarnął niepokój topnienia lodów i armia admirała Kołczaka w całości, jak jeden blok, na stojąco, przyspawana do kry lodowej na podobieństwo ołowianych żołnierzyków do podstawki, zapadła się w głębiny wraz ze swym złotym ładunkiem.

Tyle tradycja niby historyczna, ale z pewnością w wielu punktach niezgodna z prawdą.

Przede wszystkim byli tacy, którzy ocaleli z tej przerażającej tragedii. Na pewno niewielu, ale przynajmniej sam admirał, rozstrzelany w 1921 roku przez bolszewików, a także pewien kapitan, Sława Bogdanow, w 1938 roku przebywający w Stanach Zjednoczonych.

Otóż Bogdanow opowiadał zdumiewającą i być może wiarygodną historię:

„Carski skarb nie spoczywa na dnie jeziora Bajkał.

Bez wiedzy admirała, który raczej udawał, że nic nie wie o całej aferze, zadecydowano jeszcze na długo przed Irkuckiem ukryć gdzieś na lądzie pięćset tysięcy kilogramów złota w sztabach, utrudniających marsz karawany.

I tak stawało się oczywiste, że szans dotarcia do Mandżurii prawie nie było. Po cóż więc taszczyć takie tony metalu, w oczywisty sposób nie mogącego dotrzeć do miejsca przeznaczenia? Z każdego punktu widzenia, najlepiej było skarb zakopać.

Zostałem obarczony kierowaniem całą operacją do spółki z niejakim Drankowiczem, innym oficerem. Skarb został ukryty w krypcie zrujnowanej kaplicy przez czterdziestu pięciu żołnierzy, których potem zaprowadziliśmy do jakiegoś jaru i załatwiliśmy wraz z Drankowiczem za pomocą karabinu maszynowego. Naprawdę nie można było pozostawić na łasce czterdziestu pięciu języków niezwykłej tajemnicy skarbu carów!

W drodze powrotnej zorientowałem się, że Drankowicz miał za zadanie usunięcie i mnie. Byłem szybszy, strzeliłem pierwszy i zabiłem go. Zniknięcie wszystkich tych ludzi nie zostało zauważone – każdego dnia marło ich więcej niż setka, a więc więcej lub mniej o czterdziestu sześciu cóż mogło mieć za znaczenie!

Pozostałem jedyną osobą znającą sekret skarbu".

W 1959 roku Sława Bogdanow na mocy amnestii mógł powrócić do Rosji i w Magnitogorsku natknął się na amerykańskiego inżyniera, poznanego w Kalifornii.

Zaproponował mu ucieczkę ze Związku Radzieckiego z taką ilością złota, jaką uda im się zabrać naraz z pięciuset ton zakopanych w 1920 roku.

W towarzystwie młodej dziewczyny o imieniu Tania udali się w drogę dżipem i odnaleźli nietknięty skarb w krypcie znajdującej się trzy kilometry od kolei transsyberyjskiej, gdzieś pomiędzy Tomskiem i Jenisiejskiem. Ze stosu sztab równo ułożonych na długości sześciu i szerokości trzech metrów zabrali sto pięćdziesiąt kilogramów.

„Jest tam tego stos gruby na dwa i pół metra" – uściślił Bogdanow.

Próbowali następnie ulotnić się z Rosji przez Gruzję, sforsowali dżipem graniczne bariery i Bogdanow został zabity serią z karabinu maszynowego. Amerykaninowi i Tani udało się uciec z pustymi rękami, ale ocalili życie, pozostawiając samochód i złoto żołnierzom z posterunku granicznego.

Tak więc Amerykanin o nieznanym nazwisku, kryjący się pod pseudonimem John Smith, byłby teraz oprócz Tani jedynym człowiekiem znającym sekret skarbu.

Pozostaje tylko upewnić się, czy ostatnia część tej historii, dość nieprawdopodobna, nie została całkowicie zmyślona, być może tak jak zbyt tajemniczy John Smith, i czy pięćset ton złota nie zatonęło jednak, co jest najbardziej prawdopodobne, w przezroczystych, lecz lodowatych wodach jeziora Bajkał, na głębokości co najmniej stu metrów...

Jeszcze jednym skarbem o wielotonowej zawartości złota, poszukiwanym przez setki tysięcy osób, a wśród nich przez francuskiego ministra Jules'a Mocha, a także przez Klub Poszukiwaczy Skarbów, jest skarb hiszpańskich republikanów, spoczywający w piaskach plaży gdzieś w okolicach Saint-Cyprien (Wschodnie Pireneje).

Był to duży, a nawet bardzo duży skarb, przeznaczony pierwotnie na utrzymanie komunistycznej partyzantki, o którego istnieniu i miejscu ukrycia wiedziało tylko osiem osób.

Potem wybuchła wojna 1939–1945. Wielu posiadaczy tajemnicy zginęło, a ci, którzy powrócili, nie potrafili nigdy zlokalizować kryjówki.

Można by sądzić, że to niemożliwe.

W tym miejscu ląd to począwszy od plaży wyrwany morzu piasek, porośnięty wątłą roślinnością, gdzie drzewa i zagłębienia stanowią rzadkość.

Wrogość przyrody potęgują dwukrotne w roku wysokie przypływy i powodzie, niszczące okoliczne wioski i wygładzające brzeg morza. Zrozumiałe więc, że powracający w 1946 roku na miejsce ukrycia skrytki ze złotem i klejnotami Hiszpanie uznali swą bezsilność w poszukiwaniu punktów orientacyjnych!

Wszystko się zmieniło! Tam gdzie stały baraki i rosły drzewa, urządzono tereny sportowe, pamiętające średniowiecze stare domy pomagające w lokalizacji ustąpiły miejsca nowoczesnym willom, tam gdzie był ogród, teraz powstał plac.

Majątki osobiste Hiszpanów zaginęły wraz ze skarbem ich stronnictwa politycznego.

Czyżby na zawsze? Bardzo prawdopodobne, ponieważ złoto złożono na głębokości około dwóch metrów, ale może się też zdarzyć, że pewnego dnia wykonując prace ziemne pod nowe fundamenty robotnicy wpadną na najbardziej niesłychany skarb, nigdy nie odnaleziony w naszym stuleciu.

W paryskich piwnicach tkwią setki, a nawet tysiące skarbów wojennych, porzuconych w 1940 roku przez Żydów przed wywiezieniem do obozów śmierci lub w 1945 roku przez kolaborantów przed ucieczką bez możliwości powrotu.

W Saint-Chéron (Seine-et-Oise) w willi przy drodze do Dourdąn policjanci Massuy i Bassompierre zakopali 15 sierpnia 1944 roku skarb obliczany na dwieście milionów franków.

Kasetka ze złotymi ludwikami i dolarami, należąca do polityka Marcela Déata, spoczywa na dwudziestu metrach głębokości w zatoce Eze.

Cały ten okres niespokojny od 1940 do 1945 roku był niesłychanie płodny w skarby ukryte i stracone, szczególnie w Europie Zachodniej.

Samolot junkers 81, przewożący sto sześćdziesiąt sześć milionów franków w złocie, spadł na lodowiec na północ od Saint-Moritz i nigdy nie został odnaleziony.

Pewnego dnia lodowce w dolinie odsłonią cenny depozyt ku wielkiemu zaskoczeniu odkrywców.

W górach Ora w Adydze (Włochy) komendant niemieckiej wycofującej się kolumny wojska, zaskoczony przez amerykańskie lotnictwo, ukrył przewożony skarb: pięć metalowych kanistrów, z których każdy zawierał „kwintal złota".

Tyle że kryjówki broni pas granatów, rozmieszczonych wokół każdego pojemnika.

Istnienie skarbu, zamkniętego w jakiejś zaczopowanej dziurze, ujawnił niemiecki oficer przed śmiercią pewnemu więźniowi dzielącemu z nim celę.

„Przed śmiercią" – to zwrot często wracający w opowiadanych przez nas historiach!

To prawda, ale trzeba się zgodzić, że jak długo człowiekowi pozostaje nadzieja zawładnięcia skarbem, jeśli tylko ma najmniejszą szansę przeżycia, tak długo zaciekle milczy.

Inny więzień zakładu karnego we Florencji opowiadał, że przed śmiercią z rąk antyfaszystów minister Buffarino Guida zwierzył mu się z zatopienia na głębokości czterdziestu metrów zasobów swego ministra w pobliżu skał Calafurii.

Z oficjalnym skarbem Mussoliniego, zwanym skarbem Dongo, nie wiąże się żadna tajemnica. Zagarnęli go partyzanci skrajnej lewicy, co zostało udowodnione w czasie procesu, o którym pisano, że stał się ponurą maskaradą.

W jeziorze Como w Dongo nie pozostało raczej nic wartościowego. Poglądu tego zdawał się nie podzielać kanclerz niemiecki Adenauer, jeśli wierzyć logice, także poszukiwacz skarbów. Rzeczywiście, Adenauer dziwnym trafem odpoczywał zwykle w miejscach zajmujących wysoką pozycję wśród miejsc znanych z przygód związanych ze skarbami: w zamku Saint-Martin, w Vence (Alpy nadmorskie), gdzie właściciele poszukiwali skarbu templariuszy, i w pobliżu jeziora Como, gdzie spoczywają kufry wypchane włoskim złotem.

Jeśli na którejś z wysp Archipelagu Markizów naprawdę spoczywa skarb z U-435, to stanowić on może temat dramatu, w którym heroizm rywalizuje z miłością.

Ale zobowiązawszy się raz na zawsze do niepodważania autentyczności pięknych opowieści o skarbach, przedstawimy historię okrętu podwodnego U-435 w takiej postaci, w jakiej przekazał ją niemiecki radiotelegrafista Wolfang.

W maju 1943 roku Max Stadler, Szwajcar pracujący w Paryżu na rzecz okupanta, nawiązał przyjaźń z pewnym Niemcem. Po zakończeniu wojny powrócił do domu, do Zurichu.

W 1947 roku zaskoczony ujrzał Wolfanga, który poprosił o udzielenie mu schronienia.

W podzięce za otrzymaną gościnność i czując się zagrożonym okrutną chorobą, były radiotelegrafista powierzył przyjacielowi sekret skarbu ukrytego na jednej z wysp Archipelagu Markizów na Pacyfiku.

„W 1945 roku – mówił – należałem do grupy Niemców, którzy na pokładzie okrętu podwodnego U-435 opuszczali port w Hamburgu z zamiarem udania się do Japonii.

Komendantem był kapitan Helmut, zabieraliśmy także kilku pasażerów cywilnych, w tym panią Helmut i cztery inne kobiety. W celu zgromadzenia skarbu wojennego i ocalenia cząstki dziedzictwa narodowego zostały dostarczone na pokład z wielką ostrożnością kosztowności, złoto i trzy obrazy Van Dycka, pochodzące z muzeum w Bremie.

Wszystko znajdowało się w trzech skrzyniach wartych pół miliarda.

Okręt podwodny płynął w kierunku Argentyny, minął przylądek Horn i wypłynął na Pacyfik.

Pewnego razu na okręcie wybuchła awantura, pani Helmut bowiem w czasie sprzeczki wyznała mężowi, że jest w ciąży, co nie mogło być dziełem komendanta, od wielu miesięcy przebywającego na froncie.

W końcu powiedziała mu, że to ja jestem jej kochankiem. Niespodziewana kapitulacja Japonii pozwoliła na uniknięcie miłosnego dramatu; mnie ocaliła, a kapitana postawiła w straszliwie kłopotliwej sytuacji.

U-435 kontynuował drogę w kierunku północno-wschodnim, aż Helmut, patriota i przekonany hitlerowiec, zadecydował o jego zatopieniu.

Znajdowaliśmy się właśnie w Archipelagu Markizów i tam kapitan okazał równocześnie swą wielkoduszność i bohaterstwo marynarza.

Wysadził na ląd tych wszystkich, którzy wybrali życie, a sam z kilkoma wiernymi hitlerowcami zatopił się wraz z okrętem.

Przedtem jednak miała miejsce dramatyczna, wyjątkowa w swym natężeniu, zdumiewającym charakterze i złożoności uczuć scena.

Helmut po dojrzałym przemyśleniu i rozważeniu swej determinacji wezwał mnie do pomieszczeń oficerskich i tam bez świadków wygłosił niezwykłą przemowę: – Wolfang, jesteś łajdakiem i powinienem ci wpakować kulę w łeb. Jestem jednak żołnierzem Führera oraz mężem kobiety, którą wciąż kocham. Jako komendant zatopię się wraz z okrętem. Jako mąż przebaczam Marcie i chciałbym, aby ta niewinna istota, która przyjdzie na świat, miała jakieś życiowe szanse.

Nie zabiję cię więc. Musisz przeżyć, schować skarb i zwrócić, jeśli nadarzy się okazja, rządowi niemieckiemu. W skład skarbu wchodzi kwota dwóch milionów reichsmarek należąca do mnie. Możesz ją podjąć, by zaspokoić potrzeby mającego się narodzić dziecka.

Swoją zbrodnię możesz więc odkupić zachowując się jak dobry Niemiec i dobry ojciec. Żądam, byś przysiągł, że tak postąpisz.

Przysiągłem, prosiłem Helmuta o wybaczenie i zszedłem na ląd wraz z Martą, skarbem i większością załogi.

W tajemnicy przed wszystkimi zakopałem skarb w miejscu bardzo łatwym do odnalezienia, a potem jakoś musieliśmy sobie radzić".

Wolfang przekazał Maksowi Stadlerowi dokładne dane położenia skarbu i kilka dni później zmarł w szpitalu w Zurichu.

Dalszy ciąg ocalonych z przygody U-435 był, jak się wydaje, następujący: przez kilka miesięcy żyli wśród miejscowej ludności na wyspie, pani Helmut urodziła córeczkę.

Wkrótce matka zmarła. Niemcy zostali wzięci do niewoli przez Francuzów, a następnie repatriowani, ale dziewczynka pozostała pod opieką jednej z kobiet z wyspy Fatu-Hiva (Wyspa Magdaleny).

Wolfang wyjawiając swój sekret nalegał równocześnie, by przyjaciel podjął poszukiwania dziewczynki o imieniu Marta i w razie odnalezienia skarbu przejął dwa miliony reichsmarek.

9 kwietnia 1957 roku Szwajcar, w towarzystwie Amerykanina R. Mosesa i Francuza Edouarda Desenfantsa, wypłynął z Włoch na pokładzie jachtu „Yanutha" z zamiarem odszukania skarbu i Marty, jednak wszelki słuch o nich zaginął.

SKARBY WOJENNE 2

ZŁOTO NIEMIEC SPOCZYWA NA WYSOKOŚCIACH

Niezależnie od stopnia zainteresowania wiedzą i postępem społecznym, ludzie nie są w stanie bez obaw oczekiwać końca XX wieku.

Trudno więc się dziwić wielkiemu lękowi przed nadejściem roku 1000 w średniowieczu oraz niepokojowi, z jakim oczekiwany jest rok 2000 przez świat targany różnymi konfliktami politycznymi.

Już teraz bowiem przenikliwe umysły Azji zastanawiają się nad unicestwieniem Europy, by w nią przelać nadmiar żółtoskórej ludności.

Inne przenikliwe umysły w Europie i Ameryce przygotowują wielkie, wyniszczające rasowo wojny: zabić miliard żółtych, by żyć mogli biali!

Czy te miliony, miliardy ludzi przeznaczonych na ofiarę zdążą na czas ukryć swe zasoby? Czy zbiorowości całkowicie unicestwiane, rządy wykreślane rozmyślnie z historii potrafią w ostatnich minutach swego istnienia zgromadzić wojenne skarby, przeznaczone na finansowanie ewentualnego rewanżu?

W wielkiej klęsce roku 1945, kiedy Niemcy Adolfa Hitlera od kilku miesięcy przegrywały swoją błyskawiczną wojnę totalnej destrukcji i wycofywały się przed zjednoczonymi siłami rosyjsko-amerykańskimi i angielsko-francuskimi, hitlerowcy, dla których świat nie miał już żadnego znaczenia, przemyśliwali o złożeniu w bezpiecznym miejscu ostatniego potencjału swego kraju, ostatnich bogactw rządu.

Po raz pierwszy w historii Europy naród pokonany ukrywał swój skarb.

Dokładnie rzecz biorąc, chodziło o dwa skarby. Jeden całkowicie autentyczny, udowodniony, jak się zdaje, pilnowany: skarb Wielkiej Rzeszy; drugi bardziej domniemany: skarb Wilczego Szańca.

Już wielu ludzi oddało życie nie tylko za nierozważne poszukiwania, ale także za posiadanie jakichś minimalnych wiadomości o kryjówkach.

W przygodzie tej ściśle ze sobą łączą się polityka, śmierć, a nawet siły tajemne. Przypadek pozwolił odkryć zdumiewające związki łączące złoto z Polski i Austrii z ściśle tajnymi działaniami, szczególnie niebezpiecznymi dla tych, którzy chcieliby je poznać.

Armia amerykańska i FBI wciąż prowadzą w jeziorze Toplitz w Austrii poszukiwania skarbu częściowo już odnalezionego. W lipcu 1959 roku niemieccy technicy, wyposażeni w ultradźwiękowe sondy i podwodne kamery telewizyjne, zlokalizowali szesnaście skrzyń na dnie jeziora, na głębokości od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu metrów.

Większość została wydobyta i znaleziono w nich fałszywe funty szterlingi o wartości dziesięciu miliardów franków. Te fałszywe pieniądze, wyprodukowane po mistrzowsku w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen przez fałszerzy wyciągniętych z niemieckich więzień, stanowiły najwyższy atut w operacji „Bernhardt", mającej na celu zakłócenie gospodarki alianckiej.

Ale jak zaświadcza austriacki rezydent Albrecht Gaiswinkler, działający w tej okolicy w czasie wojny, prawdziwe sztaby spoczywały w jeziorze w sąsiedztwie fałszywych pieniędzy.

Wszelako prawdziwy skarb znajduje się gdzie indziej, zmienia miejsce i jest, jak się wydaje, pilnie strzeżony, by nikt z nie wtajemniczonych nie mógł nim zawładnąć.

Kryjówki zawierające walory o wartości około siedmiuset miliardów franków w złocie rozmieszczone są wokół miasteczka Ausse, położonego w odległości około sześćdziesięciu kilometrów w prostej linii od Salzburga, na południowo-zachodnim krańcu dwóch górskich jezior, długich na dziesięć kilometrów, przez które przepływa mała rzeczka wpadająca do Traun.

Ausse było ostatnią redutą niemieckiego oporu już po zakończeniu wojny i stanowiło najważniejszy punkt planu, którego projekt Hitler naszkicował pod koniec roku 1944. Na pięć miesięcy przed kapitulacją Niemiec Führer zwierzył się z niego swym najbliższym:

„Zostaniemy w końcu pokonani. Anglia odrzuca zawieszenie broni. Churchill poniesie największą odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń za rozbicie Zachodu. Następna wojna zniszczy w ciągu jednego dnia całą Europę. Gdyby nasz naród ocalał, będzie musiał ponieść płomień cywilizacji i zjednoczyć zachodnie elity. Chcę utworzyć fundusz odrodzenia przyszłej Wielkiej Rzeszy".

Słowa te powtarzali w 1947 roku w Hiszpanii francuscy kolaboranci skazani na śmierć, którzy słyszeli je od jakiejś wysokiej osobistości, powtarzającej je za samym Hitlerem.

W ten sposób na kilka dni przed klęską wszystkie jeszcze dostępne w Niemczech bogactwa zeszły się w Ausse jako „dobra narodowe".

W kwietniu 1945 roku doliczono się prawie tysiąca ciężarówek transportujących walory Banku Niemieckiego, oceniane na trzysta pięćdziesiąt miliardów franków, do czego należy dodać wielką ilość biżuterii, sztabek, szlachetnych kamieni, osobistych majątków nazistowskich dygnitarzy, skarby religijne, bogactwa pochodzące z żydowskich majątków we Włoszech, Jugosławii, Grecji i Czechosłowacji oraz bardzo cenne skarby artystyczne, takie jak płótna wielkich mistrzów, posągi, książki – wszystko warte jakieś siedemset miliardów franków.

Część została odzyskana: szczególnie z odkrytej w maju 1945 roku, ważnej skrytki w Alt Ausse, na dnie kopalni soli (sto miliardów); następnie znaleziono skarb Kaltenbrunnera, szefa tajnych służb, w ogrodzie willi Kerry w Ausse (miliard).

Skarb barona Helmuta von Himmla, adiutanta Martina Bormanna, odkryto w piwnicach pałacu arcybiskupów w Salzburgu w 1946 roku.

Znaleziska te można dorzucić do odkrycia dokonanego w ocementowanych piwnicach zamku Veldenstein niedaleko Norymbergi, gdzie marszałek Goering ukrył swój osobisty majątek: trzydzieści sześć świeczników z masywnego złota, wannę wykonaną ze srebra, obrazy wielkich malarzy, rzadkie koniaki itp.

W czasie procesu norymberskiego wartość wszystkich bogactw, ukrytych w regionie Ausse, oceniono na ponad dwieście milionów marek.

Pewnego dnia w 1946 roku były porucznik Franz Gottlich, który uczestniczył w operacji, ujawnił istnienie znacznego skarbu, zakopanego w okolicy Lend.

„Wiem, gdzie to jest, ponieważ tam byłem – dodał nieostrożnie. – Było tam trzydzieści skrzynek, które ukrywali rosyjscy jeńcy. Nie powiedzą jednak nic na ten temat z wiadomych powodów!"

Gottlich niedługo opowiadał o skarbie, ponieważ tajemniczo zniknął po kilku dniach.

Brat niepokojący się tym zniknięciem otrzymał tajemniczą radę, by nie kontynuował poszukiwań.

W tym samym roku dwóch poszukiwaczy skarbów, Helmut Mayr i Ludwig Pichler, posiadających dokładny plan kryjówek, wyruszyło w austriackie góry. Odnaleziono ich zamordowanych.

Serce, płuca i żołądek Mayra były wyrwane i upchane w kieszeniach jego ubrania, tak jakby zabójcy chcieli odzyskać i zniszczyć połknięty dokument. Tak przynajmniej sądzono.

W 1952 roku francuski profesor geografii Jean Le Sauce, którego rodzina mieszka w La Flèche, z pewnością znalazł skarb i został zamordowany.

W maju 1953 roku w górach Rifflekopf znaleziono jego zwłoki i osiem opróżnionych skrytek, co upoważnia do podobnej hipotezy.

W sierpniu 1952 roku dwaj kajakarze amatorzy wpadli na szczególny pomysł, będący najpewniej pretekstem, by popływać po jeziorze Toplitz. Jeden z nich, Gert Gerens, zabił się spadając w przepaść, co wydało się mocno podejrzane osobom prowadzącym śledztwo, tym bardziej że jego towarzysz, Hans Keller, były żołnierz SS, uczestniczący w operacji „Bernhardt", opuścił okolicę nie pozostawiając żadnego śladu.

Emmanuel Werba, urzędnik banku w Lend, próbował szczęścia ze skarbami z gór Gastein, gdzie znaleziono jego pozbawiony głowy korpus.

Nie odnaleziono żadnych śladów Josepha Matteisa, po którym pozostał tylko porzucony sprzęt kempingowy w górach Rifflekopf w tym samym strasznym roku 1952.

A co mogło oznaczać zachowanie fałszywych biologów, którzy w 1950 roku wyciągnęli dziesięć skrzyń z jeziora Toplitz po skrępowaniu strażnika leśnego, nie czyniąc mu żadnej krzywdy?

Te dziwne zbrodnie i wypadki jasno wskazują, że skarby z austriackich Alp są zaciekle strzeżone i znajdują się pod kontrolą tajemniczych sił.

Są to skarby ogromne, ponieważ przy jakimś podejrzanym Niemcu zatrzymanym przez Amerykanów znaleziono następujący spis, zaopatrzony przypisami i podpisany przez generała SS Froehlicha:

16 250 000 franków szwajcarskich,

299 018 300 w banknotach amerykańskich,

31 351 250 000 w sztabkach złota,

2 949 100 w diamentach,

93 450 000 w kolekcji znaczków i przedmiotów artystycznych,

5 425 000 000 w środkach odurzających.

Nie wiadomo, czy te miliony i miliardy są obliczone w markach, funtach, dolarach czy frankach.

Dziewiętnaście miliardów franków zostało zakopanych na górskim pastwisku w Blaa Alm przez Adolfa Eichmanna, skazanego na śmierć w Norymberdze i uwięzionego w 1960 roku w Izraelu.

Sądzi się, że w jeziorze Toplitz na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, gdzie jeszcze w 1945 roku istniała baza zajmująca się badaniami nad tajną bronią, zatopiono ponad dwadzieścia szczelnych skrzyń, zawierających poza fałszywymi, już odnalezionymi funtami szterlingami plany prototypów i kasetki z biżuterią, złotem oraz syntetycznymi diamentami.

Główne skrytki zostały rozmieszczone w górach, szczególnie w okolicy Gastein, Salzburga, Salzkammergut.

W 1945 roku pod kontrolą szefa SS Sawada zostały zakopane dwie ogromne walizy w stodole w Faistenau, małej miejscowości sąsiadującej z zamkiem Fuschi. Rzeźnia z wybetonowaną podłogą kryje do dziś skrytkę ze złotem, dewizami i klejnotami byłego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Czy tak rozproszone i strzeżone pięćset miliardów, należące do Wielkiej Rzeszy, sprosta wyzwaniu lat i poszukiwaczy?

Rząd federalny Niemiec i rząd Austrii zabiegają aktualnie o odzyskanie skarbów, za którymi węszą także tajne służby Francji, Anglii, Rosji i Izraela.

Zastanawiające jest bowiem, do kogo one właściwie należą.

Tyle na temat skarbu Wielkiej Rzeszy, pierwszego z wielkich skarbów niemieckich. Drugim jest skarb z Wilczego Szańca i on zaprowadzi nas w przygodę rozwijającą się nadzwyczajnymi skokami, pozwalając dostrzec szalone i niemal niewiarygodne objawienia.

W Polsce w dawnych Prusach Wschodnich nad rzeką Guber, biorącą swój początek w jeziorze Mamry, znajduje się nieduże miasto Kętrzyn, dawniej Rastenburg.

Przybliżona pozycja geograficzna: 54°5' szerokości geograficznej północnej i 19°1' długości zachodniej od południka Paryża.

W 1938 roku Adolf Hitler kazał tam wybudować fantastyczny podziemny schron, mający służyć także za kwaterę główną: Wolfschanze – „Wilczy Szaniec".

Schron, prawdziwe betonowe miasto, jest zagłębiony na dwadzieścia metrów w ziemię, chroniony przez osiemdziesiąt strażnic i stanowi zagmatwaną sieć z poutykanymi minami i wybuchającymi pułapkami.

Przez wiele lat region Kętrzyna był zamkniętą strefą i polskie władze bardzo dokładnie go kontrolowały.

W latach 1939–1944 Wilczy Szaniec był wojskowym Berchstesgaden Hitlera, tajnym miejscem wykluwania się i opracowywania planów ofensywy i taktyk społecznych, które miały być sprawdzone na narodach Europy.

Miejscowi, jak się przypuszcza, wiele wiedzą o Wolfschanze, ale milczą i zachowują w sekrecie rzeczy najdziwniejsze i bez wątpienia zupełnie nie udokumentowane.

Wiadomo jednak, że podziemne schrony były budowane przez dziesięć tysięcy robotników z organizacji Todt. Aby utrzymać w sekrecie tajniki bunkra, robotnicy ci zostali prawdopodobnie zlikwidowani zaraz po zakończeniu prac, a inżynierowie i architekci projektu wysłani do Niemiec zachodnich samolotem, który w tajemniczych okolicznościach eksplodował w powietrzu w kilka chwil po starcie.

Można zadawać sobie pytanie, do jakiego stopnia fantazja miesza się w tej opowieści z rzeczywistością.

Wiadomo jednak, że istnieje naprawdę jakaś „tajemnica Wolfschanze". Sprawą bezsporną jest, że bunkier zawierał ogromne pomieszczenia, często sięgające aż do pięćdziesięciu metrów w głąb ziemi: biura, mieszkania, biblioteki, archiwa, sypialnie, koszary, refektarze, sale gier i gimnastyczne, baseny, elektrownię mającą za zadanie oświetlanie, ogrzewanie i wentylację, dworzec połączony torami z linią kolejową z Królewca do Ełku, teren do podziemnych lądowań, szpital, autostradę.

Natomiast mniej jest pewne, a to nas interesuje najbardziej, czy w Wilczym Szańcu znajdowała się mennica (gdzie mogły być wydrukowane fałszywe dolary i fałszywe funty szterlingi, wyłowione z jeziora Toplitz) oraz bank, w którym naziści przechowywali znacznej wielkości skarb w złocie, srebrze i rozmaitych innych kosztownościach.

Skarb ten musiałby być wciąż schowany i pilnowany, by mógł służyć do celów polityczno-okultystycznych, kiedy wybije w ostatnich latach XX wieku – jak przypuszczają hitlerowscy optymiści – godzina Wielkiej Rzeszy Niemieckiej.

Okultyzm zresztą zdaje się szeroko mieszać do historii chronionego i trzymanego w rezerwie skarbu, okultyzm polityczny, mieszczący się doskonale w umysłowości Führera, mający w pewien sposób służyć jako katalizator wtopienia legendy w historię narodowego socjalizmu.

W tym celu Adolf Hitler miał wskrzesić teutoński system z ośrodkami treningowymi i szkołami wtajemniczenia w Królewcu w Prusach, w Salzburgu w Austrii, w zamkach nad Renem i za granicą.

Na poparcie tej tezy powinniśmy przytoczyć wskazówkę ciekawą, o ile nie wstrząsającą: w 1949 roku dla celów reporterskich pewni ludzie, nie mający nic wspólnego z żadną partią polityczną, zostali zaproszeni do udziału, pod pewnymi warunkami, w świętowaniu letniego przesilenia.

Dowiedzieli się oni, że francuscy hitlerowcy (albo Trzecia Czarna Siła) mieli obyczaj uprawiania germańsko-pogańskiego kultu świętego Jana.

W tym celu spotykali się potajemnie na jakimś wzgórzu, rozpalali wielkie ognisko w ofierze, zarówno Bogu-Słońcu, jak i w myśl nowej mitologii hitlerowskiej, ściśle wiążącej się z kultem rycerzy teutońskich.

Tak więc w sobotnią noc 24 czerwca 1949 roku z zawodowego obowiązku zaproszeni dziennikarze czuwali przy ognisku, zapalonym na łące w Ozoir-la-Ferrière w Seine-et-Marne. Obok nich dziewczęta i chłopcy śpiewali piosenki: *Pan Charette powiedział, Zabiłem mojego kapitana, Dojdziemy aż do Uralu* oraz recytowali *Mistrza z Santiago* Montherlanta i *Antygonę* Anouilha.

Niektórzy trzymali straż przy ogniu, uzbrojeni w pałki, z rozstawionymi nogami na wzór wart niemieckich.

Chłopak patronujący zaproszonym gawędził w małej grupce i konwersacja zeszła na temat politycznej przyszłości Europy.

Wtedy jeden z uczestników powiedział:

– Rozkazy wyjdą z Salzburga i Królewca!

Natychmiast inny uczynił ręką gest powolny, ale władczy, a z jego ust wydobyło się lekkie świśnięcie, nakazujące dyskrecję.

Nastała kilkusekundowa cisza i zażenowanie, co sprawiało wrażenie, że właśnie został ujawniony jakiś ważny sekret i że nad autorem niedyskrecji zawisła ciężka groźba.

Należy zasygnalizować zastanawiający zbieg okoliczności: Salzburg znajduje się sześćdziesiąt kilometrów od tajnej kryjówki i skarbu z Ausse, ulokowanego w górach w pobliżu jeziora i przechowywanego dla przyszłych pokoleń Wielkiej Rzeszy zgodnie ze specjalnym rozkazem Adolfa Hitlera. Królewiec, znajduje się w odległości dziewięćdziesięciu kilometrów od skarbu Wilczego Szańca.

To wszystko wygląda nieco mniej niedorzecznie, jeśli przyjmie się za udowodniony fakt pilnowania skarbu w Ausse, i to, że w jakiejś fortecy alpejskiej przebywają hitlerowcy. A więc i skarb (o ile istnieje) z Wilczego Szańca jest także strzeżony przez hitlerowców mieszkających w tajnym mieście!

Zdarzyło się bowiem wielokrotnie i więcej niż dziesięć lat po zakończeniu wojny, że tamtejsza elektrownia działała i dostarczała prądu niektórym instalacjom znajdującym się na zewnątrz bunkra, wciąż podłączonym do jego sieci elektrycznej. Ani Rosjanom, ani Polakom nie udało się spenetrować podziemnych sal, do których dostęp zagradzają zawały, śmiertelne pułapki bądź pola minowe niemożliwe do przebycia.

Pozostała tylko jedna możliwa hipoteza: Wilczy Szaniec jest wciąż zamieszkany! Przez kogóż więc, jeśli nie przez Niemców, doskonale znających system obronny i labirynt bunkra?

Tradycja – już istniejąca – przekazuje, że w piwnicach i urządzeniach chłodniczych bunkra zostały złożone ogromne ilości żywności. Bardziej prawdopodobne jednak wydaje się istnienie tajnych przejść i korytarzy, z których wyjścia mogą znajdować się w odległości dwudziestu i więcej kilometrów od podziemnego miasta.

Wersja taka jest tym bardziej logiczna, że Polakom udało się dotąd uprzątnąć tylko jeden korytarz o długości piętnastu kilometrów, osłaniany z zewnątrz przez pole minowe, z którego wydobyto prawie trzydzieści tysięcy min.

Wilczy Szaniec wciąż strzeże swej tajemnicy i nic nie wskazuje, by w najbliższym czasie można ją było rozwiać; zadanie takie, poza koniecznością wykonania gigantycznych prac, wiąże się z ryzykiem, na które nikt nie ma zamiaru się narażać.

Wydaje się jednak, że tajemne przejścia znane są pewnemu ścisłemu gronu osób wtajemniczonych, wśród których mogą być Francuzi, Belgowie, Austriacy i Hiszpanie.

Zdaniem dziennikarza francuskiego Francka, Polacy odkryli w 1955 roku u wejścia do odminowanej strażnicy zwłoki, nierozpoznawalne i pozbawione wszelkich znaków rozpoznawczych, jakiegoś esesmana, co stwierdzono na podstawie wytatuowanego pod pachą znaku. Może to wskazywać, że albo poruszanie się po sekretnych przejściach nie jest pozbawione ryzyka, albo ów esesman stał się ofiarą porachunków.

Skarb z Wilczego Szańca, jakkolwiek wydaje się znaczący, nigdy nie został zinwentaryzowany, jego wielkość (o ile w ogóle istnieje) została całkowicie bezpodstawnie oceniona na wiele miliardów w złocie.

SKARBY LEGENDARNE 1

WYOBRAŹNIA I CZARODZIEJSKA RÓŻDŻKA

Opowieści o skarbach zrujnowały życie wielu ludziom, ożywiły wiele marzeń i wstrząsnęły wieloma umysłami, bo nie ma niczego łatwiejszego niż wzbudzać pożądanie albo wiarę w cuda.

Odpowiedzialność za większość legend na wszystkich kontynentach ponoszą różdżkarze, czarodzieje i okultyści, nawiedzani przez halucynacyjne wizje, nigdy nie poddane osądowi rozumu.

Zdarza się, że jakiś pisarz, dziennikarz czy blagier dorzuci do odwiecznego cyklu mitów śliczną historię o klejnotach, o zakopanych dukatach, często strzeżonych przez smoki, diabły lub otoczonych inną magiczną osłoną. W ten sposób rodzi się na zawsze nowy skarb i nic ani nikt nie jest już w stanie zniszczyć wiary w niego.

Często wystarczy, że jakiś dowcipniś powie: w starych ruinach zamczyska ukryty jest skarb. Ruiny, podziemia i starożytne posiadłości były zawsze najwłaściwszym miejscem dla ukrytych kosztowności.

Najbliższe otoczenie bajarza wie, że chodzi o żart, ale z czasem ten aspekt zaciera się i jeśli ktoś później podejmie temat albo powtórzy słowa, zaczyna kiełkować niepewność.

Od tego momentu opowieść pozbawiona źródeł stanie się prawdą, a geneza skarbu zagubi się stopniowo w mgłach przeszłości.

W naszych czasach największymi odkrywcami skarbów bez podstaw są radiesteci. Niektórym maniakom wahadełka wystarczy pokazać jakiś plan, by odkryli jedno, dwa, a nawet dziesięć miejsc, w których złoto lub srebro „wydziela promieniowanie". Natychmiast można poznać dokładną lokalizację, wagę zawartości skrytki, jej głębokość pod ziemią i datę ukrycia!

Tysiące naiwnych, podnieconych oszukańczymi deklaracjami i perspektywą bajecznej fortuny, przewróciły tony ziemi, porozwalały mury, drążyły studnie, wydawały ostatnie grosze, popadając ostatecznie w ruinę i rozpacz.

Markiza de B., właścicielka wspaniałego historycznego zamku Sully-sur-Loire, straciła w 1952 roku osiemnaście milionów grając w tę niebezpieczną grę, ulegając naleganiu radiestety, nim dotkliwa klęska nie zachwiała jej wiary w skarb ukryty w murach posiadłości.

W La Dimeresse niedaleko Messy, w Seine-et-Marne, komendant L.C. na podstawie radiestetycznych obserwacji własnych i czterdziestu zawodowych adeptów wahadełka kazał wykopać doły, w których można by ukryć dziesięć autobusów.

Negatywny rezultat, wyrażający się co najwyżej w ogromnych kosztach, nie zmniejszył ani o włos wspaniałej pewności właściciela tego miejsca.

W 1953 roku, tym razem również na skutek oświadczeń jakiegoś wahadełkowicza, władze miejskie Lusignan (Vienne) o mało nie rozpoczęły poszukiwań skarbu wróżki Meluzyny!

Można by zacytować tysiące tego rodzaju historii, narodzonych z ruchów wahadełka i mających swe źródło w mózgach szarlatanów, bajeczek skazanych na niepowodzenie, nieciekawych i pozbawionych malowniczości, wziętych bowiem z powietrza.

Symptomatyczne jednak, że te trzy bajdy: Sully-sur-Loir, La Dimeresse, Lusignan, spłodzone w okresie mniej niż czterech lat, wryły się w ludzką świadomość i aż do końca świata będą zapładniały marzenia, nie wyłączając umysłów wielu ludzi rozumnych.

Czasami legenda rodzi się z wrodzonej potrzeby czegoś cudownego, w czym znajdują szczególne upodobanie pesymiści, życiowi reakcjoniści lub osoby źle znoszące trudną sytuację społeczną.

Jeszcze częściej legenda rodzi się z bardzo racjonalnego na początku kłamstwa, przeradzającego się następnie w tradycję o nieuchwytnym wątku. Na przykład: jakaś ruina o chwiejących się murach, przepaść, głębokie jezioro, stara studnia są tak niebezpieczne dla dzieci, że lękliwe matki wymyślają różne dzieciojady: w ruinach znajduje się wielki wąż... bardzo zła wróżka wciąga do przepaści lub do jeziora, na którego brzegach znajdą się nieostrożni... w studni mieszka straszny jednorożec...

A potem w całkowicie naturalny sposób po krótszym lub dłuższym czasie jakiś wesoły kompan, opowiadacze bajek przed zaśnięciem lub naiwne babcie dla ubarwienia fabuły dorzucą ukryty skarb!

Prawdę powiedziawszy, ludzka łatwowierność jest ogromna, a kiedy w grę wchodzi okultyzm i skarby, nawet łgarstwo wielkie jak lokomotywa ma słabe szanse na zdemaskowanie.

Takie, na przykład, jak historia „La Confiance".

W Wandei opowiada się, że w wieczór Bożego Narodzenia 1821 roku statek „La Confiance" z kapitanem Dupré, trzema marynarzami i właścicielką, śliczną panią Charrier na pokładzie zakotwiczył gdzieś w okolicy Wyspy Ré.

Statek, płynący bez wątpienia z Ameryki, kierował się do Bordeaux. Pasażerowie zeszli na ląd, by udać się na pasterkę do kościoła w Saint-Martin-de-Ré. Morze było wzburzone, tak że statek „La Confiance" po zerwaniu się kotwic ruszył w dryf i rozbił się między przylądkiem Arçay i Faute-sur-Mer, a następnie osiadł na mulistym dnie.

Jest całkiem możliwe, że zatopieniu uległ także skarb (o ile w ogóle był), ale trudno uwierzyć w przekaz tradycyjny, informujący o pełnej złota beczce, umieszczonej u nasady głównego masztu... akurat, beczka złota pozostawiona bez nadzoru przez całą bożonarodzeniową noc!

Teraz w związku z przybyciem lądu lokalizuje się wrak na półwyspie i pewna radiestetka wykryła go na głębokości trzydziestu metrów pod winnicą pani Mady.

Różdżka wykazała ponadto tony złota!

Kopano w roku 1953 i 1957 i oczywiście niczego nie znaleziono.

A zatem zakładając, że wraki nie zagłębiają się zbytnio w dna mórz, można by wyciągnąć wniosek, że wybrzeża Wandei podnoszą się z szybkością dwudziestu pięciu metrów w ciągu wieku i że do 2960 roku staną się o wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, a z La Rochelle do Nowego Jorku będzie można dojść suchą stopą.

Czasami zdarza się jednak, że prawda jest niewiarygodna. Tak jest ze skarbem markiza de Carabas, który może gdzieś istnieć w postaci dobrej brzęczącej monety.

Claude Gouffier, wielki koniuszy Franciszka I w 1546 roku, noszący tytuł księcia Caravas, stał się, jak mówiono, wzorcem dla Perraulta w bajce *Kot w butach*.

Książę Caravas, który w literaturze przetrwał jako markiz Carabas, zmarł pozostawiając ogromną, nigdy nie odnalezioną fortunę, schowaną prawdopodobnie w zamku markiza w Oiron, niedaleko Airvault (Deux-Sèvres).

Natomiast dobrze historycznie udokumentowany skarb Christophe'a, króla Haiti, może okazać się jedynie legendą.

Murzyn Henri Christophe, dawny niewolnik, proklamował się w 1811 roku królem Haiti pod imieniem Henri I. W okresie swego panowania, ani gorszego, ani lepszego od innych, kazał wybudować okazały pałac i nadał szlachectwo swym rewolucyjnym towarzyszom i przydzielił im oficjalne tytuły, w zabawny sposób ilustrując historię. W ten sposób pojawił się książę Marmolady, baron Spluwy, hrabia Lemoniady itp.

W 1820 roku powstanie obaliło króla, który popełnił samobójstwo strzelając sobie w głowę z pistoletu. Jak powiadano, Henri I pozostawił skarb zakopany w pałacu Sans-Souci w Port-au-Prince. Nie ma tu niczego pewnego, ale czyż historia nie powinna spłacić daniny legendzie, będącej jej bezpośrednim przodkiem? Legenda o charakterze historycznym zawsze lubiła wiązać skarb z jakąś znakomitością: bohaterem, księciem lub królem.

Wiadomo o jakichś dwudziestu skarbach króla Salomona, dwóch albo trzech królowej Saby, Karola Wielkiego, Ludwika XVI, Napoleona, ale mityczny skarb królowej Berty w Paryżu – jeśli istnieje – jest arcydziełem w swoim rodzaju.

Robert, syn Hugona Kapeta, który miał być następcą swego ojca na tronie francuskim, ożenił się w 996 roku z piękną Bertą de Bourgogne, córką Konrada le Pacifique i wdową Eudes po hrabim de Chartres. Kiedy jednak został królem, przybierając imię Roberta II Pobożnego, Kościół nie chciał zatwierdzić tego małżeństwa pod pretekstem, że Berta była jego kuzynką czwartego stopnia.

Jednakże Robert II, kochając czule swą młodą żonę, mimo swej pobożności i posłuszeństwa wobec nakazów Kościoła, tym razem zirytował się, zbuntował i odmówił odtrącenia ślicznej Berty.

Papież Grzegorz V ekskomunikował go, co stanowiło najwyższą karę, na dowód czego dwór opuścił swego władcę, tak że ze zbolałym sercem Robert w końcu ustąpił.

Tyle historia.

Legenda dorzuca do niej, że aby łatwiej przekonać króla, zamieniono królewskiego syna w chwilę po urodzeniu na jakiegoś potworka, co z całą oczywistością w X wieku musiało stanowić dowód związków Berty z Diabłem.

Kiedy została odtrącona, zebrała duży skarb, zakopany następnie pod górą Cétard, która w kilka wieków później stała się malowniczą dzielnicą Mouffetard.

Prawdziwy syn królowej i Roberta Pobożnego wychowywany był na górze i jak głoszą podania, jego potomstwo wciąż żyje w tej dzielnicy, gdzie okultyzm panuje wszechmocnie.

Skarb ma być wciąż nietknięty i schowany w miejscu znanym „Starcom z Mouff", czyli Wielkiej Radzie, składającej się ze starców liczących sobie po kilkaset lat, których długowieczność miałyby zapewniać zegary wyrabiane na ulicy Grands-Degrés przez pewnego zegarmistrza okultystę.

Zegary te o wskazówkach obracających się w odwrotną stronę niż zwykle, to znaczy od prawa na lewo, wynalezione miały być przez zegarmistrza Bibera w XIV wieku. Biber był hrabią Saint-Germain, którym także jest Cyryl M., zegarmistrz urzędujący za naszych dni przy ulicy Grands-Degrés.

Jacques Yonnet w książce *Paryskie czary* odsłania dziwne praktyki z Mouff, rytuały uprawiane przez te tajemnicze społeczności i magię rządzącą tym ludem, którego istnienia profani nawet nie podejrzewają.

Ta właśnie zdumiewająca postać i Rada Starszych z Mouff mieliby sprawować pieczę nad skarbem królowej Berty.

Historia skarbu słynnego Samuela Champlaina, założyciela Quebecu i gubernatora Nowej Francji, przekazywana z ust do ust, w nie większym stopniu zgadza się z faktami historycznymi niż przygody królowej Berty, a przecież niektórzy Kanadyjczycy zapewniają o jej autentyczności.

Tak więc tradycja mówi, że Samuel Champlain, aby zdobyć pieniądze, których nie nadsyłał mu król Francji, potajemnie wyposażył okręt korsarski, być może przeciw Hiszpanom, ale raczej przeciwko Anglikom. W ten sposób udało mu się zgromadzić bogactwa warte trzysta milionów „w masywnym złocie".

Kiedy w 1627 roku angielska eskadra przystąpiła do oblężenia Quebecu, Champlain wraz z kilkoma zaufanymi żołnierzami zakopał skarb na pustynnym wybrzeżu Nowego Brunszwiku, w zatoczce Moulin (obecnie Mill Cowe).

Wykopano rów i umieszczono w nim dębowe kufry zawierające złoto. Kiedy zaczęto je zasypywać, nagle pojawiła się jakaś kobieta, która sądząc, że ma do czynienia z opryszkami i zabójcami, zaczęła ich głośno przeklinać. Jeden z żołnierzy wpadł w szał i szablą odciął jej głowę, nim Champlain zdążył interweniować.

W zabitej kobiecie rozpoznano zakonnicę ze wspólnoty Quebecu, a jej ciało pochowano wraz z kuframi po odmówieniu stosownych modlitw. Champlain wyraził żal z powodu zajścia i prosił niewinną ofiarę o sprawowanie opieki nad skarbem.

W 1628 roku Anglikom udało się uzyskać kapitulację bohaterskiego Quebecu i Champlain odpłynął do Francji. Po powrocie z Kanady do ojczyzny udał się jeszcze do Quebecu (w 1633 roku), ale nie chciał nigdy odzyskać przeklętego skarbu. Zmarł w 1635 roku, a dla uczczenia jego pamięci ani Indianie, ani żołnierze nigdy nie wrócili do zatoczki Moulin.

Przeszły wieki i całkiem niedawno pewien farmer z Newcastle, znający całą historię, rozpoczął kopanie, w miejscu gdzie leżały kufry. Nagle ujrzał walący się na niego płonący statek – ze strachu stracił zmysły. Dwaj Amerykanie, poszukiwacze skarbu, zmarli wkrótce, jeden spadając z wysokości, drugi utonął.

Tajemnica, jak mówią Kanadyjczycy, zabija tych, którzy ją znają, a przekleństwo Zakonnicy bez Głowy chroni trzysta milionów w złocie bez możliwości odczynienia uroku.

Czasami odkrycie schowanego skarbu związane jest ze znanym rytuałem; wystarczy tylko postępować zgodnie z nim.

Na ogół skarbu strzegą czarownice, złośliwe duszki, diabły, czarne psy albo „rycerze z ciężkimi mieczami“; skała, kamień, dolmen[1] przykrywający go unosi się w niektóre dni, szczególnie w czasie wigilijnej pasterki w chwili podniesienia. Należy szybko zareagować w ciągu kilku sekund trwania ceremonii. Czasami należy w tym czasie przebiec pewien dystans, nie wymawiając ani jednego słowa... bo w przeciwnym wypadku kamień opadnie grzebiąc na zawsze nieostrożnego albo poszukiwacza zbyt powolnego czy zbyt zachłannego.

Właśnie w Montauban skarb z zamku można odzyskać tylko w Boże Narodzenie, dokładnie w chwili wznoszenia przez księdza hostii nad kielich!

---

[1] Dolmen – grobowiec z okresu neolitu, zbudowany z pionowo ustawionych głazów, przykrytych płaskim blokiem kamiennym.

W Champey (Haute-Saône) na północy miasteczka w lesie znajduje się ogromny głaz z piaskowca, nazwany „Kamieniem Obracającym się". Według legendy kamień ten obraca się wokół swej osi raz na sto lat w noc Narodzenia, a ten, kto ma szczęście ujrzeć, jak się obraca, może zabrać spod niego – robiąc to szybko – święty sierp ze złota i skarb druidów!

Jakże malownicze są legendy o skarbach!

SKARBY LEGENDARNE 2

NIEZWYKŁE ZWIERZĘTA I BIAŁE DAMY

Skarb legendarny czerpie z wypróbowanego arsenału środków i rytualnego zwierzyńca: złote kręgle, apostołowie wykonani ze złota, kotły, wielkie beczki, baryłki wypełnione złotem, misy, krowie skóry wypchane monetami, cielęta, kozy, kwoka z kurczętami wykonane ze złota, wszystko pilnowane przez białe damy, smoki i inne apokaliptyczne potwory.

Pierwszym zwierzęciem stróżującym przy legendarnym skarbie i skarbie prawdziwym musiał być jednak pies, uśmiercany i mumifikowany, jak wykazały wykopaliska w Abydos i Tebach.

Także po śmierci nasi wierni, ukochani przyjaciele mieli czuwać nad snem swych panów i strzec ich bogactw zebranych w grobach. Czasami dodawano do towarzystwa mumie jadowitych węży (w Kom Ombo), oczywiście w celu wzmocnienia obrony, a nie ze względów kulturowych.

W Chinach, na wyspach Oceanu Indyjskiego, w Ameryce i we Francji wielokrotnie wraz z odnalezionymi skarbami odkopywano szkielet psa, którego okultystyczna rola jest oczywista.

Wąż o wiele bardziej niż inne zwierzę wywołuje w człowieku lęk i jest dlatego prototypem bajkowych potworów z legend: bazyliszka, smoka, gryfona, rozmaitych potworów i żmij, Meluzyny[1], a także syreny i jednorożca.

Podsumowując, pies jest zwierzęciem wiernym, czujnym, nie mającym w sobie nic przerażającego, bo od najodleglejszych czasów prehistorycznych był pierwszym przyjacielem człowieka, jeszcze nawet przed reniferem. Stąd pomysł, by zastąpić go na warcie przy skarbach zwierzęciem budzącym przerażenie, strasznym i jadowitym: wężem.

Najbardziej przerażający był bazyliszek, wykluty z jaja zniesionego przez koguta i wysiedzianego przez ropuchę. Był to gigantyczny wąż o jadowitych kłach, bardziej jednak budzący strach swym uśmiercającym spojrzeniem, zabijającym jego samego, kiedy ujrzy się w lustrze.

Innym znakomitym stróżem był gryfon o ciele lwa, posiadającego skrzydła i głowę orła, a język węża. Ten niezwykły potwór, jak zapewnia większość historyków starożytności – widziany przez nich w rzeczywistości, był zdeklarowanym miłośnikiem złota, umiejącym je wykrywać i strzec przed zakusami człowieka.

W średniowieczu smok, rodzaj żmii skrzydlatej, rzygającej płomieniami i zatruwającej powietrze oddechem, cieszył się jeszcze większym poważaniem! Smok był strażnikiem opiekuńczym skarbów, jedynym tak czujnym, że nie sposób było go podejść (smok = dragon pochodzi z sanskrytu: *drkkarna* – ten, którego oko jest uchem).

Pod imieniem Grangoule w Poitiers, Gargouille w Rouen, Jaszczur w Provins, Tarasque w Tarascon, Dragon w Magné (Deux Sèvres) i w Somières-du-Clain (Vienne) strzeże ukrytych skarbów.

W Jurze smok zrodził wuiwrę (albo guiwrę), czyli rodzaj fantastycznego zaskrońca, strzegącego skarbów w ruinach zamków. Niekiedy wuiwra ma kobiecą pierś, ale zawsze w postaci kobiety czy węża, nosi na czole czerwony karbunkuł lub rubin, który wystarczy jej zabrać, by uzyskać dostęp do pilnowanych przez nią skarbów. Biada jednak niezręcznemu, któremu się to nie uda: wuiwra mści się straszliwie! Karbunkuł jaśnieje tak wspaniałym blaskiem, że zdarza mu się zdradzić miejsce skrytki, którą może być także krypta.

---

[1] Meluzyna – najsłynniejsza z czarodziejek folkloru starofrancuskiego, rusałka wodna o postaci węża.

Jednorożec, posiadając głowę jelenia, ciało konia, może mieć ogon węża i kobiecą pierś, no i przede wszystkim słynny wielokolorowy, zaczarowany róg pośrodku czoła. Kiedy jednorożec występuje w postaci węża, nazywany jest Bigorne w Poitou i zamieszkuje na dnie studni. Pilnuje skarbów i często mylony jest przez ludową tradycję z Meluzyną z Lusignan.

Niezależnie od bajkowych potworów, wiele rzeczywistych zwierząt uczestniczy w historii skarbów; przede wszystkim złoty cielec, drogi starożytnym Żydom, występujący po trosze wszędzie, ukryty w ruinach; złote kozy, także bardzo liczne, chociaż trudno znaleźć uzasadnienie ich egzystencji.

Powinno się jednak odnotować, że w czasach terroru we Francji (1793), wielu posiadaczy, nim zostali ścięci, chowało swe fortuny w skórach krów, cieląt lub kóz. Tak były opakowane skarby z Cabries (Ujście Rodanu), z Lambourlas (Tarn-et-Garonne), z Mirandol (Dordogne) itp.

W ruinach i podziemiach ukryte są także jagnięta ze złota, pochodzące na pewno od monet bitych przez świętego Ludwika, zwane „agnels" (jagniątko) lub „baranek", ponieważ po jednej jej stronie widniał wizerunek baranka wielkanocnego.

W Crain (Yonne) w zamku pani Ozanne kroniki umieszczają „kurę wraz z dwunastoma kurczętami" ze złota masywnego. Skarb panów na Beaulon (Allier) jest ukryty w tym, co pozostało z zamku, każdemu jednak, kto podejmie poszukiwania, grozi ugryzienie przez pięć czerwonych żmij, opiekunek-strażniczek.

Wuiwra baczy na skarby w zamkach: Vaugrenans, Valempoulière, Arlay, Tour-de-Meix, Dramlay i innych na terenie Jury. W Château-Saint-Paul (Bas-Rhin) w Wielki Piątek w południe, jeśli ma się szczęście, można ujrzeć czarnego psa leżącego przy źródle. Pies trzyma w pysku klucz otwierający małe drzwiczki, ukryte w okolicznych skałach. Odważny może odebrać psu klucz niczym nie ryzykując, o ile nie odezwie się nawet jednym słowem, i wejść do krypty mieszczącej się w górach. Tam też będzie czarny pies pilnujący kufra z kosztownościami, trzymający w potężnych kłach złoty klucz, otwierający zamek kufra. Ktoś odważny o czystej duszy i rękach nie splamionych krwią może wziąć klucz, otworzyć kufer i zabrać taką ilość złota i klejnotów, jaką zdoła unieść.

W Chebba, sześćdziesiąt pięć kilometrów na północny wschód od Sfaksu (Tunezja), skarbu pilnuje czarny pies, na którego należy trzykrotnie zawołać: „Duleb... Duleb... Duleb..."

W egipskim Babilonie – Kairze perły, szmaragdy i wielkie bogactwa mogą zostać odkryte w studni tylko wówczas, gdy odprawi się nad nią następujący rytuał:

„Najpierw wypiszecie takie magiczne słowa... (po arabsku) na kawałku nie wypalonego glinianego naczynia. Okadzicie ten fragment żywicami i asafetydą i wrzucicie do studni, by uciekła z niej natychmiast woda.

Kiedy znajdziecie skarb, będziecie mogli go zabrać, jeśli złożycie ofiarę z pawiana".

Niezależnie od legend, zwierzęta przyjazne lub wrogie odgrywają wybitną rolę w autentycznych historiach związanych ze skarbami.

W Rennes-le-Château w XVI wieku koza, która zgubiła się w jaskini, wskazała pasterzowi Parysowi bajeczny skarb, ponownie odkryty w 1897 roku przez proboszcza Bérangera Saunières'a.

Pojawia się także wąż: w Afryce Południowej w rozpadlinie Hadje Aibeep w pobliżu Pelli i rzeki Orange znajduje się diamentowy skarb, wielokrotnie padający ofiarą rabusiów, lecz wciąż nie wyczerpany.

W 1925 roku niejaki Gerte w czasie poszukiwań został ukąszony przez żmiję i porzucił swoje zamiary. W 1958 roku poszukiwacze Jan Holland, Peter Campion i Arthur Ruste zmarli w wyniku ukąszeń węży, od których roi się w przepaści.

Jadowite mureny w sposób naturalny, ponieważ lubią się gnieździć we wrakach, stanowią dla poszukiwaczy podmorskich skarbów niebagatelne zagrożenie.

Pewien znany wrak, wrak galeonu „San Fernando", spoczywający u wybrzeży Wyspy Sainte-Lucie, jest podobno chroniony przez „potwora z hebanową czupryną".

A oto inny ceniony strażnik podmorskich skarbów; ośmiornica! Florent Ramaugé z Klubu Poszukiwaczy Skarbów, zawołany nurek od lat oddający się z zapałem poszukiwaniom galeonów zatopionych w Vigo w 1702 roku, łowi ośmiornicę, po czym wrzuca ją z powrotem do wody. Chodzi o to, by sprawdzić, czy nie ma ona złotych monet przyklejonych do przyssawek na ramionach. Zdarza się to czasem, ponieważ stworzenie to chwyta każdy błyszczący przedmiot na dnie morza, a więc i złote monety z rozbitych galeonów. Może to bardzo pomóc w lokalizacji wraka.

O ile ośmiornica mieści się w dopuszczalnej rzeczywistości, to wiara w białe damy wymaga wiele dobrej woli. Ale co właściwie przeszkadza wierzyć we wróżki, w Viviane, Huon z Bordeaux, w Artura i Okrągły Stół, w Meluzynę? A także w legendy rycerskie, baśnie z diabłami i magiczne zaklęcia, znakomite do opowiadania wieczorami przy wielkim kominku z płonącymi dębowymi polanami z lasu Brocéliande?

Dlaczego nie wierzyć w piękne i łagodne białe damy?

W Koëpfle w departamencie Bas-Rhin wiele osób widywało w południe białą damę, trzymającą pęk złotych kluczy i schodzącą po zboczu w dolinę. Zwykle uśmiecha się do osób napotykanych po drodze, podążając aż do brzegów rzeki Ill koło młyna Biszmühl. Tam obmywa twarz, włosy i piękne nagie stopy, a potem słychać jej skargi i płacz. Następnie wraca na wzgórze i w tajemniczy sposób znika w miejscu, z którego przez całą noc, jak zapewniają wieśniacy, wydobywają się długie, niebieskawe płomienie.

Istnieją podejrzenia, że wzgórze skrywa skarb, często, lecz zawsze na próżno poszukiwany.

W miejscu dzisiejszego młyna w Biszmühl stał niegdyś zamek, spalony w 1452 roku przez mieszkańców Miluzy. Nie można wykluczyć, że podziemne korytarze łączą jeszcze młyn ze wzgórzem.

Legenda utrzymuje, że w Jurze biała dama z Montbarrey tańczy w nocy, tam gdzie ukryty jest skarb składający się ze złota, nakryć stołowych i monet.

Powabna zjawa tańczy z zapaloną pochodnią w ręce aż do drugiej nad ranem. Ktoś, kto będzie miał szczęście ujrzeć ją, powinien przyglądać się bez ruchu i dobrze zapamiętać miejsce, na którym jej bose stopy zakreślają koło. Tam będzie skarb i tam można szukać, kiedy tancerka tajemniczo zniknie.

Bardzo dawno temu pani na Montbron była kasztelanką wielkiej urody, ale pełną pychy i okrucieństwa. Nienawidziła dzieci i Bóg, by ją pokarać, dał jej sześcioro dzieci naraz.

Pewnej nocy włożyła niewiniątka do wiklinowego kosza i poszła utopić je w głębokim zdroju. Wkrótce potem, wydana na pastwę trapiących ją wyrzutów sumienia, rozdarła na sobie szaty, zdarła biżuterię, całe posiadane złoto, naszyjniki i wszystko wrzuciła do tragicznego zdroju; następnie odsunęła się od świata i zmarła potępiona.

Wielu mieszkańców Montbron próbowało niegdyś odzyskać skarb przeszukując źródło, ale za każdym razem rozpętywała się burza i zły los ścigał świętokradców.

Źródło znajduje się podobno między Montbron i Rouzède (Charente).

Co siedem lat w Illzach na północnym przedmieściu Miluzy, w miejscu zwanym „L'Etang" (Staw), u stóp zachodniego zbocza wzgórza Rain pojawia się wśród łąk bardzo piękna, jasnowłosa dziewczyna. Na jej szyi i piersi połyskują złote naszyjniki, w lewej ręce trzyma pęk kluczy, a drugą wykonuje gest zapraszający spotkane osoby do pójścia za nią.

Człowiek, mający szczęście napotkać ją, powinien jej towarzyszyć aż do ogniska z rozpalonymi węglami, w którym dama zamienia się w dym. Trzeba ugasić ogień, przykrywając go dużym kawałkiem płótna, i kopać na tym miejscu aż do odsłonięcia podziemnego przejścia, prowadzącego do sklepionej sali.

Tam jasnowłosa dama z Illzach w otoczeniu czarnego demona i diabła w skórze ropuchy oczekuje na swego bohatera, który ją odczaruje. Będzie za to mógł zabrać dwa wielkie kufry wypełnione kosztownościami, ale musi się pilnować, by nie wyrzec przez cały czas ani jednego słowa.

Stąd jedna nauka: jeśli chce się znaleźć skarby, trzeba trzymać język za zębami. Skarb z Kwadratowej Dziury koło Guebviller w departamencie Haut-Rhin jest tego dowodem... jeśli tak można powiedzieć!

Otóż dwaj drwale wracając wieczorem z lasu ujrzeli kufer z masywnego złota, zawierający wszystkie bogactwa świata. Kufer ten zwykle, jak mówi legenda, pilnowany był przez ognistego smoka, tego jednak wieczoru wyłaniał się z ziemi i powoli w niej zagłębiał, by zniknąć gdzieś w jej łonie.

Drwale zaczęli kopać i kiedy odwalili ogromny głaz oraz ostry miecz (skarb strzeżony!), udało się im wydobyć złoty mebel. Byli tak przejęci, że jeden przerwał milczenie i rzekł do towarzysza:

– Na Boga, jesteś blady jak śmierć!

Nie zdążył nawet wypowiedzieć tych słów, kiedy kufer zagłębił się w ziemi, zniknąwszy na zawsze.

Nigdy nie wolno gadać w czasie czarów!

Tajemnica Zaczarowanej Piwnicy jest bez wątpienia jedną z najwspanialszych prawdziwych legend spośród istniejących.

Kiedy w 1951 roku opublikowano w tygodniku „Ici Paris" ankietę zatytułowaną *Polowanie na skarby,* nadeszło wiele listów od pani Van E. z Boissy-le-Châtel w Seine-et-Marne na temat tajemnicy nawiedzonej piwnicy, absorbującej umysły całej jej rodziny.

Historię tę najlepiej przedstawiają przytoczone *in extenso* listy pani Van E.

Pierwszy list z 25 maja 1951 roku.

„...Przede wszystkim muszę powiedzieć, że nie jestem przesądna, że nie wierzę w upiory ani w magię, ani w czary.

Oto fakty: jakieś trzydzieści lat temu rodzice kupili dom w małym miasteczku Rebais (niedaleko Coulommiers). Dom jest bardzo stary, a dokumenty będące w posiadaniu rodziców pozwalają ustalić pierwszych właścicieli w czasach Ludwika XI. Dom jest o wiele starszy, a piwnice starsze od niego... i właśnie o te piwnice chodzi.

Kiedy pierwszy raz zeszłam do tej piwnicy, zaraz po przekroczeniu drzwi doznałam czegoś jakby uderzenia i przed oczami ukazał mi się skarb! Nie wspomniałam o niczym matce sądząc, że doznałem halucynacji.

Za drugim i trzecim razem to samo uderzenie i ta sama wizja... skarb, którego wszystkie przedmioty są pomieszane, który musiał być chowany (jeśli w ogóle jest to skarb) w pośpiechu.

Zaraz po wyjściu z piwnicy odczuwałam rodzaj pustki w mózgu i przestawałam o wszystkim myśleć.

Czyż nie sądzicie, że jest to dziwne? Czyżby rzeczywiście istniał jakiś skarb? A może niezrozumiałe czary? Zamieszczam plan piwnicy..."

Drugi list. 8 czerwca 1951 roku.

„...Piwnica z wizjami należy do mojej matki, która nade wszystko pragnie, by to tajemnicze zauroczenie, jakiemu podlegam, znalazło wytłumaczenie.

Piwnica znajduje się w Rebais, siedem kilometrów od Fontenelle..."

Trzeci list. 20 kwietnia 1953 roku.

„Otrzymałam wasze dwa listy, ale ponieważ wyjechałam na urlop, znalazłam je dopiero po powrocie.

Piwnica należy do mojej matki i znajduje się w Rebais, ale nie znaleźliśmy w niej niczego, ponieważ niczego nie szukaliśmy.

Na skutek wszystkich niewyobrażalnych faktów matka przeklęła swoją piwnicę do końca życia. Mimo że to, co piszę, jest dość wstrząsające, sądzę, że dzieje się to całkiem przypadkowo, a przynajmniej, jeśli jest skarb, to jest on ochraniany przez siły zwane tajemnymi.

O całej sprawie wiedziała tylko moja matka i ja. Kilka dni przed ustaleniem spotkania z panem mama poprosiła kobietę robiącą nam zakupy, by zechciała zejść do piwnicy i zmieść pajęczyny. Kobieta wzięła szczotkę do zamiatania i zeszła po starych kamiennych schodach, po chwili jednak odmówiła kategorycznie zejścia. Ponieważ jest ona trochę niedorozwinięta, matka przez moment nie zwróciła na to uwagi.

Kilka dni później jeden z moich braci, zostawiwszy w piwnicy skrzynkę, poszedł po nią około dziewiątej wieczorem. Zdumiony ujrzał w kącie piwnicy jajowatą głowę mierzącą jakieś czterdzieści centymetrów, fosforyzującą, posiadającą po jednym oku na każdym skraju, mrugającą do niego. Wrócił pędem na górę.

Potem powiedział sobie: – Dalej, Albercie, jesteś mężczyzną, nie będziesz się bawił w jakieś widziadła! – I dzielnie zszedł jeszcze raz... ale tym razem głowa zaczęła zbliżać się do niego, groźna. Uciekł, a następnego dnia, kiedy było widno, zszedł mocno niepewny. Zobaczył tylko jakąś kość.

Z troski o nas nie opowiedział nam od razu o wszystkim obawiając się, że nie będziemy miały śmiałości tam schodzić.

Napisałam więc do pana list, by umówić się na następną sobotę, ale ponieważ nie miałam w domu znaczków, wzięłam go do fabryki z zamiarem udania się na pocztę po wyjściu z pracy. Nie minęła nawet godzina pracy, kiedy nagle deska do papieru, ważąca sześćdziesiąt pięć kilogramów, spadła mi na głowę. Przez trzy miesiące chorowałam... i list nie został wysłany.

Matka zachorowała w tym samym okresie, wyciągnęła więc z tego wniosek, że piwnica jest nawiedzona i kazała zabić drzwi do niej.

Oto przyczyny mojego milczenia.

Nie śmiałam panu pisać o tych sprawach, ponieważ być może... to było zapisane!

Proszę przyjąć wyrazy..."

Oto listy, które otrzymaliśmy od pani Van E., zgodnie z jej życzeniem nie nadając im dalszego biegu. Szkoda jednak, że nie można było zastosować elektronicznej detekcji, która mogłaby dać jakieś wytłumaczenie zjawisk w Zaczarowanej Piwnicy!

Jakkolwiek by było, historia jest bardzo dziwna, a zdumiewający zbieg okoliczności zdawał się nie dopuszczać do detekcji skarbu.

Trzeba przyznać więc, że nasz racjonalizm czasami bywa bezradny!

SKARBY TAJEMNE

ZAKLINANIE... LATAJĄCY LUDZIE... UPIORY...

U ludów prymitywnych, a szczególnie w tropikach, wyobraźnia i gorączka złota połączyły się, by spłodzić fantastyczne opowieści o skarbach, w których magia odgrywa zasadniczą rolę.

Zakochani w cudowności Arabowie są przekonani, że niewierni okupujący niegdyś Afrykę Północną przed muzułmańskim podbojem schowali w ziemi wszystkie swoje bogactwa, a w magicznych księgach zapisali sekrety pozwalające je odnaleźć.

Leon Afrykańczyk, geograf i historyk, donosi, że w XVI wieku w Fezie istnieli poszukiwacze skarbów, zwani El-Kannazin. El-Kannazin byli pewni, że Rzymianie rzucili na zakopane skarby czary, ale oni posiedli umiejętność zdejmowania tych czarów za pomocą odpowiednich magicznych wezwań i zaklęć.

Zdaniem Arabów, rozsądne byłoby odwołać się do *Księgi wiedzy o skarbach*, gdzie zostały opisane rytuały skuteczne w odnajdywaniu skrytek i odstraszające złe duchy, tyle że księga ta znajdowała się, jak powiadano, w „kościele w Konstantynopolu“, dokąd przywieziono ją z Toledo.

W tym samym sanktuarium miały być złożone również inne dokumenty, wskazujące dokładne miejsce położenia skarbów należących do niewiernych.

Nie wiadomo, czy była to prawda, w każdym razie księgi były nieosiągalne dla El-Kannazin, którzy będąc znakomitymi alchemikami i szczególnie zdolnymi ekspertami wiedzy tajemnej, musieli radzić sobie za pomocą metod magicznych.

Prowadzone przez nich poszukiwania skarbów opierały się o filtry, eliksiry, kadzidła, proszki, no i przede wszystkim na następującym zaklęciu: „Tamsh, Karhatial, Akfahita, Tahtout, Aketthountha, Ahia, Shaqatqir, Ahirqal, Tafhout! Wysłuchaj mnie, o mądry tytanie, zaklinam cię na moc tych imion! Oddal się od nas przez siłę sprawczą tych świętych imion".

Należało to wygłosić siedmiokrotnie!

Dobrze było równocześnie okadzać dymem z drewna sandałowego, ze styraksu[1] i ziaren chleba świętojańskiego.

Chcąc odkryć skarb, należało także powtórzyć siedem razy następujące słowa: „Ahiaksheh, Ahishakish, Maksha, Ahérqoul, Daig, Maig, Qinburg, pospieszcie się i pokażcie skarb mocą tych imion, które odczytałem przed wami".

Tytany i potwory odsuwały się więc, odsłaniały skrytkę i stawały się niegroźne.

Ahmed Bey Kamal, członek Instytutu Egipskiego, przetłumaczył i zebrał w *Księdze zaginionych pereł* opowieści o skarbach, w których odbija się cała magia i wierzenia El-Kannazin równocześnie ze stylem wyobraźni ludów Wschodu.

Oto relacja na temat rubinowego królewskiego skarbu:

W górach Charunah, dystrykcie Maghagha, prowincji Minieh, opuścicie Abu-Shamah i będziecie szli na wschód aż do wadi[2] poprzecinanego licznymi wąwozami.

Jedźcie w kierunku Abu-l-Dahim, aż napotkacie szczelinę na tyle obszerną, by mógł przez nią przejechać jeździec wraz z koniem i lancą oraz dwoma ładunkami.

---

[1] Styraks - żywica naturalna.

[2] Wadi - sucha dolina na pustyni o stromych zboczach.

Wejdźcie w nią i idźcie aż do studni zawierającej trzy gliniane garnki, tam ujrzycie kupkę jakichś szczątków i trzy zasypane stopnie.

Kiedy odgarniecie cały piasek, odkryjecie drogę wspinającą się w górę, obramowaną murkiem. Jeśli przejdziecie pod murkiem, znajdziecie drzwi z kołatką, pokrytą greckimi inskrypcjami i umieszczonym wśród nich znakiem.

Pociągniecie za kołatkę i drzwi otworzą się, a wy przejdziecie przez nie bez lęku.

Znajdziecie za nimi obszerny, piękny pokój, a w nim sto ardebów filozoficznego błota! Podgrzejecie błoto na ogniu, aż stanie się czerwone, a potem skąpiecie w czystym occie: zacznie się kruszyć.

W tym samym pokoju zobaczycie stos i łoże królewskie, na którym król spoczywa wśród drogocennych kamieni, okazałych rubinów, jakich nikt nigdy nie widział, o jakich nigdy nie słyszał i nawet nie podejrzewał istnienia – takie są piękne.

W pobliżu królewskiej głowy widać siedemdziesiąt magicznych strzał, przeznaczonych do rozprawiania się z wrogami.

Gdybyście ulepili z wosku figurkę waszego wroga, wypisali na jej głowie imię wroga i imię jego matki, a później przeszyli jej serce jedną ze strzał wystrzeloną z łuku, wypowiadając następujące słowa: „Zabijam króla tego i tego miasta", nieprzyjaciel padnie trupem.

Jeśli strzała przeszyje mu kark, głowa tego człowieka odpadnie od korpusu. Zapamiętajcie to, w strzałach bowiem zawarta jest magiczna moc.

W pobliżu głowy króla dostrzeżecie puzderko zawierające czterdzieści osiem pierścieni, należących do czterdziestu ośmiu demonów. Jeśli ktoś włoży któryś z pierścieni na palec, duch ukaże mu się i będzie posłusznie wykonywał wszystkie polecenia. Noszący pierścień na palcu może, zgodnie ze swym życzeniem, stać się za sprawą ducha niewidzialnym.

Jeśli chcecie wejść do tego pomieszczenia, musicie uperfumować się, używając do tego żywic naturalnych, utrwalonych we krwi ludzkiej, do tego celu upuszczonej, oraz mandragory. Można tam wejść tylko w piątek lub sobotę przy pełni księżyca i po płynnym wyrecytowaniu następującego zaklęcia: „O Baalshaqeshu, Mihraqeshu, Aqshamqeshu, Shaqmounhishu, Rekinsharze, Ashlekhu, Barkiazie, Hawro, Alarkiazie, Iasloubie, Iaskioubie, Bishghabie, Alghioubie, Bitfounie, Bisousamie, Housamie, Shamkhishu, Shemrakhu, Ashmekhu, Shamakhi, ty najwynioślejszy ze wszystkich Barakhu, przez objawienie Boga na górze, które zostało odrzucone i Mojżesz popadł w zwątpienie. O duchy, zaklinam Was, byście ustąpiły i wysłuchały czytającego to zaklęcie".

Inna historia z udziałem sił tajemnych, związana także z ziemią afrykańską, opowieść zachwycająca i lekka, potwierdza wzajemne przenikanie się okrutnych czarów i poetyckiej fabularyzacji.

Skarb, o którym mowa, to Grobowiec Chrześcijanki, zwany też K'bur Rumia, gigantyczny monument, wysoki na trzydzieści metrów, o piętnastometrowej podstawie, znajdujący się na zachodnim krańcu przylądka Mitidja, sześćdziesiąt dwa kilometry od Algieru.

Legenda zapewnia, że w grobie tym zostały zakopane niezmierzone bogactwa, co może być prawdą! Liczne poszukiwania pozostały bez rezultatu i historycy gubią się w domysłach na temat znaczenia tego monumentu.

Pierwszy penetrował jego podziemia 16 maja 1866 roku inspektor generalny monumentów historycznych, Adrien Berbruegger.

Według tradycji, K'bur Rumia jest podobno grobowcem wygnanej z Hiszpanii średniowiecznej księżniczki albo według innych pogłosek – księżniczki należącej do numidyjskiej rodziny królewskiej lub rodu Juby II, zmarłego w Cezarei około roku 30. W wieku XVI zapewniano, że kryje on szczątki Kavy (Kaaby), niezwykle pięknej kurtyzany, uwiedzionej przez króla Wizygotów, za co jej ojciec z zemsty oddał Hiszpanię muzułmanom.

Wewnątrz grobowca miały być złożone stosy drogocennych kamieni, korce pereł i rubinów, monet taka ilość, że można by je brać łopatami.

Skrytkę, jak przekazuje legenda, można otworzyć tylko za pomocą tajemniczych kabalistycznych formułek, a odkrywcą może zostać tylko chrześcijanin.

Francuzi nazywają monument Grobowcem Chrześcijanki, Hiszpanie – Fuesa de la Cristiana, a Arabowie – Grobem Rzymianki albo Rumi.

Istnienie skarbu mają uwiarygodniać dwie malownicze legendy.

Pierwsza mówi, że młody Arab imieniem Hadż-Ahmed był w niewoli u Hiszpanów i użalał się na swój ciężki los, każący mu przebywać tak daleko od słodkiej dziewczyny, pięknej i jasnoskórej Al Dżezair, której nie miał już nadziei nigdy ujrzeć. Pewnego dnia jego pan, słynny mag, złożył mu następującą propozycję:

– Posłuchaj mnie, Ahmedzie, uważnie i z dobrą wolą, a odzyskasz wolność. Ofiarowuję ci ją pod następującym warunkiem. Zaraz po powrocie na ziemie Afryki udasz się do Grobowca Chrześcijanki i wejdziesz na jego szczyt. Starannie odszukasz środek geometryczny i w tym precyzyjnie określonym miejscu spalisz pergamin, który ci powierzę. Czy się zgadzasz?

Hadż-Ahmed zaakceptował z radością układ, wsiadł na pokład galery i gdy tylko dotarł do Afryki, udał się do grobowca, którego stopnie pokonał bez najmniejszego trudu. Odszukał geometryczny środek sklepienia i tak jak przyrzekł, spalił otrzymany od maga pergamin pokryty znakami kabalistycznymi.

Grób otworzył się nagle ze strasznym trzaskiem i jak wybuchający wulkan zaczął wyrzucać ze swego wnętrza cudowny deszcz złota, drogocennych kamieni i klejnotów...

Kolorowym i cudownym strumieniem dukaty, piastry, ecu, pistole, szmaragdy, rubiny, diamenty, perły, ametysty i opale wylatywały i wylatywały, jakby źródło skarbu nigdy się nie miało wyczerpać! Wspaniałe sztuczne ognie na podobieństwo tajfunu pędziły w obłoki i podążały w kierunku Hiszpanii, bez wątpienia przyciągane zaklęciami maga.

Kiedy Ahmed domyślił się cudu, zapragnął mieć udział w skarbie, zarzucił więc swój burnus na otwór krateru. To przerwało działanie czaru i grobowiec przybrał dawny podniszczony kształt; monety i klejnoty przestały wytryskiwać jak miliardy iskier.

W burnusie młody Arab znalazł tylko jeden zatrzymany w fałdzie drogocenny kamień, ale tak piękny i czysty, że dostał za niego tyle pieniędzy, iż starczyło mu ich do końca szczęśliwego życia z piękną Al-Dżezair.

Druga legenda jest bardziej jeszcze zdumiewająca.

Pewien arabski pasterz miał zwyczaj pasania swych krów w pobliżu grobowca. Zauważył, że każdego wieczoru brakowało jednej czarnej krowy, najpiękniejszej ze stada, ale następnego ranka odnajdywał ją w jak najlepszej formie pośród innych krów w stadzie.

Ponieważ grobowiec był zamknięty z każdej strony, nie mógł zrozumieć cudu.

Zdecydowany dowiedzieć się, jak się mają sprawy, schował się o zmierzchu za kępką zarośli i zaczaił na czarną krowę. Zobaczył nagle, że zbliżyła się do ruin i zaczęła pocierać bokiem ścianę, która rozstąpiła się i po pochłonięciu krowy na powrót się zamknęła.

Pasterz o mało nie oszalał ze strachu, bo jak przypuszczał, odkrył sekret dżinów, a wiedział, że za tego rodzaju niedyskrecje płaci się przeważnie życiem. Ale kiedy ukazała się jutrzenka, pasterz wciąż żył, a stado powróciło i w komplecie pasło się spokojnie od wczesnego ranka.

Pasterz uspokoił się i pomyślał, że dżiny nie miały nic wspólnego z tą sprawą i że być może on biedny i nieznany mógłby zdobyć bogactwo i sławę przenikając tajemnicę grobowca ze skarbem.

Następnego wieczoru zbliżył się do ruin, starając się podążać krok w krok za krową, a kiedy zobaczył, że znika w magicznym otworze, uczepił się zwierzęcego ogona i wszedł wraz z krową do jaskini.

Mur zamknął się bezszelestnie i zachwycony pasterz znalazł się na progu wielkiego pomieszczenia, jaśniejącego światłem i zasłanego jak żwirem obfitością niesłychanych bogactw. Były tam kufry, w których lśniły szlachetne kamienie i konewki z cyzelowanego złota, kolumnady srebrnych monet, kasetki pełne rubinów, misy wypełnione szmaragdami, a pośrodku czarna krowa spokojnie karmiła mlekiem syna czarownicy Halluli, leżącego w kołysce z masywnego złota, inkrustowanej diamentami wielkimi jak kurze jaja.

Pasterz załadował łup tak duży, jak się dało, do burnusa i wykorzystując wyjście czarnej krowy, opuścił grobowiec.

Jeszcze wiele razy odbył taką samą podróż, zabierając pełne worki drogocennych kamieni, ale skarb był tak obfity, że nawet nie został w widoczny sposób naruszony!

Skarb ten wciąż istnieje i ktoś, komu uda się otworzyć mury grobowca, będzie mógł z niego czerpać pełnymi garściami. Tyle tylko, że trzeba wiedzieć, jak to zrobić. I to wszystko.

Z innych jeszcze przekazów wynika, że skarbu strzeże gigantyczny wąż – Aguerra.

Powiadają też, że do centrum grobowca można dotrzeć podziemnym przejściem, biorącym początek nad brzegiem morza w ustronnej zatoczce, jednak wejście do korytarza zagradza wyostrzony sierp, kołyszący się w szybkim rytmie i nie pozwalający przejść.

Sierp nazywa się „Ras bel Mendżel" (Głowa dla Sierpu) i próba sforsowania tej przeszkody grozi śmiercią.

Oto dlaczego skarb z Grobowca Chrześcijanki jest nie do zdobycia, jeśli się nie umie przezwyciężyć czarów.

Afryka nie posiada monopolu na magiczne skarby. Francja, kraj zdrowego rozsądku, w swym skarbowym panteonie ma najbardziej szalone historie i najbardziej racjonalnie wytłumaczalne. Stąd bez wątpienia bierze się słynna właściwa miara, której wyczucia nie posiadała, oj nie, ciekawa baronowa Martine de Bertereau Beausoleil, mineralog i radiestetka, będąca przedmiotem zainteresowania kronik w połowie XVII wieku.

Nikt nigdy nie był tak bogaty, jak mogłaby być baronowa de Beausoleil, jeśli jej sztuka byłaby na miarę wiary w bajeczne skarby, które odkryła, a właściwie twierdziła, że odkryła.

Jean du Chastelet, baron de Beausoleil, równie szalony jak ona, mąż Martine de Bertereau, zwanej czarownicą, autor księgi zaklęć, którą przytoczymy poniżej, miał pełne zaufanie do talentów poszukiwaczki skarbów. Księga zatytułowana *Odzyskanie Plutona* rozpoczyna się takim wstępem, adresowanym do króla:

„Dziś jednak Bóg otwiera oczy i pozwala poznać Waszej Najdostojniejszej Eminencji, za moim pośrednictwem, za pośrednictwem kobiety, którą Boskiej Dobroci podobało się, być może, posłużyć, by ujawnić skarby i bogactwa zamknięte w kopalniach i odkrywkach górniczych Francji, tak jak kiedyś zechciała się posłużyć Joanną d'Arc dla odepchnięcia Anglików od dziedzictwa pozostawionego Waszej Wysokości przez przodków".

Krótko mówiąc, po przyrównaniu się do Dziewicy, Martine de Beausoleil przedstawiła swe umiejętności, odkrycia i sposób wykorzystania ich przez państwo francuskie.

„Byłam w najgłębszych kopalniach i jaskiniach, gdzie bardzo często można napotkać maleńkie krasnoludki o wzroście od trzech do czterech cali, starych i ubranych tak jak górnicy, to znaczy w starą suknię i skórzany fartuch zwisający od pasa, w białą opończę z kapturem, z lampą i pałką w ręku.

Odwiedziwszy wiele pracowni topienia metali, asystując przy oddzielaniu tego, co pospolite, od tego, co czyste, próbując dokonywać doświadczenia i robiąc to przez długie lata, mogę sobie pozwolić na wygłoszenie pięciu zasad postępowania, które powinny prowadzić do zgłębienia materii kopalń, metali, wody i źródeł:

1) przez otwarcie ziemi, która jest najbardziej i najmniej wrażliwa,

2) przez trawy i rośliny splątane na wierzchu,

3) przez smak wody, która z niej wypływa,

4) przez opary otulające góry i snujące się po dolinach w czasie wschodu słońca,

5) za pomocą szesnastu instrumentów metalowych i hydraulicznych, do tego stosowanych".

Stosując siedem metalowych rózeg, ta pionierka radiestezji odkryła znakomite skarby, takie jak:

– w pobliżu Saint-Beat w Pirenejach bogate złoża złota,

– pół godziny od Saint-Bertrand wielkie złoże kryształów i dwa miedzi pomieszanej ze srebrem,

– w Bestide-Delpeyrat w Langwedocji pięć złoży gagatu[1] i jedno siarczanu,

– blisko Tournon sześć złoży siarczanu ołowiu lub lakieru,

– Valay i Gevaudan: złoża szafiru białego i błękitnego, bardzo dobrej jakości,

– Samatan: trzy złoża turkusów,

– w Pagu w Owernii: złoże ametystów,

– pod zamkiem Usson, w winnicy w Anthoine du Vert: złoże lazurytu,

– w pobliżu miasta Die (Delfinat): kamienie i diamenty podobne do odnalezionych w Alençon.

We Francji, jak twierdzi baronowa, można znaleźć wszystko z wyjątkiem korzeni tureckich, potworów Afryki, słoni, lwów i innych zwierząt pochodzących z Azji, kanadyjskich bobrów itp.

„Są pokłady wszystkich szlachetnych kamieni: ametystów, agatów, szmaragdów, hiacyntów, rubinów, granatów, szafirów, turkusów, a nawet diamentów, nie mówiąc o potokach, w których można znaleźć perły i wszelkiego rodzaju kamienie. Wszystkie metale znajdujące się w złożach mają właściwość obrastania mętnym roztworem, który wychodzi z substancji metalicznych, tworząc następnie coś w rodzaju oleju albo masła, pod którym często znajdujemy złoto i czyste srebro itp.“

W zakończeniu baronowa oddawała swą czarodziejską różdżkę na usługi króla, by wydostać wszystkie te bogactwa z ziemi.

Jej bardzo dziwny memoriał został przyjęty przez Radę Królewską, ale nie doczekał się wykonania, ponieważ rozsądny kardynał Richelieu kazał zatrzymać baronową wraz z mężem i osadzić ich w domu wariatów.

---

[1] Gagat – odmiana węgla brunatnego; smolistoczarny, błyszczący, daje się łatwo obrabiać i polerować; używany od czasów prehistorycznych do wyrobu ozdób.

W 1740 roku skarby i czarnoksięstwo połączyły się pod auspicjami Jean-Baptiste'a Potina, różdżkarza, szarlatana i oszusta pierwszej wody.

Naiwni mieszczanie i wieśniacy ściągali do Dourdan, gdzie Potin wraz ze swymi wspólnikami kazał sobie słono płacić za odkrywanie skarbów przez inwokacje do Astarotta[1], jego osiągnięć i wielkości.

Odkrycie nie jest tu właściwym słowem, ponieważ Astarotte nigdy nie przyniósł zaszczytu swej reputacji, a Potin nie spełnił swych obietnic.

Pewien stolarz, naciągnięty na tysiąc funtów, złożył skargę i 22 sierpnia 1744 roku żandarmeria odstawiła do Bicêtre „całe to zbiorowisko oszustów i wariatów", jak mówią kronikarze pisząc o poszukiwaczach skarbów za pomocą czarów.

Czy książę Cherenzii Lind, Maha Choan, Pan Świata i władca innych miejsc także został zamknięty?

Ten paranoik w swej merkantylnej i groźnej osobie połączył – jeśli tak można powiedzieć – tupet baronowej de Beausoleil, nieświadomość Aymara Varnaya i szelmostwo Potina, trzeba jednak przyznać, że w malowniczy sposób!

Gdyby jego bajeczny skarb z Agarty naprawdę istniał, można by w otchłani niepamięci pogrążyć wszystkie skarby świata albo przehandlować je na sławnym pchlim targu w Saint-Ouen!

A oto początek zdumiewającej historii, która była przedmiotem światowych kronik w 1947 roku.

Jakoś w połowie czerwca 1947 roku na lotnisku Orly wylądował lecący z Kuby człowiek o słusznej posturze i twarzy buldoga, za cały bagaż posiadający dwa pudełka cygar H. Upmanna. Oczekiwała go mała grupka, która oddała mu cześć. Gdyby podróżny był prezydentem albo królem, nie okazywano by mu większego szacunku.

---

[1] Astarotte – szatan, teolog i filozof w heroikomicznym poemacie Morgante Luigi Pulciego.

Dla witającej go grupki i jakichś dwu tysięcy zwolenników i wtajemniczonych Wielkiej Powszechnej Konfraterni był kimś o wiele ważniejszym: człowiek z cygarami Upmanna był ni mniej, ni więcej, tylko Panem Świata!

Niejeden chciałby znać jego faktyczną pozycję społeczną! Ale oczywiście nikomu nie pozwolono by na jakąkolwiek kontrolę, która zresztą niczego by nie wykazała, bo Pan Świata nie mógł jak zwykły ciura być wyposażony w metrykę urodzenia i dowód osobisty wydany przez ludzkie władze cywilne!

Słowem, ten najwyższy władca rościł sobie prawo do tytułów takich jak Maha Choan (Wielki Szef), Kut Humi Lal Singh, książę Cherenzii Lind, a jego stałym miejscem zamieszkania było podziemne królestwo Agarta w Tybecie, gdzieś między Lhassą i Chigatze, położone pod ogromną masą Himalajów.

Pan Świata albo Maha Choan został oficjalnie przyjęty przez pewnego maga, ucznia Bułgara Petera Denowa, który swego czasu nauczał filozofii w swej świątyni w Sèvres pod Paryżem. Dla tych specjalistów od mądrości i najwyższego uduchowienia nie istniały żadne wątpliwości co do tego, że książę Cherenzii Lind był Wszechmocnym Panem Świata, szefem Koła Dwunastu Mędrców, którzy z Agarty tybetańskiej decydowali o losach planety.

Kiedy Mistrz wyznaczył swą rezydencję przy rue Lesueur w Paryżu, zbiegli się jego wierni, boso, już w transie, by otrzymać święte błogosławieństwo. Pozostali tam cały wieczór na kolanach modląc się, podczas gdy Pan Świata i mag rozprawiali na temat wielkich kosmicznych problemów. Przynajmniej tak przypuszczali naiwni!

W rzeczywistości dwaj mistrzowie, z których jeden (Maha Choan) prowadził drugiego służbowymi schodami, udawali się zgłębiać znikomości ludzkich przyjemności w „Folies-Bergères“, a potem dla uzupełnienia edukacji do drugiej świątyni o podobnym przeznaczeniu, do kabaretu „Tabarin“.

I kiedy tancerki francuskiego kankana machały nogami, a kupa ślicznych dziewcząt pokazywała swe pogańskie wdzięki, dwaj kompani degustowali szampana, wspominając modlące się dewotki, w tym samym czasie wychwalające ich boską moc.

W kilka dni później po wielu przemowach, seansach mądrości i inicjacji oraz po innych spirytystycznych prywatkach Pan Świata wezwał prasę i odsłonił najbardziej zdumiewające rewelacje, jakie kiedykolwiek dały się słyszeć z jego strony:

„Jestem potomkiem Dżingis Chana i reinkarnacją Kuta Humi, założyciela Towarzystwa Teozoficznego. Tytuł Maha Choan nadała mi Wielka Rada Agarty, zebrana na kongresie.

W Tybecie Agarta jest podziemnym królestwem wtajemniczonych, słowo to jednak oznacza także wszystkich mędrców i wielkich nauczycieli, którzy rządzą światem.

Królestwo to, założone przed pięćdziesięciu sześciu tysiącami lat, nie jest mitem. Istnieje rzeczywiście i łączy się z innymi himalajskimi świątyniami podziemnymi korytarzami, niezwykle długimi, osiągającymi nawet osiemset kilometrów długości. Zamieszkują je istoty ludzkie, ale także dżiny, istoty obdarzone wielką inteligencją, nie posiadające jednak ciała. Dżiny żyją we wnętrzu ziemi, nigdy nie wychodzą na powierzchnię i żywią się siłami eterycznymi.

W Agarcie żyją także istoty niższego rzędu, uzbrojone w długie szpony i zaopatrzone w skrzydła, takie same jak skrzydła nietoperzy. Są inteligentne i ich cywilizacja, aczkolwiek innego rzędu, może być porównywalna z ludzką. Później, w miarę postępu ewolucji, staną się ludźmi. To są właśnie gnomy, sylfy i chochliki z waszych legend.

Podziemne królestwo Agarty posiada stolicę pod Tybetem, ale rozciąga się także pod wszystkimi wielkimi górami na planecie. Cywilizacja dla wtajemniczonych jest tylko cywilizacją duchową i mentalną. Nie posiadamy maszyn, ale biblioteki, o jakich nie macie nawet pojęcia, muzea malarstwa – z prawdziwą *Giocondą* – i rzeźby, a panujące tam artystyczne ożywienie wydałoby się wam zdumiewające.

Nasza biblioteka kryje w sobie cenne księgi z trzykrotnie palącej się Biblioteki Aleksandryjskiej.

Posiadamy również dla samej przyjemności patrzenia najpiękniejsze klejnoty, jakie stworzyła ziemia od swych początków: diamenty sto razy większe i czystsze od «Regenta», szmaragdy wielkości jaja, wspaniałe rubiny z wisiorami, jakich nie jesteście sobie w stanie wyobrazić.

Bogactwa te i wiele innych, o których nie wspomniałem, zebrane są w muzeum o sklepieniu z kryształu górskiego i podłogach z masywnego złota. To wszystko stanowi materialny skarb Agarty.

To wszystko istnieje naprawdę, a cały świat będzie musiał się z tym pogodzić, kiedy pozwolę dziennikarzom i filmowcom przyjechać do nas i zrobić reportaż. Przed wyjazdem z Paryża uczynię cud, by przekonać nieufnych".

Powyższe deklaracje są słowami samego Mahy Choana, Pana Świata, wypowiedzianymi w czasie konferencji prasowej przy ulicy Lesueur, w obecności dziesięciu dziennikarzy.

Niezależnie od tego, Maha Choan zapewnił, że mówi dziewiętnastoma językami i że zgadza się wtajemniczyć we wszystkie dziedziny wiedzy francuskich uczonych, takich jak Jean Rostand, Broglie, Joliot-Curie, Tresfouel itp. Od spotkania mag uchylił się w ostatnim momencie! Został oskarżony o oszustwo, a on skazał oskarżycieli „na śmierć wyrokiem mędrców z Agarty", co z kolei wywołało zabawną dyskusję w Klubie z Przedmieścia w dniu 2 grudnia 1947 roku.

Przyłapany na kłamstwie we Włoszech, gdzie profesor Tucci nie miał żadnych trudności z udowodnieniem, że fałszywy mistrz i fałszywy mędrzec nie miał pojęcia o języku tybetańskim, awanturnik przeniósł się na jakiś czas do Paryża, skąd pewnego dnia zniknął nie pozostawiając adresu i udał się na poszukiwanie nowych naiwniaków.

Niestety! Nie należy bardziej wierzyć w skarby Agarty niż w tożsamość Mahy Choana, księcia Cherenzii Lind i Pana Świata za wszelką cenę.

A bardzo szkoda!

W 1951 roku Marcel Bruegghe z Damville w Eure zaalarmował prasę i opinię publiczną rzekomym odkryciem podziemnego celtyckiego miasta. Ten dzielny człowiek, nawiedzony w najmniej szlachetnym sensie tego słowa, kazał nawet wydrukować prospekty, w których po relacji z odkrycia apelował do szczodrości ewentualnych subskrybentów na rzecz stworzenia funduszu eksploatacji miasta.

Prospekt kończył się taką naiwną obietnicą:

„Za każde ofiarowane tysiąc franków zostanie wypłacona rekompensata w chwili zakończenia przez notariusza inwentaryzacji wszystkich przedmiotów znajdujących się w mieście. Wszelkie dary na rzecz celtyckiego miasta należy przesyłać do Coulonges przez Damville w Eure".

Afera wybuchła w związku ze zwykłą detekcją radiestezyjną. Miasto wraz ze swymi cudami nie zostało odkopane i wszystko śpi jeszcze pod trzydziestometrową warstwą ziemi w pobliżu farmy w Coulonges.

Wielki celtycki kapłan tonem pełnym wiary opisywał przepych, szczegóły i plany miasta, będąc w nim wielokrotnie, jak precyzował, jako ciało astralne!

– Miasto to – opowiadał Marcel Bruegghe – zostało wybudowane pod ziemią trzynaście tysięcy lat temu przez Celtów z zamiarem pozostawienia przyszłym pokoleniom świadectwa o ich bogactwach i wysoko rozwiniętej cywilizacji. Ma ono dwa wejścia zamknięte portalami z nierdzewnego metalu, rozciąga się na powierzchni sześciu tysięcy czterystu hektarów i położone jest na trzech piętrach.

Na pierwszym poziomie znajduje się cmentarz, drugie zawiera cyrk, hale, silosy i rezerwuary wody pitnej; trzecie jest rozległym muzeum, w którym można oglądać wystawione za szkłem mumie monstrualnych zwierząt, istot ludzkich i skarbów należących do Celtów: wypracowane złote przedmioty, drogocenne kamienie i kawałek prawdziwego kamienia filozoficznego, wykrojonego w kształcie serca ze szmaragdu.

Trudno było uwierzyć w tak ekscentryczną historię, ale Marcel Bruegghe zapewniał, że taki opis celtyckiego miasta był zapisany na świętych tabliczkach naszych odległych przodków.

Twierdził także, że posiada niektóre z tych dokumentów, pozostałe zaś miały być własnością Komitetu Celtyckiego w Glasgow.

Zostały podjęte pewne prace, mające na celu odsłonięcie wejść do bajkowego miasta. Niestety! Była to czysta strata czasu i kosztów, a subskrybenci wciąż oczekują na swój udział w skarbie Celtów!

W istnienie skarbu Siedmiu Pieczęci nie dałoby się wierzyć, gdyby jego odkrycie nie stało się formalnym świadectwem rzeczywistości nieprawdopodobnej, tajemniczej i niezwykłej przygody.

Ponadto, mimo odkrycia, skarb ten strzeże wciąż swego sekretu i domaga się dalszego ciągu, mogącego się urzeczywistnić jedynie w ramach okultyzmu.

Pani A.F., legatariuszka skarbu Siedmiu Pieczęci, nie miała żadnych okultystycznych doświadczeń, zanim zjawiła się jej we śnie jakaś postać ubrana w kaftan i krótkie do kolan spodnie w kolorze bladowiśniowym, którą z tego powodu nazwała Rycerzem Róży.

Nie bez pewnej obawy zwierzyła się mężowi z zadziwiającego objawienia i opowiedziała, jakiej rady udzielił jej fantom, ponieważ pan F. nie wierzył w żadne nadnaturalne zjawiska.

– To tylko sen bez ładu i składu, i w dodatku nieciekawy.

Jednakże pani F., przejęta snem i w dalszym ciągu oglądająca we śnie tę samą zjawę, notowała w swym dzienniczku rewelacje, poznawane w stanie nieświadomości.

Aż do tego momentu wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia albo z halucynacjami, albo ze zwykłym, egzaltowanym snem, śnionym przez osobę o bujnej wyobraźni, co mieści się w granicach banału.

Pierwsze widzenia Rycerza Róży miały miejsce w 1951 roku, potem na jakiś czas ustały i cała historia uległa zapomnieniu. W 1952 roku pan F. kupił zrujnowany dom w Seine-et-Marne, niedaleko Provins, kazał go wyremontować, a w czasie weekendów znalazł sobie przyjemną rozrywkę w pracach przy porządkowaniu i uprawianiu ogrodu. Postanowił także zniwelować park zasypując starą piwnicę, której pierwsze schodki przeniósł wraz z murarzem w inne miejsce.

Pewnej nocy po kolacji przechadzał się spokojnie wraz z małżonką po posiadłości, kiedy pani F. nagle uczyniła dziwną uwagę:

– Popatrz na tę błękitną poświatę, która idzie przed nami!

– Nie widzę niczego – odpowiedział pan F. – wciąż masz jakieś przywidzenia!

– Ależ tak... widzę błękitną poświatę i ona właśnie zatrzymała się u wejścia do piwnicy, gdzie kopałeś po południu. Trzeba sprawdzić, mam przeczucie, że tam znajduje się skarb. Zresztą Rycerz Róży przepowiedział mi, że go znajdę, i jak wiesz, zanotowałam w pamiętniku jego opis i rysunek tajemniczych znaków wygrawerowanych na monetach, które się na niego składają.

– W tym miejscu z pewnością nie może być skarbu, ponieważ wykopywałem tam właśnie stopień i poruszyłem całą ziemię dookoła.

A jednak ku zdumieniu pana F. wystarczyło lekko tylko ruszyć ziemię, by odsłoniła się włoska szkatułka wykładana macicą perłową, sprawiająca wrażenie osiemnastowiecznego przedmiotu.

W tym momencie pan F. mógł powziąć niegodne podejrzenie co do dobrych intencji małżonki: czy to ona przypadkiem nie zakopała szkatułki, żeby uwiarygodnić swe szalone halucynacje?

Ale ta nieprzystojna hipoteza nie zgadzała się z wielką uczciwością pani F. i z zawartością znaleziska: szkatułka kryła w sobie maleńką siatkę na włosy z pereł, niezbyt starą, ze skarabeuszem, niewątpliwie służącym za skrytkę, i czerwone puzderko z kości słoniowej, rzeźbione w niezliczoną ilość swastyk, zawierające zbiór odważników ze złota i medale wykonane ze srebra albo metalu tak spatynowanego i zużytego, że bez wątpienia liczne generacje musiały je nosić na piersi.

Już przy pierwszej ekspertyzie okazało się, że niektóre z tych medali, najstarsze, pochodziły z XV wieku.

Dość ryzykowne byłoby, jak się wydaje, podejrzewanie kogokolwiek o umyślne ukrycie kuferka w świeżo poruszonej ziemi, ale fakt taki okazał się całkowicie niemożliwy, kiedy w jakimś zagłębieniu piwnicy, w pobliżu pierwszego znaleziska, państwo F. odkryli dwa miedziane etui, bardzo zaśniedziałe, zawierające siedem wspaniałych pieczęci, z których największa miała wielkość dłoni, a wszystkie pokryte były grawerowanymi znakami kabalistycznymi, templaryjskimi, masońskimi, hebrajskimi, arabskimi, czerwonokrzyskimi[1] i innymi, bardzo trudno rozpoznawalnymi.

Te pieczęcie są najprawdopodobniej znakami lub płytkami rozpoznawczymi – „markami" – i bardzo możliwe, że nigdy nie służyły do uwiarygodnienia żadnego dokumentu pisanego, dotyczyły natomiast z pewnością jakiejś osobistości, jej obecności, w każdym razie w niezbity sposób i dla niejasnych powodów, ale być może uzasadnionych, przypominały siedem pieczęci z *Księgi Apokalipsy*.

Pieczęcie czy płytki z piwnicy oświetlonej promieniami niebieskawego światła, spatynowane, o niezwykłych kształtach zębatych kół, sześcioboków czy prostokątów, z tajemniczymi rycinami, wśród nich gdzieniegdzie rysunek rozkwitającej róży, stanowią najbardziej podniecający, otoczony najbardziej zdumiewającą tajemnicą i okultyzmem skarb, jaki kiedykolwiek oglądano.

Niestety! Niewielu ludzi będzie miało przywilej podziwiania ich. Z odkryciem związanych jest tyle niezwykłych zbiegów okoliczności, że pani F. nie zamierza wystawiać tajemniczych płytek na bezmyślną ciekawość profanów.

Chodzi bowiem niewątpliwie o tajemny skarb i tajemnicze stowarzyszenie, na którego temat aż do dziś ani znawcy symbolizmu, ani specjaliści od kryptografii, ani znający się na Dalekim Wschodzie czy Wielkiej Loży Francji nie zdołali dostarczyć wyczerpującego wyjaśnienia.

Bilans tej przygody, który sporządzono analizując krytycznie i bez niedomówień fakty, odrzucając szarlatanerię zamawiaczy, ale otwierając się uczciwie na wszelkie przypuszczenia i oczywistości, jest następujący:

---

[1] Rycerze Czerwonego Krzyża – inna nazwa zakonu templariuszy.

– Skarb został znaleziony przez panią F. w wyniku nie dającego się zaprzeczyć widzenia, wyprzedzającego o kilka miesięcy samo odkrycie.

– Nie może być mowy o oszustwie, ponieważ było materialnie niemożliwe stworzenie fałszywego skarbu, składającego się z przedmiotów tak cennych i tak rzadkich, jakich nie posiada żadne muzeum ani kolekcjoner.

– Skarb składający się z pieczęci, plakietek i medali, których nie są w stanie zidentyfikować specjaliści symbolizmu, jest prawdopodobnie legatem jakiegoś tajemniczego stowarzyszenia, ukrytym przypuszczalnie przez ostatniego jego członka (posiadacza wszystkich znaków rozpoznawczych poprzedników) przed śmiercią, która nastąpiła pewnie w dramatycznych okolicznościach, takich na przykład jak wojna 1914–1918 roku, a może w jakichś określonych tajemniczych celach.

– Niezwykłe okoliczności odkrycia zawierają w sobie następstwo, ciągłość okultystyczną, która wydaje się oczywista i konieczna.

Pani F. stała się więc legatariuszką jakiejś nieokreślonej misji, mającej na celu, jak przypuszczamy, odrodzenie tajemniczego stowarzyszenia. Plakietki ze względu na kształt, wygrawerowane znaki i bezsporną „obecność“ naświetlają, poruszają, przemawiają konkretnym, choć jeszcze nie znanym językiem. Jasny jest jedynie ogólny sens: tajne stowarzyszenie!

Teraz pozostaje tylko czekać albo sprowokować ciąg dalszy tej tajemniczej historii, która po nadejściu właściwego czasu, jak się wydaje, chce się ujawnić i odżyć.

Wszelako uwagę zwraca i inna historia. Po masakrze templariuszy w XIV wieku, jak udowodniono, zakon ostał się prawdopodobnie pod różnymi postaciami: jedna była rytualna, zarządzana przez Guicharda de Beaujeu, inna bardziej ezoteryczna, istniejąca już od dawna. Pieczęcie były znakami przynależności do tego bardzo hermetycznego zakonu, oddającego się głównie alchemii we współpracy z wtajemniczonymi żydami i muzułmanami, wielkimi ekspertami w tej sztuce.

Jacques Coeur, którego ogromna fortuna została skonfiskowana przez Karola VII, a później przywrócona dzięki, jak powiadają, złotu filozoficznemu, należał do tego hermetycznego zakonu. Także „piloci" Jana II z Portugalii zmuszani byli do chronienia się w ustronnych miejscach Wysp Azorskich lub Madery, z dala od ciekawskich, po wyprawach – na dziesięć lat przed Kolumbem – w poszukiwaniu brazylijskich złóż złota!

Bardzo pociągająca jest oczywiście wizja tych pilotów, noszących na piersiach małe, zużyte przez wieki pocierania o skórę medale, przekazywane z pokolenia na pokolenie, biorące udział we wszystkich wielkich morskich podbojach na planecie, przeznaczone, być może, do ochrony przyszłych konkwistadorów kosmosu.

Pani Grazia, znakomity kryptograf Klubu Poszukiwaczy Skarbów, sądzi, że pieczęcie należały do alchemików... a dokładnie do rycerzy alchemików.

Dopatruje się nawet niejasno przedstawionego na ośmiobocznej płytce sekretu Wielkiego Dzieła w postaci siedmiu faz rytualnego procesu z efektem końcowym w postaci złota.

Jakkolwiek by było i nawet jeśli nigdy nie uda się rozjaśnić tajemnicy, skarb Siedmiu Pieczęci jest na pewno najbardziej tajemniczym w historii skarbów. Ci, którzy dostąpili przywileju jego kontemplacji, mają wciąż w pamięci cudowny i magiczny obraz płytek z wygrawerowanymi, nie zbadanymi znakami.

SKARBY ODWIECZNE... SKARBY WIDMA

Skupiając na sobie ustawiczne ataki poszukiwaczy, każdy skarb ulega w końcu rozkruszeniu, jeśli nawet nie faktycznemu, to przynajmniej domniemanemu.

Skarb Inków, najznakomitszy ze wszystkich, wciąż nosi nienaruszoną aureolę, bo nic nie wskazuje na przypuszczenie do niego szturmu. Natomiast z pewnością zatoka Vigo wiele straciła ze swego prestiżu, odkąd ludzie-żaby bezskutecznie penetrowali wraki na jej dnie w latach 1955–1961. Skarb ze statku „Duque di Florencia“ albo skarb księcia d'Argyll spotkał taki sam los, aż stał się czymś w rodzaju skarbu z błota, po którym już się nikt nie spodziewa niczego! Można nawet zastanawiać się, czy istniał naprawdę, w każdym razie jego pochodzenie jest nie bardzo udowodnione.

Po pogromie Niezwyciężonej Armady wielki galeon „Duque di Florencia“ wpłynął dla wytchnienia do zatoki Tobermory w północnej Szkocji we wrześniu 1688 roku z zamiarem dokonania naprawy uszkodzeń i zaopatrzenia w żywność.

Między Szkocją i Hiszpanią panował pokój, niemniej klan Campbellów zaatakował galeon, a nie mogąc go zdobyć, zaproponował pokój. W zamian hiszpański kapitan Pereira miał pomóc Lachlanowi Macleanowi, szefowi Campbellów, pokonać wrogi klan Mac Donaldów.

Ekspedycja powiodła się i Pereira po wyremontowaniu „Duque di Florencia" przygotowywał się do podniesienia kotwic, kiedy pojawił się w charakterze ambasadora syn Macleana, żądając za żywność zapłaty w złocie.

Hiszpański kapitan uważając, jak się wydaje słusznie, że wypłacił się już wojaczką, po prostu uwięził młodego wysłannika. Ten sądząc, że jest zgubiony, podłożył ogień pod materiały wybuchowe i wysadził statek. Galeon legł w mule na głębokości osiemnastu metrów, „na rzut kamieniem od brzegu".

Spadkobiercą wraku, na skutek decyzji (podważanej zresztą) króla Karola I z 1641 roku, został hrabia d'Argyll, potomek Macleana.

Hiszpańskie władze zaprzeczyły w XVII wieku, by galeon przewoził na swym pokładzie skarb, co wygląda na bardzo prawdopodobne, jednak tradycja, słusznie czy niesłusznie, mówi o dwóch milionach funtów złota, biżuterii i dublonach.

Regularnie poszukiwany skarb Monomotapy nigdy nie przestał sprawiać zawodu.

Monomotapa jest prawdopodobnie starożytnym Ofirem króla Salomona, w centrum Czarnej Afryki, a tradycja lokuje w nim kopalnie złota i ukryte bogactwa kafryjskich[1] królów.

Wystawiając się na takie same rozczarowania, Amerykanie każdego roku oddają się namiętnym poszukiwaniom pseudoskarbu pirata Jeana Lafitte'a, który zatopił swą fregatę „La Fierté" w błotnistych wodach zatoki Galveston, w pobliżu Wallisville (Teksas).

A cóż można powiedzieć o skarbie z Gisors (Eure), odkrytym przez Rogera Lhomoya we wspaniałym podziemnym kościele? I o bajecznym skarbie Rommla, którego istnienie wynika jedynie z niedorzecznych i dziesięciokrotnie odwoływanych deklaracji czeskiego nurka, Petera Fleiga, eks-esesmana, który miał jakoby zatopić skarb zamknięty w sześciu skrzyniach gdzieś na południe od Bastii na Korsyce?

---

[1] Kafrowie – nazwa nadana przez Arabów południowym i wschodnim ludom Bantu.

Fleig twierdził, że istniejący przy Afrika-Korps oddział specjalistów, „Devisenschutzkommando" (DSK), miał za zadanie grabienie banków i zbieranie skarbu wojennego. 8 maja 1943 roku ten właśnie skarb DSK miał być przewieziony z Bizerty do portu włoskiego, gdzie zaczyna się jego prawdziwa odyseja.

– 17 września – zeznawał Fleig – kiedy przebywałem we włoskiej bazie La Spezia w pobliżu Genui jako nurek, zostałem zabrany na mały, szybki torpedowiec, który o zmierzchu wziął kurs na Korsykę.

Innym przesłuchującym Fleig zeznał, że był kwatermistrzem i że załadunek skarbu na rozkaz gestapo w Castellammare nastąpił w Zatoce Neapolitańskiej.

W każdym razie, przed wyjściem w morze podpułkownik Ludwig Dall zażądał weryfikacji zawartości sześciu drewnianych skrzyń, opasanych żelaznymi listwami i ważących, zgodnie z listem przewozowym, 10324 kilogramy. Wtedy właśnie Fleig pomagając unosić wieka skrzyń ujrzał „kolosalny skarb Afrika-Korps", nazywany obecnie skarbem Rommla.

W skład skarbu wchodziły:

- złote monety: ludwiki, dolary, piastry,
- sztaby złota i platyny,
- złote naczynia stołowe (!),
- cyboria, świeczniki, statuetki,
- kasetka drogocennych kamieni: 20 tysięcy karatów.

Następnie, cały czas pod ochroną, torpedowiec skierował się do Bastii, by tam dołączyć do konwoju niemieckich statków.

– Ale – mówił Fleig – przybywając wczesnym rankiem do Bastii, wpadliśmy w samo centrum bombardowania. Powietrzna eskadra amerykańska spowodowała pożary w całym mieście, a niemiecki konwój częściowo uległ rozproszeniu, częściowo został zatopiony lub spalony.

Co robić w takich okolicznościach?

Pułkownik Dall poprosił o radę dwóch towarzyszących mu oficerów i zdecydował spuścić skarb do morza bardziej na południu „zgodnie z otrzymanymi rozkazami" – jak twierdził.

Takie zeznania złożył Fleig w 1951 roku, ale w 1948 brzmiały one zupełnie inaczej: nie było mowy o bombardowaniu; skarb został złożony w jakimś bunkrze w Bastii, gdzie niemieccy esesmani prosili uprzejmie Czecha o asystowanie przy załadowywaniu skrzyń!

– Był to obraz z *Tysiąca i Jednej Nocy!* – można by powiedzieć. Esesmani zanurzali ręce w wielkich kufrach, wypełnionych diamentami, złotymi sztabkami i monetami, szlachetnymi kamieniami, perłami, cyborami, złotymi talerzami... zauważyłem także dwa płótna, podpisane Chagall i Picasso!

Wszystko, tak jak to bywa w romansach, w nieładzie, a warte co najmniej dwadzieścia milionów funtów szterlingów, a nawet sto miliardów franków w złocie!

W bunkrze stało sześć skrzyń o znanych nam wymiarach: 80 x 40 x 40 centymetrów.

Torpedowiec wyruszył ponownie w morze nocą ze skarbem na pokładzie, popłynął wzdłuż stawu Biguglia i w pobliżu ujścia Golo wygasił wszystkie światła. Nad świtem Fleig zanurkował i wyszukał kamienistą grotę, którą wcześniej wypatrzył na głębokości pięćdziesięciu pięciu metrów[1] i skrzynie zostały zanurzone wraz z bojami pływającymi pod powierzchnią wody.

Nie zapomniał oczywiście dokładnie określić miejsca!

Czech przedstawia tu dwie wersje:

Dall wymierzył położenie sekstansem i naniósł na mapę nawigacyjną. Fleig, mający tak krótką pamięć do wszystkich innych szczegółów, twierdzi, że odczytał na mapie i zapamiętał liczby określające położenie.

---

[1] Każdy nurek morski wie, że nie można niczego zobaczyć na głębokości pięćdziesięciu metrów o tak wczesnej porze dnia w październiku! Być może, Fleig miał wodoszczelną latarkę? Ale jak z tym wyszukać grotę, tym bardziej że dno morskie w tych okolicach jest płaskie jak step.

– Dall – jak zapewniał Fleig (w kilka lat później) – nie umiał określić położenia geograficznego. Wykonałem więc triangulację według celu, wybierając trzy punkty na wybrzeżu: dom stojący na wzgórzu, latarnię morską i kępę drzew. Dawało to następujące liczby: 340-208-262.

Tak więc skarb został zatopiony, a Fleig dowiedział się, że Dall wraz ze wspólnikami pracuje na własne konto, a nie na rozkaz rządu.

Tyle że ci podstępni i wiarołomni oficerowie biją wszelkie rekordy naiwności: pokazują skarb Czechowi... pokazują mu punkty orientacyjne... i pozostawiają przy życiu posiadacza tak cennego sekretu, by zaraz potem wrócić do La Spezia i dać się rozstrzelać na rozkaz gestapo!

Fleig został odsunięty od sprawy i wysłany na front wschodni, a po wojnie odnalazł się w 1948 roku w Baden-Baden, gdzie zameldował się we francuskiej żandarmerii wojskowej i ujawnił istnienie skarbu.

W tamtym okresie rozwiązał się cały wór z wyprawami, które zdopingowały osoby mniej roztropne.

Rząd francuski za pośrednictwem resortu dróg i mostów i pod nadzorem komisarza Jérôme'a Buoncuoriego organizuje w sierpniu pierwszą próbę wydobycia. Fleig sprawia wrażenie pewnego siebie, tyle że jeden bardzo poważny sprzeciw hamuje jego entuzjazm: w przypadku odnalezienia skarbu ma otrzymać jeden procent nieograniczony, a nie jedną trzecią skarbu, jak sobie życzył.

Niemiec kieruje statki wydobywcze, wyposażone w podnośniki, do ujścia Golo, gdzie zarówno na organizatorów, jak i na Fleiga oczekuje niespodzianka: nie widać żadnego domu na wzgórzu, brak także latarni, a jeśli chodzi o kępę drzew, to są ich setki!

Fleig bełkotał, czuł się nieswojo, ale jego kompani, ogarnięci gorączką złota, gotowi byli przełknąć każdą pigułkę. Przy maksimum dobrej woli odnaleziono trzy kilometry od brzegu domy miasteczka Poretta... (a może ruiny dawnego kościoła?) oraz kępę drzew, wybraną na chybił trafił.

Fleig nurkował i nurkował. Rozpoznawał, jak twierdził, konfigurację dna morskiego, ale skarbu... ani śladu!

Działając w rozpaczy i wróciwszy do triangulacji, przypomniano sobie o starej boi nawigacyjnej, którą na siłę można by ochrzcić nazwą „latarni", ale zlikwidowano ją i teraz trzeba było prosić w resorcie morskim w Marsylii o informację co do jej dokładnego położenia.

Przeszło kilka dni. Wreszcie Marsylia odpowiedziała. W miejscu gdzie stała „latarnia", umieszczono tyczkę i przystąpiono do obliczeń triangulacyjnych.

Ponowne nurkowania, znowu rozczarowanie i tym razem Fleig wyczuł początek załamywania się optymizmu ekipy, której członkowie zaczynali popatrywać na niego złym okiem. Zdecydował się więc zniknąć, ale wcześniej jeszcze był na tyle nieostrożny, że ukradł kamerę i lornetkę, co zaprowadziło go przed oblicze sądu w Bastii, a ten skazał go na dwa miesiące więzienia.

Uff! Jakoś wybrnął z kabały: lepsza więzienna cisza od wyczerpujących nurkowań i symulowania poszukiwań, a potem bezradności...

5 grudnia Fleig wyszedł z więzienia i zniknął. Wobec dziennikarzy złożył następujące zdumiewające oświadczenie:

„W więzieniu poznałem pewnego człowieka imieniem Mattei, interesującego się całą sprawą. Ale z drugiej strony, dowiedziałem się też, że gangsterzy mają zamiar mnie porwać po uwolnieniu, o czym powiadomiłem policję. Inspektorzy wypuścili mnie z aresztu nieco wcześniej, niż przewidywano. Ale i oni też chcieli teraz mnie pociągnąć za język. Aby ich wyprowadzić w pole, zaprowadziłem ich do Poretty, gdzie zesłana przez Opatrzność interwencja gangsterów znów mnie wybawiła z opresji. Doszło nawet do wymiany ognia i w te pędy wróciliśmy do Bastii. Umieścili mnie w areszcie domowym w hotelu Grimaldiego, skąd udało mi się wymknąć".

Kilka miesięcy później Fleig rozgłasza inną, jeszcze bardziej nieprawdopodobną wersję swej ucieczki:

„W hotelu Grimaldiego, gdzie zostałem umieszczony, miałem kochankę, Concettę Mirandi, w której bardzo szybko rozpoznałem wtyczkę. Jej zadaniem było wyciągnięcie ode mnie informacji o prawdziwym miejscu ukrycia skarbu.

Wcześniej nie chciałem niczego zdradzić Francuzom, nie gwarantującym mi udziału w wysokiej jednej trzeciej. Nigdy niczego nie zdradziłem Concetcie, ale pewnego dnia zastałem ją w moim łóżku z jakimś Niemcem, który natychmiast ujawnił mi swój znak rozpoznawczy w postaci liter SS pod pachą. Ja swój usunąłem wraz z kawałkiem skóry, ale ten człowiek wiedział, kim byłem, i przedstawił się:

– Komendant Rolf Dieterle. Byłem zastępcą pułkownika Dalla, a jestem mężem Concetty. Ma pan być gotowy do drogi, moi przyjaciele i ja przyszliśmy po pana. W żadnym wypadku nie wolno panu mówić tego, co pan wie... chyba że nam, oczywiście! Jutro rano znajdziemy się w bezpiecznym miejscu!"

Ponieważ dziennikarze wymyślili jeszcze więcej niż Fleig na temat tych przygód, nie można rozeznać się w tym wszystkim i oddzielić absurdalnych wymysłów Czecha od konfabulacji reporterów.

Nie wiadomo nawet, czy ciemnowłosa Concetta Mirandi naprawdę istniała, ponieważ jedyną kobietą, mogącą odegrać jakąś rolę (bardzo drugorzędną) w tamtych czasach, była jasnowłosa Rita!

Jak było, tak było, w każdym razie wielokrotnie próbowano wydobyć skarb.

1952 rok. Próba w wykonaniu zabijaki Loebenberga, Ruth Rondy i Henriego Helle'a na jachcie „Starlèna", która skończyła się rozbiciem jachtu przez pocztowiec „Sampiero Corso" w samym porcie w Bastii.

Wkrótce po tym wypadku inny jacht, „Fiancée du Gitan", dowodzony przez Helle'a, uległ awarii, której nie można było usunąć.

Można by pomyśleć: dziwny przypadek.

1954 rok. Poszukiwano statku „Comet", zaginionego u wybrzeży w okolicy Bastii. Korzystając z tego rozgardiaszu, pojawił się Fleig i zaczął na nowo kusić wydobyciem „skarbu Rommla". W tym samym roku Czech złożył wizytę marsylskiemu adwokatowi Cancellieriemu, proponując mu wspólną wyprawę. Adwokat przystał na to, ale pod warunkiem, że SS zostanie z całej sprawy wyeliminowana. Do tej wątpliwej operacji została zaangażowana firma poszukiwań podmorskich Lowella H. Voorhiesa z Genui. Operacja skończyła się niczym, a Fleig zniknął na zawsze.

– On zabiega o aresztowanie swych kumpli z SS – zapewniał mecenas Cancellieri, zmarły wraz ze swymi marzeniami 28 marca 1958 roku, na krótko przed otrzymaniem przez Lowella Voorhiesa listu i wycinka prasowego.

Wycinek donosił o zatrzymaniu w Niemczech byłego komendanta SS Rolfa Dieterlego. Biała kartka natomiast zawierała tylko kilka słów: „Oczekujcie na wiadomość ode mnie. Peter Fleig".

Od czasu tego rzekomego oświadczenia Czech zamilkł i nie udało się go odnaleźć.

Jeszcze w 1954 roku amerykański komunista z Tangeru, zwany Correyem, twierdząc, że jest w posiadaniu planu położenia skarbu Rommla, nawiązał kontakty z radzieckim ambasadorem w Paryżu Winogradowem, który przyznał mu sto tysięcy dolarów na koszty poszukiwań. Correy oczywiście zniknął bez wieści!

Cała sprawa nie była bynajmniej zakończona i znalazła, jak sprawa węża morskiego, swój fantastyczny ciąg dalszy.

W 1961 roku na Lazurowym Wybrzeżu zatrzymano złodzieja kosztowności, zwanego „Piękny Sasza", upłynniającego lub przechowującego szlachetne kamienie, do których nikt się nie przyznawał.

Skąd pochodziły te klejnoty i kamienie?

Sądzi się, że Sasza odnalazł jakiś wojenny skarb, niegdyś zrabowany Żydom, którym Niemcy wypłacili po wojnie znaczne odszkodowania, trzykrotnie przekraczające wartość strat, i to zniechęcało ich do zgłoszenia roszczeń. Niektórzy myślą, że być może był to skarb Rommla.

W kwietniu 1961 roku codzienna popołudniówka wróciła do sprawy przy okazji zabójstwa nurka, André Mattei:

„Kolejna ofiara skarbu Rommla.

Czyżby młody korsykański nurek, André Mattei, zabity kilkoma strzałami z kolta 11,45 w pobliżu miasteczka Propriano, był naprawdę, jak mówi się w barach miasteczka, odkrywcą skarbu Rommla? Czy udało mu się znaleźć to, czego Peter

Fleig poszukiwał wiele lat, nim dosięgła go mafia, używająca wszelkich sposobów aby wydobyć znaną mu tajemnicę..."

Taka jest legenda bajecznego „skarbu Rommla", w której można znaleźć tylko jedną pewną rzecz, gorączkowo powtarzaną wielokrotnie przez Petera Fleiga:

„Kłamałem... wciąż kłamałem i wszystko, co mówiłem, było nieprawdą. Skarb Rommla został umieszczony we włoskim klasztorze, w odludnych górach..."

W opowieści byłego partyzanta Louisa Bordesa istnieje cień potwierdzenia wersji Fleiga:

„W nocy z 17 na 18 września 1943 roku byłem wraz z grupą partyzantów korsykańskich w miasteczku Poretta. Alianckie lotnictwo bombardowało niemiecki konwój płynący do Italii. W rozbłyskach bomb dostrzegłem przez lornetkę w pewnej odległości od brzegu sylwetkę torpedowca. Była trzecia nad ranem. Zobaczyłem wyraźnie ludzi wyrzucających przez burtę ogromne skrzynie, które spadając wywoływały silne kołysanie okrętu".

Komu wierzyć? W co wierzyć?

Cała historia jest niewyobrażalna, skomplikowana, dwuznaczna, podczas gdy powinna być biblijnie prosta... gdyby była prawdziwa!

Trudno jest zrozumieć, dlaczego Fleig, chcący zagarnąć skarb, po prostu nie odzyskał go. Jeśli zna się miejsce i umie nurkować w skafandrze, wystarczyłoby przyczepić skrzynie do liny, a potem wciągnąć je na byle jaki ponton z dźwigiem.

Przyjmijmy, że operacja nie była prosta dla Fleiga: jest cudzoziemcem, jest poszukiwany i trudno działać w pojedynkę... To prawda!

I to uzasadnia, jak się wydaje, stowarzyszenie się Czecha z adwokatem Cancellierim! No tak, ale oto co dowodzi jeszcze raz, że Fleig zakpił sobie: dysponował on bezpłatnie fantastycznym sprzętem wydobywczym.

Esesman Fleig – jak powiadano, pracował na rzecz podpułkownika SS Dalla, a ten wycofał swój udział w poszukiwaniach i swój statek w warunkach, które trudno uznać za wiarygodne.

Ale czy Dall pozostawiłby przy życiu Fleiga, podejrzanego żołnierza, po schowaniu skarbu? I czy grożący Czechowi esesmani darowaliby mu także życie i nie odebraliby skrzyń? Absolutnie niewyobrażalne.

Jest rzeczą dowiedzioną, że poszukiwania podmorskie na całym świecie znajdują się pod kontrolą nacjonalistów niemieckich, włoskich, francuskich i innych, znanych bardzo dobrze ze swoich poglądów politycznych. A oto co nam oświadczył jeden z nich:

„Fleig jest oszustem. Wszystko, co opowiada, jest zmyślone w każdym calu, aby wyłudzić forsę od naiwniaków. Gdyby skarb istniał, dawno już byśmy go odzyskali. Wiecie bardzo dobrze, że nie pozwolilibyśmy żyć Fleigowi z taką tajemnicą. Jest bardzo prawdopodobne, że przy jakiejś okazji dokonamy na Fleigu egzekucji za znieważenie pamięci wielkiego, nieskazitelnego żołnierza, jakim był Rommel. Mogę zresztą powiedzieć, że dla spokoju sumienia i bardziej dla sportu, a także by umotywować nurkowanie, setki płetwonurków z naszych ugrupowań spenetrowały metr po metrze całe wschodnie wybrzeże Korsyki od północy na południe. W piaszczystym dnie nie ma żadnych skrzyń ze skarbem.

Zezwalamy panu na opublikowanie tego oświadczenia, którego jednak nie potwierdzi oficjalnie żaden z naszych towarzyszy niemieckich, francuskich czy włoskich".

Taki jest ostateczny efekt naszej ankiety, nie kładzie on jednak kresu legendzie: płetwonurkowie jeszcze przez długie lata poszukiwać będą tajemniczego skarbu Rommla!

Takie samo dobre zajęcie jak inne!

Skarbem odwiecznym... ale także skarbem-widmem jest słynny skarb kapitana Kidda.

Te słowa płoną wśród opowieści o ukrytych bogactwach, a w starej Anglii samo imię Kidd każe zawsze nastawić uszu.

Kidd urodził się w Greenock w Szkocji około roku 1645. Był kapitanem i właścicielem wielu statków handlowych, mieszkał w Nowym Jorku wraz z żoną i dziećmi, kiedy w 1696 roku król Anglii Wilhelm III wezwał go do poskromienia piractwa szalejącego na morzach oraz zaaresztowania, gdyby się udało, piratów i korsarzy noszących nazwiska: Thomas Tew, Thomas Wake, William Maze, John Ireland itp.

Tyle że Wilhelm III, który zresztą zwracał się do Williama Kidda „drogi przyjacielu", zapomniał ustalić konkretne wynagrodzenie, a hrabia Bellomont, gubernator Massachusetts, musiał wypełnić tę lukę przyznając morskiemu policjantowi udział „w łupach przejętych ze statków pirackich".

Policyjna wyprawa została uzbrojona i wyekwipowana przez prywatne towarzystwo, w którym hrabia Bellomont i wielu angielskich lordów było najżywotniej zainteresowanych.

Statek Kidda, „Adventure Galley", fregata z załogą liczącą stu pięćdziesięciu pięciu ludzi, wyposażona w czterdzieści armat, udała się najpierw w kierunku południowo-wschodnim w poszukiwaniu przestępców, przepłynęła wzdłuż Madery i obok Zielonego Przylądka, by minąć wreszcie Przylądek Dobrej Nadziei.

Kidd miał nadzieję, że jego operacja miała większe szanse powodzenia na Oceanie Indyjskim niż na Atlantyku, którego wody były dostatecznie strzeżone.

Niestety! „Adventure Galley" pływała wzdłuż Madagaskaru i wybrzeży afrykańskich całymi miesiącami, nie natykając się na jednego choćby pirata, najdrobniejszego korsarza... To było zniechęcające. Poza tym, trzeba było za coś żyć, zaprowiantować statek, utrzymać we właściwym stanie kadłub i olinowanie okrętu. Wrócić z niczym do Nowego Jorku? Co za wstyd dla poszukiwacza przygód! Lepiej nie wyobrażać sobie przyjęcia, jakie zgotowaliby wyprawie armatorzy „Adventure Galley".

Słowem, operacja policyjna okazała się rujnująca i załoga, szukająca zaczepki, a jeszcze bardziej łupu w postaci złota i drogocennych kamieni, była mocno rozczarowana.

Pewnego dnia szef artylerii William Moore z jakiegoś błahego powodu wdał się w bójkę z Kiddem, który zirytowany uderzył go tak silnie drewnianym wiadrem, że Moore z rozwaloną czaszką wyzionął następnego dnia ducha.

Wypadek ten zdeterminował losy „Adventure Galley". Niepostrzeżenie zatarciu uległo tych kilka zasad moralnych, które jeszcze przetrwały wśród członków wyprawy, i psychoza piractwa wdarła się do umysłów.

20 września 1697 roku Kidd zrewidował arabski statek pod pretekstem, że Maurowie byli skończonymi piratami!

Ładunek napadniętego statku nie był zbyt bogaty: pieprz, jedwab, aromaty, ale wystarczył, by wzmóc niezdrowe żądze załogi. Kidd słabo walczył ze swymi skrupułami i przyznał sobie prawo kontrolowania niewielkich statków, które uznał za podejrzane. Słowem, wkrótce nikt już nie myślał nawet o kamuflowaniu piractwa.

27 listopada ograbiony został statek „Maiden" i inne mniejsze zdobycze zasiliły skarb „Adventure Galley".

Grabież „Quedagh Merchant", wielkiego statku o ładowności pięciuset ton, zamknęła pierwszy sezon świetności i myślano o odpoczynku, tudzież o zinwentaryzowaniu łupów i ich podziale zgodnie z regułami korsarstwa.

Kidd zdecydował więc o zniszczeniu „Adventure Galley", zbyt już znanej z piractwa, i wyruszył ponownie na morze na „Quedagh Merchant", wykwintnym żaglowcu o uczciwym i wzbudzającym zaufanie wyglądzie.

Zgromadzono na statku znaczne bogactwa i cenne towary, przyprawy, jedwab, rozmaite tkaniny, cukier, saletrę, a ponadto piastry, srebrne monety, perły, diamenty, rubiny i złotą biżuterię, wszystko warte czterysta tysięcy funtów szterlingów. Pozostawało tylko zabrać zdobycz do Ameryki i uzasadnić jej pochodzenie: trudny do rozwiązania problem!

Wieści o Kiddzie dochodziły bowiem teraz ze wszystkich mórz świata, co zresztą napawało go dumą. Był piratem, to prawda, ale w sumie dzielnym człowiekiem, który zawsze pozostawiał pojmane załogi przy życiu, wiedząc przecież, że miłosierdzie ostatecznie obróci się przeciw niemu, ponieważ ofiary mogły rozpowiadać o swej przygodzie i ułatwić identyfikację agresora.

Właśnie opowieści o napadach pozwalają na twierdzenie, że Kidd bez wątpienia nigdy nie przekroczył 75° długości geograficznej i w żadnym razie nie działał na Morzu Chińskim, gdzie z reguły sytuuje się jego skarb.

Chcąc więc wejść w nową skórę i opuścić Ocean Indyjski, gdzie stawało się niebezpiecznie, „Quedagh Merchant" ponownie minął Przylądek Dobrej Nadziei i żeglował w kierunku Ameryki. Czy w czasie drogi Kidd kontynuował pirackie dzieło? Możliwe, a nawet prawdopodobne, że działał z wyjątkową nieświadomością, zbliżając się do rodzimego portu, nie podejrzewając zagrażającego mu niebezpieczeństwa.

Niektórzy sądzą, i jest to z pewnością prawda, że Kidd w bardzo niewielkim stopniu oddawał się piractwu, że nie popełnił żadnego morderstwa, z wyjątkiem przypadkowego zabójstwa Williama Moora. Miał też nadzieję, że nie zostanie rozpoznany w czasie napadów.

Mając poparcie króla i wielkich panów, którym przywoził bogaty łup, łudził się, że dotrze do Ameryki i cieszyć się będzie całkowitą bezkarnością.

W październiku 1698 „Quedagh Merchant" dobił do Anguilli na Antylach. Anguilla znajduje się w północnej partii Wysp Karaibskich, na 18°20' szerokości geograficznej północnej i 65°42' długości geograficznej zachodniej. Jest wyspą płaską, piaszczystą, o niezwykle niespokojnej i wijącej się linii brzegowej, czemu zresztą zawdzięcza swoją nazwę (*anguille* – węgorz).

Zmęczona długą wyprawą, załoga zeszła z widoczną ulgą na ląd, ale Kidd, lekko niespokojny i nieufny, pozostał na pokładzie. Być może także dlatego, że nie chciał pozostawić bez nadzoru swojego osobistego skarbu, składającego się ze szlachetnych kamieni, biżuterii, pereł i dewiz, który przypadł mu w udziale po rozdzieleniu reszty wśród załogi i pozostawieniu części dla armatorów.

Powracający na pokład marynarze przynieśli mu złą nowinę: „Adventure Galley" zaliczono do statków pirackich, a jego kapitan został oskarżony o „kradzież z bronią w ręku, pozostającą w jurysdykcji Admiralicji", co oznaczało sąd nad piratem i w domyśle karę śmierci, a przynajmniej dożywotnie ciężkie roboty.

Zagrożenie nie przeraziło Kidda, ponieważ nawet jeśli udowodniono by mu kradzież, to w żadnym wypadku nie można go było oskarżyć o morderstwo. A jednak umysł jego zaprzątnęła myśl o podwójnym zagrożeniu: oskarżeniem i poważną grzywną.

Należałoby więc pomyśleć rozsądnie o skarbie, zwłaszcza dlatego, że Kidd nosił się z zamiarem zgłoszenia się na policję. Czy byłby aż tak głupi, by wrócić do Nowego Jorku z osobistą zdobyczą? Nie do pomyślenia! Czując osaczenie i podejrzenia, postanowił, nim pomyślał o środkach obrony, umieścić majątek w bezpiecznym miejscu. A gdzie łatwiej znaleźć kryjówkę niż w kamienistych, pokrętnych, poszarpanych i zygzakowatych zatoczkach wyspy Anguilla?

Wystarczyło, by kapitan „Quedagh Merchant“ przed świtem opuścił pokład sam, wioząc w szalupie cenną skrzynię, ważącą z pewnością trzydzieści do czterdziestu kilogramów. Skaliste zatoczki były blisko, łatwe do osiągnięcia pod osłoną nocy, nietrudno także było wylądować w jakimś ustronnym miejscu i zakopać ładunek pod paroma stopami piasku w oczekiwaniu na lepsze czasy.

Tak to musiało się odbyć i prawdziwy skarb kapitana Kidda tkwi, być może, wciąż w ziemi na wybrzeżu, w odległości najwyżej trzech mil od miasteczka Anguilla.

Tak więc po ukryciu skarbu „Quedagh Merchant“ pożeglował w kierunku Hispanioli, gdzie stanął na kotwicy w oczekiwaniu na dalszy ciąg wydarzeń. Tu był bezpieczny i tu, jak myślał Kidd, „będzie można zobaczyć, co dalej“.

Pewny swej niewinności – nie był przecież kryminalistą – oraz wzmocniony zabezpieczeniem finansowym, pozostawionym na Hispanioli, Kidd wsiadł na pokład szkunera „Antonio“ i pozwolił się zawieźć do Nowego Jorku. Dla armatorów, lordów Bellomonta, Orforda (pierwszego lorda Admiralicji), Sommersa, Ronneya i księcia Shrewsbury, miał informację o bardzo bogatym i zdobytym najlegalniej w świecie ładunku, przeznaczonym do ich dyspozycji.

Jednak napaści dokonywane przez „Adventure Galley" uczyniły o wiele więcej hałasu, niż Kidd się spodziewał, a skandal był tak głośny, że w obawie o swą uprzywilejowaną pozycję armatorzy nie odważyli się popierać kapitana. Przeciwnie, jeszcze bardziej go obciążyli i biedny Kidd, nie wierząc własnym uszom, dowiedział się, że został okrzyknięty największym piratem na świecie i wrogiem publicznym! Został zatrzymany i przekazany do dyspozycji Anglii, gdzie w więzieniu przebywał ponad dwa lata.

8 maja 1701 roku trybunał w Old Bayley skazał go wraz z dziewięcioma członkami załogi na śmierć.

Kidd zapewniał cały czas o swej niewinności, ale mówiono, że kiedy usłyszał wyrok, uczynił sędziom następującą propozycję:

– Wiem, gdzie znajduje się wielki skarb. Darujcie mi życie, a wskażę wam miejsce, w którym się znajduje.

Został powieszony w Execution Dock 23 maja 1701 roku. Sznur zerwał się i kapelan Paul Lorrain mógł jeszcze, jak się sądzi, wysłuchać przyznania się do winy, to znaczy, do uprawiania piractwa, ale nie do zbrodni. Powieszono nieszczęśnika jeszcze raz, tym razem skutecznie.

Ze wszystkich tych przygód wynika, że jeden z najskromniejszych piratów oceanicznych, po którym powinien pozostać tylko nikły ślad w annałach piractwa, przez jakiś kaprys losu zyskał zupełnie niezasłużoną reputację i potraktowany został z nieuzasadnioną surowością.

Z tego powodu historia jego skarbu rozrastała się i weszła do legendy z niewiarygodnym bogactwem detali. Zaczęła krążyć niezliczona ilość planów i relacji i wkrótce bajeczny skarb Kidda rozgorączkował wyobraźnię wielu osób.

W końcu XIX wieku przypuszczano, że go odnaleziono na wyspie Gardiner w stanie Maine w Stanach Zjednoczonych. Dokonano inwentaryzacji i okazało się, że wartość równała się dziesięciu milionom w złocie. Skarb ten z pewnością nie należał do Kidda, który nie mógł go tam przewieźć, płynąc na spotkanie z armatorami.

Pojawiały się sygnały i o innych skrytkach: jedna na południu Nowej Szkocji – na Wyspie Dębów, inna w jaskini w Coco Lomo, w zatoce Santa Elena, na granicy Nikaragui i Kostaryki, na wybrzeżu Pacyfiku, gdzie miało być zakopanych wiele kufrów ze złotem.

Wszystko to jest nieprawdopodobne, a nawet niemożliwe. Równie niemożliwe są punkty wyznaczone na Dalekim Wschodzie, ale te relacje są najpopularniejsze i szczególnie przybrane w romantyczne i najbardziej niedorzeczne detale. W 1950 roku angielski kapitan Mumford przygotowywał ekspedycję poszukiwawczą, która pozostała jednak tylko w fazie przygotowań, i dopiero Kanadyjczyk, Geoffrey Tayqui, mógł ją zrealizować, wyruszając na pokładzie osiemdziesięciotonowego kutra „La Cotenta". Tayqui posiadał mapę, opisaną własnoręcznie przez Kidda, z precyzyjnie zaznaczonym miejscem położenia skarbu.

Wyprawa wyruszyła i wszelki ślad po niej zaginął.

W 1953 roku sprawa wybuchła od nowa. Angielski adwokat z Eastbourne (Wielka Brytania), Hubert Palmer, nabył u antykwariusza kufry i broń należącą – według kronik – do Kidda. W podwójnym dnie jednego z kufrów odkrył fragment mapy okrętowej, pochodzącej z XVIII wieku, na której zarysowane zostały kontury jakiejś wyspy, nazwanej „Skeleton Island". U góry i na lewym brzegu mapy można było odczytać zapis: „Wybrzeża Chin".

W podwójnych dnach pozostałych kufrów Palmer odnalazł inne kawałki mapy, uzupełniające pierwszy i precyzujące dane na temat skarbu z tajemniczej „Wyspy Szkieletów". Podział dokumentu, jak tłumaczono sobie, musiał być środkiem zapobiegawczym przed ewentualnymi złodziejami, którzy nie mogliby bez skompletowania całości usytuować wyspy i skrytki.

Hubert Palmer zmarł przedwcześnie i nie zdążył zorganizować wyprawy. Swą fortunę i plany przekazał własnej guwernantce, pani Elisabeth Dick.

Wkrótce grupa poszukiwaczy przygód, opierając się na mapach adwokata, zdecydowała się wyruszyć na Daleki Wschód. Załadowali się wraz z trzynastoosobową załogą na studwudziestotonowy szkuner „La Morna" i wypłynęli pewnego ranka z Gosport w Anglii.

Niestety! W trzy dni po wypłynięciu „La Morna" dostała się w sztorm i uszkodzona skończyła swą karierę rozbijając się o brzeg wyspy Wight!

A oto historia skarbu przypisywanego Kiddowi, wynikająca z angielskiej dokumentacji.

„Wyspa Szkieletów", oznaczona na mapie świata w pobliżu 125° długości geograficznej, miała kryć trzysta milionów franków z tamtego okresu, pochodzących z bogactw zagrabionych księciu Aurengzeb, „Wielkiemu Mogołowi i Władcy Indii", przez Kidda w czasie wyprawy na pokładzie „Adventure Galley". Pirat miał przetransportować skarb na małą, bezludną wysepkę i tam z pomocą porucznika zabić towarzyszących mu ludzi. Podobno ich trupy poprzybijał do drzew, troszcząc się, by prawa ręka każdej ofiary wskazywała wtajemniczonym właściwą drogę do kryjówki. Potem zabił także swego wspólnika, by pozostać jedynym znającym sekret.

Szkielety ukrzyżowanych mogły przez jakiś czas pozostać na miejscu, jednak z pewnością musiały po upływie dłuższego czasu zniknąć wraz z drzewami, do których zostały przybite. To oczywiste.

Dokumenty mówią jeszcze, że na drodze wiodącej do skrytki należy odnaleźć drzewo o bardzo charakterystycznym kształcie (także nie istniejące); potem trzeba iść aż do obniżenia terenu, czyli do „Doliny Śmierci". Skarb był jakoby umieszczony na dnie głębokim na pięć sążni, co pozwala przypuszczać, że ukryty został w jakiejś lagunie lub rzece.

Inny przekaz donosi:

„Skarb jest ukryty na dnie jeziora, na wyspie.
By do niego dotrzeć, trzeba przebyć Dolinę Śmierci.
Czaszki bez oczu i włosów znaczą drogę".

Ta właśnie wersja dała początek legendzie o „aniołach bez oczu i włosów" kapitana Kidda.

Wyspa, o której mowa, miała znajdować się na północ od Filipin i należeć do morderczego archipelagu, jak mówią o nim tubylcy, zwanego też Ojcem Tajfunów, ponieważ, jak się wydaje, tam rodzą się gwałtowne wichury. Jeśli nawet istnieje jakiś skarb na tej wyspie, to nie da się w zgodzie z rozsądkiem przypisać go kapitanowi Kiddowi, wśród jego wypraw morskich brak bowiem jakiejkolwiek żeglugi po Morzu Chińskim.

Poza tym legenda „o aniołach" i masakrach nie zgadza się absolutnie z dobrotliwym charakterem, a nawet mu się przeciwstawia, pirata z przypadku, jakim był Kidd. Co więcej, można przypuszczać, że mógł on około roku 1697 napaść na autentyczny statek piracki i natrafić w jego dokumentach pokładowych na plany i informacje odnoszące się do jakiegoś skarbu, którego istnienia nawet wcześniej nie podejrzewał.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, skarb Kidda, schowany gdzieś na Morzu Chińskim, jest teraz i pozostanie jeszcze w przyszłych wiekach rzeczywisty i niezniszczalny.

Taka ogromna jest moc legend, a jeszcze ogólniej, tego wszystkiego, co nie istnieje, ale upiększa ludzkie marzenia.

W 1956 roku cała sprawa znów miała szansę wybuchnąć po znalezieniu na wyspie Yokoate, na północ od Riu Kiu na południe od Japonii, skarbu przypisywanego Kiddowi. Japońscy archeologowie, prowadzący wykopaliska na zlecenie bankiera Masahira Nagashimy, odkryli w koralowej grocie stosy sztab srebra i żelazne kufry wypełnione złotem.

Masahiro Nagashima zademonstrował dziennikarzom wiele sztab srebra i chińskie złote monety, a potem ponoć ofiarował je rządowi.

Takie są opowieści odnoszące się do skarbu kapitana Kidda. Miesza się w nich możliwe z niemożliwym, wiarygodne z niewiarygodnym. Złoto, szlachetne kamienie i klejnoty sympatycznego pirata prawdopodobnie nigdy nie wzbogacą żadnego poszukiwacza skarbów, ale zdumiewająca opowieść pozostanie.

I właśnie opowieść pełna dramatyzmu, przygód i malowniczości stanowi wartość większą od innych.

SKARBY PLUTONA

Gdyby odnalazły się cudownie wszystkie skarby ukryte na ziemi i w głębokościach mórz i gdyby je zebrać w jedno miejsce, utworzyłyby piękne wzgórze ze złota, srebra i drogocennych kamieni! Nigdy jednak nie uda się zgromadzić wszystkich skarbów w taką połyskliwą magmę z prostego powodu, że przynajmniej połowa ukrytych i zatopionych bogactw jest nie do odzyskania.

O ile skarby zakopane mogą samoistnie wynurzyć się na powierzchnię ziemi zgodnie z geofizycznymi prawami, stwierdzonymi, ale jeszcze bardzo słabo znanymi, to tony złota i kamieni zamknięte w skalnych grotach, w murowanych podziemiach, w górskich rozpadlinach są nieodwracalnie więźniami nieruchomej materii i trudno wyobrazić sobie, jaki cud mógłby je z powrotem wynieść na światło dzienne.

A skarby zatopione w oceanicznych głębinach mogą tylko wzbogacić pałace podmorskiej fauny albo przyozdobić legendarne syreny. Skarb spoczywający na głębokości większej niż dwieście metrów z punktu widzenia techniki przy aktualnym stanie możliwości wydobywczych wydaje się stracony.

Mimo to, Anglicy nie tracą nadziei na wydobycie wraku „Titanica“, który leży na głębokości czterech tysięcy sześciuset metrów, sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Nowej Ziemi.

„Titanic", sześćdziesięciotysięczny gigant White Star Line, zderzył się z górą lodową 14 kwietnia 1912 roku i zatonął z jakimiś ośmioma miliardami, zdeponowanymi w skrytkach pokładowych. I niestety, było tam także tysiąc pięciuset pasażerów.

W lipcu 1954 roku angielski okręt „Help" próbował zlokalizować wrak, ale istnieje bardzo mało szans, by skarb z „Titanica" wyłonił się kiedykolwiek na powierzchnię.

Nie do odzyskania jest złoto w postaci bryłek i piasku, rozproszone wokół zniszczonego kadłuba „Islandera", który także rozpruty został przez górę lodową w pobliżu Douglas Island.

Stracone są także: pięćset milionów w złocie „Lusitanii", storpedowanej w 1915 roku przez łódź podwodną marynarki niemieckiej niedaleko Kinsale (Irlandia), a także miliardy z ogromnej ilości statków pogrążonych w głębokich morzach naszej planety.

O ile zgadzamy się z nieuchronnością pewnych wydarzeń, to na pewno z nielekkim sercem przyglądamy się, kiedy diamentowe skarby dobrowolnie oddawane są przez człowieka głębinom Morza Północnego, co rzeczywiście wydarzyło się i zostało oficjalnie zapisane w marcu 1948 roku.

Na krótko przed wybuchem wojny w 1939 roku w Hartlepool w hrabstwie Durham umarł ekscentryczny doktor Watkinson. Kiedy otworzono testament, ze zdumieniem odczytano następującą klauzulę:

„Wszystkie moje klejnoty mają być włożone do kasetki i wrzucone do morza dwie mile na północ od Hartlepool, w miejscu oznaczonym na załączonej mapie. Stwierdziłem, że klejnoty są źródłem braku lojalności, perfidii, gwałtu i niesprawiedliwości; że posiadanie szlachetnych kamieni inspiruje do arogancji i próżności, a ona prowadzi człowieka do degradacji moralnej.

Dlatego postanowiłem unicestwić te przedmioty, zdolne do zdeprawowania natury ludzkiej.

Pozostała część fortuny, wynosząca dziesięć tysięcy funtów szterlingów, należeć będzie do mojego syna, ale pod warunkiem, że wypełni on moją wolę zatopienia szlachetnych kamieni. Gdyby od tego odstąpił, dziesięć tysięcy funtów przypadnie w równych częściach trzem instytucjom dobroczynnym, wymienionym poniżej..."

Fortuna doktora Watkinsona związana była szczególnie z cudowną kolekcją diamentów, nabytą w Afryce Południowej. Syn doktora pragnął oczywiście podważyć testament, jednak jego treść była całkowicie zgodna z prawem i w marcu 1948 roku w obecności komornika i przedstawicieli prawa diamenty zostały wrzucone do morza w wyznaczonym miejscu.

Było ich za sto milionów.

W kawiarni „Atlantic" przy ulicy Port w La Rochelle Francis Marche, zwany „Misaine", opowiedział swą wspaniałą historię jednemu z członków Klubu Poszukiwaczy Skarbów.

Gdzieś w okolicach Morza Sargassowego musi istnieć cmentarzysko skarbów, bo jest pewne, że w ciągu wielu wieków tysiące statków ciągnęły w tym kierunku jak w procesji. Można by powiedzieć: na własny pogrzeb!

„Dziesiąta część złota na świecie znajduje się tam, i to na głębokościach miejscami niewiele przekraczających trzydzieści metrów.

Morze Sargassowe na Atlantyku jest mało znane; od zawsze wiadomo było, że jest tam skalisty próg na niezbyt dużej głębokości. – Marche potarł kark i kontynuował wyjaśnienia: – Wiadomo, że kiedy tonie statek, nie idzie on prosto na dno. Często schodzi on w głębiny po długiej linii ukośnej, co sprawia, że jej końcowy punkt znajduje się w dużej odległości od miejsca zatopienia.

Często też zdarza się, że wrak pozostaje zawieszony pod wodą: zależy to od jego wyporności, obciążenia i powietrznych kieszeni znajdujących się w kadłubie. Może więc, i to uzasadnia legendy o statkach-widmach, bardzo długo pozostawać w pewnej równowadze, zanurzając się i wynurzając, chwilami wychodząc nawet na powierzchnię, ponieważ zdany jest na wpływ prądów morskich i dryfuje całe mile".

Po tej wypowiedzi Francis Marche przeszedł do sedna sprawy:

„Tak więc, o czym się mówi i co słyszałem na Maderze, w Las Palmas, w Puerto Rico i w Puerto Flata: dryfujące statki, zatopione w Golfstromie i prądzie północnorównikowym wzdłuż całego wybrzeża Europy Zachodniej, Afryki i Morza Antylskiego, płyną pod wodą aż na wysokość Haiti. Tam skręcają na północ i przed Bahamami wpływają do Morza Sargassowego, w strefę jakby martwą.

Tu natrafiają na wzniesienie dna morskiego do trzydziestu metrów, roztrzaskują się o nie i tam gniją. Ich szkielety gromadzą się, ale po wielu wiekach pozostaje z nich tylko trochę żelastwa i złoto, jeśli się w nich znajdowało.

Proszę pomyśleć, od XV wieku w tamtych okolicach zatonęły tysiące hiszpańskich galeonów. A ile statków od tamtych czasów! Na cmentarzysku musi na pewno znajdować się kilkaset wraków z cenną zawartością, wszystko to zgromadzone na bardzo niewielkiej powierzchni.

Zresztą istnieją prawdopodobnie jeszcze inne cmentarzyska skarbów: jedno na południowy wschód od Bermudów, inne w odległości dwustu pięćdziesięciu mil od wybrzeża Cap Corrientes w Argentynie, jeszcze inne w pobliżu wyspy Chiloe w Chile oraz w pobliżu Zielonego Przylądka".

Wiadomo, że w pobliżu Haiti, na słynnej Srebrnej Barierze, zatonęła w 1641 roku „Nuestra Señora de la Conception" z autentyczną fortuną w piastrach, sztabach złota i srebra, drogocennych kamieniach itp. Na wrak, odnaleziony i stosunkowo dobrze zlokalizowany przez Anglika Williama Phipsa w 1684 roku, nigdy więcej w późniejszych czasach nie natrafiono!

Zakładając, że i tam istnieje jakieś cmentarzysko, można się zastanawiać, czy pewnego dnia da się określić jego położenie.

Francis Marche, któremu zadano to pytanie, zdecydował się ujawnić sporo z tego, co wiedział:

„Nie chciałem wszystkiego mówić od razu, ale znam ten punkt: nieco powyżej zwrotnika Raka i niedaleko od 68° długości zachodniej! To oczywiście nie ma znaczenia, ale rozmawiałem z pewnym dominikańskim marynarzem, który nurkował na cmentarzysku i wyciągnął z niego niezły łup! Człowiek ten był znany w Puerto Plata, a poza nim i inni, jak się wydaje, także wiedzieli, gdzie dokładnie usytuować cmentarzysko.

Wiem, że trzeba wyruszyć z Puerto Plata i skierować się prosto na północ wzdłuż 3°, potem 30' przed zwrotnikiem popłynąć zdecydowanie na wschód wciąż wzdłuż 3°. Wszędzie tam nie daje się wysondować dna, ale znalazłszy się na miejscu właściwym, można ujrzeć skalną barierę w kształcie niecki, której brzeg skręca w kierunku południowym. Jest to prawdopodobnie stary krater wulkanu!

To właśnie jest cmentarzysko skarbów. Wszystkie wraki zgromadziły się pośrodku niecki, na głębokości około trzydziestu metrów. Do wytropienia skalnej bariery najlepszy byłby helikopter. Można by ją zlokalizować w ciągu kilku dni i każdy nurek mógłby tam działać do woli.

Tam śpi wiele, wiele miliardów".

Istnienie cmentarzyska skarbów, które wyobraził sobie i w które wierzył Francis Marche, nie zostało udowodnione, ale z całą pewnością tam lub gdzie indziej w podmorskich odchłaniach spoczywają stosy wraków z dawnym ładunkiem złota, srebra i drogocennych kamieni.

Jednak te bogactwa nie są już sprawą człowieka i nie należą już do świata żyjących. Są to skarby Plutona.

AMORY... ROZKOSZE

Naturalnym miejscem przeznaczenia szmaragdów, rubinów, diamentów, klejnotów jest szyja oraz delikatne i rozrzutne dłonie naszych pięknych dam. Trzeba jednak zauważyć, że z rzadka tylko opowiedziane tu historyjki mają coś wspólnego z miłosnym romansem.

A przecież dramatyczne losy milionów ze statku „Peruvian" wzięły swój początek z pięknej przygody miłosnej. On ją zobaczył, zakochał się. Ona nie chciała go, jeśli nie będzie bogaty, stracił więc głowę...

Historia miłości i piractwa najpierw została opowiedziana przez kapitana Lafonda w książce *Podróż do obydwu Ameryk*, a następnie powtórzona przez Maurice'a Magre'a i innych pisarzy.

Bohater – pirat Robertson – jest młodym Irlandczykiem w służbie królewskiej marynarki angielskiej; około 1817 roku bierze udział w narodowowyzwoleńczym ruchu południowoamerykańskim i angażuje się do marynarki chilijskiej. Robertson był pierwszym porucznikiem na pokładzie brygantyny „Galvarino", a następnie na „Congresso" i świetnie zaznaczył swój udział w zdobyciu Callao (Peru).

W 1822 roku po pojmaniu sześćdziesięciu żołnierzy z królewskiej armii z Benavides ujawnił okrucieństwo, wieszając jeńców na drzewach. Pod koniec działań wojennych został komendantem i pozostawał na uboczu w Callao w oczekiwaniu na nowe wypadki, pozwalające mu wrócić do służby, kiedy w 1826 roku spotkał w czasie procesji z okazji Bożego Ciała w Limie piękną dziewczynę, z powodu której stał się człowiekiem wyjętym spod prawa.

Nazywała się Teresa Mendez, miała dwadzieścia jeden lat, hebanowe włosy i urodę doprowadzającą do szaleństwa wszystkich złotych młodzieńców nowej republiki. Była wdową po młodym Hiszpanie, prowadziła salon otwarty dla całej socjety limańskiej i sprawiało jej przyjemność prowokowanie licznych zalotników, ale nie pozwalała im na najmniejszą poufałość.

Postępowanie takie doprowadzało do szału Robertsona, który był na zabój zakochany w pięknej Teresie, tak że pewnego dnia dał jej do zrozumienia, że jego największym pragnieniem byłoby ją poślubić. Teresa roześmiała się i bez żenady odpowiedziała:

– Ależ, drogi przyjacielu, nie jest pan wystarczająco bogaty! Poślubię tylko człowieka majętnego i na dodatek sławnego, nawet za cenę zbrodni!

Biedny zakochany zapamiętał to sobie i pohamował gniew, uznając całą partię za przegraną z góry.

Ale kobieta strzela, a diabeł kule nosi. W jakiś czas potem, kiedy Robertson składał wizytę komendantowi portu w Callao, szczęśliwy przypadek kazał mu zastanowić się nad swym przeznaczeniem.

Pewien młody oficer, porucznik Vieyra, stwierdził żartobliwie:

– Wojna skończona, admiralskie galony przepadły, Robertson, ale byłby pan silniejszy od dowódcy eskadry, gdyby miał pan w posiadaniu tę brygantynę, która kołysze się tam na fali!

– Tak, wiem – odpowiedział Irlandczyk – mówi się, że kryje w swych ładowniach ponad pięćset tysięcy złotych piastrów, przeznaczonych na nie wiadomo jakie zaopatrzenie wojenne.

– Brygantyna nazywa się „Peruvian“ i w swym konosamencie[1] zawiera nie pięćset tysięcy piastrów, lecz dwa miliony pistrów w złocie z zasobów rządowych. Miałem honor osobiście zabezpieczać załadunek!

---

[1] Konosament – morski list przewozowy, ceduła.

Wkrótce rozmowa zeszła na inne tematy, ale Robertsona zaczęło dręczyć niezdrowe pożądanie: „Peruvian"... dwa miliony piastrów w złocie... byłoby za co kupić całą prowincję, byłoby za co kupić cudowne ciało i miłość Teresy!

Tego samego wieczoru decyzja została podjęta: warto zaryzykować; w ciągu nocy zwerbował w tawernach grupę awanturników i na czele swych rekrutów zawładnął brygantyną.

Kiedy wstał świt, „Peruviana" nie było już w porcie, zobaczono natomiast zbliżającą się od pełnego morza szalupę pokładową z uwolnioną przez Robertsona załogą. Natychmiast podniesiono alarm i wiele brygów ruszyło w pościg, jednak brygantyna, posiadająca dwa maszty zaopatrzone w znakomite żagle, miała ogromną przewagę i umykała z tylnym wiatrem na południowy zachód.

Po wylądowaniu na Tahiti piraci wydali ucztę i aby osłodzić trudy zapowiadającej się jeszcze na długo żeglugi, załadowali na statek piętnaście ślicznych *vahines*[1].

W trakcie przerwy w podróży na jakiejś bezludnej wyspie, dokąd zawinęli, by zaopatrzyć się w wodę pitną, Robertson, w którym dojrzewał plan pozbycia się wspólników, pozostawił ośmiu ludzi pod pretekstem niesubordynacji i wypłynął ponownie na morze z bardzo zmniejszoną załogą: czterema marynarzami, w tym dwoma Irlandczykami, do których miał zaufanie, oraz kobietami, teraz bardzo zawadzającymi.

Następnie „Peruvian" wziął kurs na Mariany i rzucił kotwicę w zatoce wyspy, prawdopodobnie Grigan (zwanej także Guam).

Vahines, wystraszone dziwnym zachowaniem się współtowarzyszy, zaraz po zakotwiczeniu rzuciły się wpław do ucieczki. Aby pozbyć się niewygodnych świadków, piraci pozabijali je, urządzając dzikie polowanie na kobiety. Następnie znajdujący się na pokładzie skarb, składający się z tysiąca drewnianych, okutych żelazem kufrów, został zakopany w ogromnym rowie, gdzie spoczął pod dwiema stopami piasku.

---

[1] *Vahine* – na Tahiti kochanka, żona.

W 1827 roku Robertson, który tymczasem pozbył się wszystkich wspólników, został uwięziony przez Hiszpanów. Poddany torturom, przyznał się do kradzieży i zbrodni oraz wskazał miejsce na wyspie Grigan.

W czasie wyokrętowania pirat uświadomił sobie, że jest nieodwracalnie zgubiony i że nie uniknie stryczka, a piękna Teresa z pewnością nigdy nie zostanie jego żoną. Skorzystał z chwilowej nieuwagi strażników, wyskoczył za burtę i poszedł na dno, zabierając ze sobą sekret skarbu wartego dwa miliony piastrów.

Gubernator hiszpański Medinella zatrudnił sześciuset tubylców do poszukiwania kufrów. Tony piasku zostały przewalone, ale na próżno. Skarb „Peruviana" jest wciąż zakopany gdzieś na wyspie, prawdopodobnie na jej południowo-zachodnim wybrzeżu.

Wyspa Grigan, usytuowana na północy archipelagu Marianów, ma współrzędne: 18°8' szerokości geograficznej północnej i 143°20' długości geograficznej wschodniej. Jest górzysta, ze wszystkich stron bardzo trudno dostępna, tylko na południowo-zachodnim krańcu istnieje dogodny przesmyk i tam właśnie znajduje się jedyna wioska.

Historia skarbu z „Peruviana", znana tylko z ułamkowych i z pewnością niedokładnych relacji, nie zasługuje na całkowitą wiarę, jednak jej podstawy są autentyczne i pozostawiają nieco nadziei tym, których zauroczyło tysiąc skrzyń zakopanych w długim, piaszczystym rowie jednej z wysp Mikronezji.

„Skarb nagich tancerek" z Lapougeade nie kryje w sobie takiego samego sentymentalnego nastroju. Robertson był piratem, zabójcą, to prawda, ale przepełniała go prawdziwa miłość. Natomiast bohater naszej nowej opowieści będzie, niestety, tylko pospolitym i nie budzącym szacunku podrywaczem.

A przecież pan de Lard w XVIII wieku mógł się czuć usatysfakcjonowany, będąc właścicielem zachwycającego zamku Lapougeade w departamencie Lot-et-Garonne, na północny wschód od Agen w komunie Saint-Vite.

Mając łagodne usposobienie i artystyczne zamiłowania, nieumiarkowaną miłością darzył piękne kształty, byle tylko należały do słabszej płci. Chcąc urozmaicić sobie długie godziny czasu wolnego, uciekał się do przemyślnego podstępu. Pod pretekstem podziwiania parku i wspaniałej panoramy doliny Lot zwabiał do swej posiadłości śliczne dziewczyny i piękne kobiety i nakłaniał je do dokonywania tego, co w naszych czasach nazywa się striptizem. A potem grożąc biczem pan zamku Lapougeade zmuszał swe ofiary do tańca.

Rozrywki te trwały tak długo, że wreszcie pewnej nocy rozeźleni kawalerowie i mężowie z Saint-Vite, z Lagarde, z Roumet napadli na zamek Lapougeade i zrzucili niegodziwego pana ze schodów, aż połamał sobie kości. A gdy zobaczyli bogactwa, którymi był otoczony, uznali, że mają prawo do rekompensaty. Drapnęli kasetkę, klejnoty i jak powiadano, ukradli także „statuetki i kozę wykonane ze złota". W drodze powrotnej podzielili łup proporcjonalnie do urody ich szacownych dam. Niektórzy zakopali swą część gdzieś na trasie między wioskami Dor i Lavergne.

Wkrótce potem zostali pojmani i powieszeni przez królewskie straże. Skarby zazdrosnych i wymierzających sprawiedliwość mężów, znane w tym regionie jako skarby „nagich tancerek", powinny być wciąż schowane w skrytkach, których nikt nigdy nie znajdzie.

Niedaleko Charroux w departamencie Vienne wijąca się wśród zieleni droga państwowa nurkuje ze zboczy Malemort i Clerfeuille do doliny Charente, spadając tam śmiertelnymi serpentynami. Po lewej stronie wznosi się prawie pionowo wzgórze podziurawione prehistorycznymi grotami, zielone i żółte od młodych dębów i rozkwitłego janowca. Po prawej, za kamienną balustradą, rzeka prześlizguje się jak zaskroniec przez łąki, pomiędzy zaroślami olszyn i topoli.

Tam, u stóp wzgórza, na rzut kamieniem od Charente, tryska Font des Cantes, źródło, którego przejrzyste wody kipią w zagłębieniu z białych kamieni wysłanych rzeżuchą i rdestnicą. Jego woda jest orzeźwiająca jak mięta i kryje w sobie jakieś czary oraz piękną opowieść o skarbie.

Dawno temu był sobie pewien młody człowiek, dorodny, o pięknej męskiej twarzy, który zawracał w głowach wszystkim ładnym dziewczynom z okolicy. Był jednak biedny, bardzo biedny, i na swoje utrzymanie musiał bardzo ciężko własnymi rękami zapracować.

Pewnego razu, kiedy przeklinał niesprawiedliwy los i swoje nieszczęście, napotkał staruszka siedzącego na pniu i podśpiewującego przy wyplataniu klatki z wikliny, co w widoczny sposób było jego zawodem.

Młody człowiek, którego nazwijmy Pascalem, nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia na głos tego, o czym myślał, a co brzmiało:

– Jesteś szczęśliwy, stary człowieku, że śpiewasz mimo biedy i zbliżającej się śmierci. Twoja mądrość ściska mi serce i upokarza mnie!

– Och! – odpowiedział koszykarz – nie mam wyjątkowego szczęścia, ale uważam się za szczęśliwego w porównaniu z tym biednym ptakiem, którego zamknie ktoś w tej klatce. To wolność sprawia, że mam ochotę śpiewać.

– To prawda, ale jesteś przecież biedny.

– Bogactwo nie jest warte nawet jednej dobrej pieśni, a gdybym chciał być bogaty, wiem dobrze, dokąd powinienem się udać.

– A dokąd to, staruszku? – zapytał nagle zainteresowany Pascal.

– Poszedłbym na brzeg źródła Font des Cantes z rozwidloną leszczynową rózgą, która zaprowadziłaby mnie prosto do jednej z jaskiń we wzgórzu, gdzie znajdują się najpiękniejsze skarby królestwa. I mógłbym stać się tak bogaty, że wzbudziłbym zazdrość samego króla! Ale do źródła na pewno nie pójdę!

– A dlaczegóż to?

– Ponieważ w jaskini znajdują się dwa bezcenne skarby i nie wiedziałbym, który wybrać. A poza tym, wolę swoje piosenki!

– No dobrze! Ale ja pójdę do Font des Cantes i jeśli twoje słowa są prawdą, wrócę zgięty pod ciężarem skarbu.

– Miej się na baczności – rzekł starzec. – Powiedziałem, że są dwa skarby, że można wziąć tylko jeden z nich i że trzeba umieć wybrać. Na twoim miejscu bardzo bym uważał. Masz młodość, urodę i całe życie na wykucie szczęścia, a teraz powinna ci wystarczyć nadzieja i wiara!

– Pójdę do Font des Cantes – upierał się Pascal – pójdę tam natychmiast.

To powiedziawszy, chłopiec podążył szybkim krokiem wzdłuż rzeki, ponieważ bardzo mu się spieszyło zostać bogatym. Kierował się do źródła, które tryska na wysokim wzgórzu. Idąc wyciął rózgę z leszczyny i tak zaopatrzony dotarł na miejsce.

Rozdwojona witka uniosła się tak, że ledwo ją utrzymał w ręce, i zaprowadziła na górę aż do jednej z grot, schodzącej daleko w głąb ziemi. Było tam tak ciemno jak w bezksiężycową noc, ale Pascal trzymając się ściany korytarza bez lęku posuwał się do przodu, aż ujrzał jeszcze odległe światełko, zdające się go przyzywać.

Wreszcie doszedł do przestronnej niszy, promieniejącej jakąś magiczną jasnością. Ziemia wysypana była drobnym, połyskującym żwirem i miało się wrażenie, że to złoto, srebro i perły są z nim wymieszane.

Pośrodku niszy jaśniały dwa zapowiedziane skarby. Nie były one zupełnie tym, czego się spodziewał poszukiwacz ryzykant.

Jednym był stos różnych przedmiotów ze złota, z rubinów iskrzących się jak rozżarzone węgle, ze szmaragdów o zielonych ogniach i z diamentów rzucających oślepiający blask. Wszystko pomieszane, wszystkiego wielka obfitość: bransolet, pektorałów[1], kolczyków, kolii, pierścionków i wisiorków, obrączek i wszelkiego rodzaju klejnotów.

Drugi skarb był żywy i zupełnie nagi – kobieta wspaniałej urody, bardziej niż cudownie zbudowana, o najpiękniejszym ciele i skórze najcieplej aksamitnej, najnierealniej harmonijna i godna pożądania, tak piękna i promienna, jakiej żadna wyobraźnia nie byłaby zdolna stworzyć.

---

[1] Pektorał – ozdobny napierśnik, noszony przez faraonów i żydowskich kapłanów; ozdobny krzyż noszony na piersi przez dostojników kościoła rzymsko-katolickiego.

– Nazywam się Meluzyna – powiedziała bajeczna istota – jestem jedynym na świecie skarbem miłości i mogę do ciebie należeć.

– Na pewno! – mruknął w końcu Pascal, kiedy udało mu się wyjść z osłupienia. – Przyszedłem po panią, moja piękna, a także po ten drugi cenny skarb, który tak samo zachwyca moje oczy jak i pani.

– O nie! – odrzekła Meluzyna. – Trzeba wybrać, drogi chłopcze! Możesz stąd wyjść albo ze skarbem złożonym z cennych przedmiotów, albo ze mną. Masz prawo wybrać, ale nie możesz zabrać obu.

– Szkoda!

– Być może, ale tak to jest! Jeśli wybierzesz kupkę z bogactwami materialnymi, staniesz się najbogatszym z ludzi, ale nie będziesz mógł zapomnieć o mnie i będziesz mnie zawsze bezskutecznie przywoływał, ponieważ obraz mój zostanie w twoim sercu na zawsze i nie opuści go nigdy nawet na chwilę. Jeśli wybierzesz mnie, będziesz miał miłość, ale musisz wiedzieć, że jestem równie wymagająca i kapryśna jak piękna. Popatrz, jestem zupełnie naga i będziesz mnie musiał bogato przyodziać. Pragnę, by na mych włosach koloru słońca znalazły się diamenty, przyćmiewające blask gwiazd, a w mych małych uszach kamienie drogocenne i lekkie, bardziej migotliwe od diamentów. Dla mej szyi i ramion chciałabym klejnotów piękniejszych niż klejnoty królowych, a na palce chciałabym włożyć najdelikatniejsze cyzelowane pierścienie. Pierś mą ma pokryć rzeka najwspanialszych na świecie pereł i diamentów. Na me harmonijnie zbudowane nogi chcę założyć nakostniki z masywnego złota, lecz delikatnej roboty. Palce stóp pragnę przyozdobić pierścieniami wysadzanymi szmaragdami i rubinami na zmianę, równie czystymi jak moja delikatna skóra.

Po powrocie będę dla ciebie tańczyła i śpiewała anielskie pieśni, oplotę cię uściskami, które uczynią cię najszczęśliwszym z ludzi, moje usta obsypią cię pocałunkami gorętszymi, bardziej pachnącymi i bardziej zachwycającymi od wszystkich, jakie kiedykolwiek poznały czyjeś usta.

Pascal zmieszany wsłuchiwał się w to przemówienie, zastanowił się długą chwilę i wreszcie odpowiedział:

– Mam serce pełne smutku tracąc taką kochankę, ale skąd wezmę to wszystko, czego ode mnie żądasz, skoro jestem najbiedniejszym z ludzi? Wybieram więc kupkę złota, klejnotów i kosztowności, które uczynią mnie bogatym, a to pozwoli mi poślubić córkę króla albo inną piękną dziewczynę, jaką potrafię sobie znaleźć... Wraz ze złotem posiądę miłość, ale mając miłość nie wiem, czy potrafię znaleźć złoto.

– Zastanów się – szepnęła Meluzyna. – Zastanów się jeszcze... póki nie przekroczyłeś progu tej niszy, możesz jeszcze zmienić zdanie i zachować się rozsądnie. Spójrz, jaka jestem piękna! Moje oczy, moje usta nie mają równych sobie na tym padole, moje piersi są z alabastru, a ciało bardziej czarujące niż najbardziej namiętne sny. Spójrz na moje nogi czyste w rysunku i stopy mniejsze i doskonalsze niż arcydzieło złotnika... Te wspaniałości uczynią cię silnym i zdobędziesz wszystko, czego ci brakuje, jeśli tylko będziesz wspaniałomyślnym i czułym kochankiem...

– Słowo daję, jestem w kłopocie – głośno myślał chłopiec. – Ta istota wprawia w drżenie każdą tkankę mego ciała, ale jest ona kłamliwa i perfidna, a właściwie szukałem tu skarbu dającego się spieniężyć!

Odwracając więc wzrok, by nie dać się wzruszyć i zachwiać w postanowieniu, wolno podszedł do stosu kosztowności i zaczął napełniać kieszenie, i zagarniać naręcza najbardziej iskrzących się klejnotów i migotliwych kamieni.

W miarę jak to czynił, chciwość doprowadzała go do coraz większej gorączki, a kiedy nie mógł już więcej unieść, uginając się pod ciężarem uciekł długim korytarzem, oświetlanym teraz przez skarb, który unosił ze sobą.

Wyszedł na świeże powietrze, dotarł do swego ubogiego domu i z rozkoszą wyładował dobra.

W kilka dni później, kiedy dobrze udało mu się sprzedać część skarbu, a resztę ukrył w sekretnej skrytce, posiadał największą fortunę w królestwie.

– O! – powiedział. – Teraz jestem bogaty i mogę ożenić się z najpiękniejszą dziewczyną w kraju.

Ale żadna nie wydawała mu się wystarczająco piękna. Jedna nie miała złotych włosów, druga była zbyt niska, inna miała zbyt szczupłe ramiona, a jeszcze inna niezbyt piękne nogi, płaską pierś, zbyt silne ręce, stopy niezgrabne.

Pomyślał o córce króla, ale odstręczyła go jej sucha skóra i ostre spojrzenie.

Podróżował więc długo i daleko, a im dalej szedł i wracał, szukał i rozważał, znajdował coraz mniej piękna, a promieniejący obraz kobiety z jaskini rysował się w jego pamięci i wewnętrzna muzyka wyśpiewywała magiczne imię: Meluzyna... Meluzyna... Meluzyna...

Marniał, stał się gderliwy, a bogactwo zaczęło mu ciążyć jak brzemię. Przestał lubić swój pałac przepełniony gorliwymi lokajami, stół zaopatrywany w najlepsze potrawy i najrzadsze wina, nudziły go najbardziej wyrafinowane przyjemności.

Schorowany, wychudły i przygarbiony, poczuł nagle odrazę do swego bogactwa, w każdej minucie prześladowany przez obraz wspaniałej kobiety, jedynej, która zachwyciła jego oczy i podbiła serce.

Na próżno próbował powrócić na wzgórze. Nie mógł już odnaleźć wejścia do magicznej groty, a leszczynowa rózga okazała się zwykłym patykiem bez mocy.

Pewnego wieczoru, znużony prześladującą go obsesją, wrzucił wszystko, co pozostało mu ze skarbu, złoto, kosztowności i kamienie szlachetne, do szemrzącej, krystalicznej wody w Font des Cantes. A kiedy znowu stał się biedny, wziął się za wyplatanie koszyków z wikliny na sprzedaż do miasta. Ale nie potrafił tak jak starzec, którego chciał naśladować, śpiewać beztrosko i zawsze już prześladowała go wizja, która zaczarowała mu pamięć i zżerała całą radość życia.

Jego bogactwa spoczywają w zakamarkach Font des Cantes, w Poitou, w pobliżu wzgórza porośniętego dębami, podziurawionego jaskiniami i rozkwitłego niebieskimi hiacyntami.

Leżą rozrzucone pod ruchomym płaszczem wodorostów, rzeżuchy i mięty. O tym właśnie mówi legenda.

Ale ten skarb jest przeklęty i nikomu nie życzymy, by go wyłowił. Grozi to wiecznym wsłuchiwaniem się w rozpaczliwe wezwania zaklętego imienia Pięknej, która jest samą miłością.

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ SKARBÓW W JEDNYM OPACTWIE, OSIEM MILIARDÓW W JEDNYM GROBIE!

Francja to raj skarbów zakopanych w ziemi.

Naród najdostojniejszy, pierworodna córa Kościoła, Ziemia Wolności, pojedynków i pióropusza... nie potrzeba było wiele, by objawiła się tu obfitość skarbów.

Jedność i wielkość Francji: tysiąc lat wojen międzynarodowych i domowych.

Pierworodna córa Kościoła: dwa wieki wojen religijnych.

Ziemia Wolności: rewolucje, represje, dyktatury, zbrodnie, terror i niewolnictwo.

Tak jest zawsze, kiedy wywija się zapaloną pochodnią postępu i emancypacji! Narody szczęśliwe nie mają historii... ale Francja ją ma: olśniewającą, płodną, iskrzącą się.

To wszystko więc, czego doznała Francja, dało jej, poza cierniową koroną Narodów Przewodnich, przywilej posiadania ukrytych skarbów! No i mamy te skarby! Najskromniej licząc: miliony skarbów!

Miastem skarbów jest Charroux w Vienne, gdzie Karol Wielki ufundował słynne opactwo. Jakieś pół tysiąclecia temu wpływowe opactwo Charroux w Poitou wzniosło swe mury w głębokiej dolinie Verdanson i wystawiło lśniące dzwony swych ośmiu kościołów na promienie zachodzącego słońca.

Dziś Charroux jest małą, zapomnianą osadą... osadą, która się rozpada i żyje tylko wspomnieniem pomyślnych czasów. Ale co siedem lat w pełni wiosny można oglądać wywieszone na portalach i kolumnach starych hal afisze powiadamiające, że „skarby opactwa" zostaną uroczyście wystawione na widok publiczny.

Są to skarby, tak, prawdziwe, zamurowane w burzliwych dawnych czasach, w cudowny sposób odnalezione, a teraz mieniące się złotem, pozłacanym srebrem i szlachetnymi kamieniami.

Dla wszystkich mieszkańców Charroux sprawa jest oczywista: gdzieś w podziemiach tkwi siedemdziesiąt jeden skarbów. Mieszkańcy depczą po nich codziennie... muskają te skarby dłońmi, motykami, a nawet je wyskubują sztuka po sztuce. Skarby, te prawdziwe, są niedaleko. Ale gdzie? To właśnie pytanie zadają sobie wszyscy od zarania. I nie ma chłopca, który nie bawiłby się w odkrywcę, osłuchując stare mury, zapuszczając się w nisze i korytarze podziemnego miasta.

Charroux posiada bowiem wszystkie elementy, o jakich mógłby zamarzyć doskonały poszukiwacz klejnotów: prastare domy z przybudówkami, opactwo w ruinach, stare hale, piwnice, krypty i tajemnicze podziemne miasto, którego rozwidlenia rozciągają się pod domami i wzgórzami... tam gdzie można posuwać się tylko na czworakach!

No i coś, co może podniecić największych niedowiarków: listę siedemdziesięciu pięciu autentycznych skarbów, przechowywaną w archiwach. Cztery już zostały znalezione, pozostało jeszcze siedemdziesiąt jeden!

Miłośnicy przygód mają o czym marzyć!

I rzeczywiście, niewielu jest mieszkańców Charroux, którzy nie znaleźli jakichś przedmiotów ze złota, srebra, brązu lub kamieni szlachetnych w ziemi swego miasta. Wielu wyorało z ziemi monety. Rozbierając zlew, murarz Henri Degout znalazł sporą ilość srebrnych monet, aktualnie przechowywanych przez właścicieli zamku Maillerie. Przekopując ogródki, naprawiając stare parkiety lub mury, zawsze udaje się natrafić na coś cennego, coś wyjątkowego.

Kilka lat temu pan Bonnaud, wyrównując murek w młynie po pożarze, odkrył wielki gliniany garnek, wypełniony srebrnymi monetami. Było ich tam ponad osiemdziesiąt kilogramów. Wszystko ofiarował muzeum archidiecezjalnemu w Tours i Chinon.

Paul Lolmède, kopiąc kanał w garażu, odkrył prawdziwe archeologiczne cmentarzysko: czterdzieści żebrowań, dwa klucze sklepień, cztery cokoły, kolumienki, kapitele...

Pani Coutant wie, że w swym „Hôtel des Halles" posiada dwa zakopane skarby, jeden gdzieś w ogrodzie, drugi dokładnie pod wielką kuchnią w piwnicy, gdzie przyrządza swe znakomite potrawy.

Rzeźnik Gaston Ogier natomiast składa pasztety i baranie udźce w chłodni wybudowanej, jak powiadają, na grobowcu Ryszarda Lwie Serce.

Jeden z ukrytych wielkich skarbów znajduje się w kostnicy dawnego „Hôtel de Lion d'Or", a wszyscy sądzą, że w krypcie snycerzy złota przy ulicy Batterie drzemią wciąż drogocenne sztaby.

W 1927 roku pan R., kopiąc studnię w piwnicy, znalazł dwadzieścia złotych monet. W tym samym mniej więcej czasie pan Clément dokonał podobnego odkrycia, tyle że tym razem były to monety srebrne. To prawda, zdobycz niezbyt pokaźna, ale bardzo uwiarygodniająca legendę.

Czyż można mieć wątpliwości, że Charroux znajduje się na pierwszym miejscu wśród francuskich nie odkrytych skarbców? Można by z całą pewnością ułożyć listę mniejszych lub większych znalezisk, bo nie ma wątpliwości, że wielu mieszkańców Charroux znalazło – jeden w piwnicy, inny w czasie rozbierania jakiegoś murku – niektóre ze wspomnianych siedemdziesięciu jeden zewidencjonowanych skarbów. Liczba pozostałych może oscylować wokół pięćdziesięciu, co i tak jest bardzo zachęcające.

Opactwo w Charroux zostało ufundowane przez Karola Wielkiego w 769 roku. Istnieją dokumenty potwierdzające tę fundację.

Przycupnięte w zagłębieniu zielonej doliny, nad brzegiem cudownego źródła, opactwo, arcydzieło sztuki romańskiej, szczyciło się niegdyś wspaniałym kościołem, największym w ówczesnym świecie, z wyjątkiem kościoła świętej Zofii w Konstantynopolu, dorównującym mu rozmiarami.

Charroux, stolica regionu Marchii Dolnej, stała się w średniowieczu miejscem przechowywania szczególnie znaczących relikwii, gdzie papieże, cesarze, królowie i książęta, chcąc zamanifestować swą pobożność, składali na ołtarzach Zbawiciela dary, które wkrótce złożyły się na poważną fortunę.

Wśród relikwii znajdował się Bellator, największy kawałek Prawdziwego Krzyża, towarzyszący Karolowi Wielkiemu we wszystkich jego podbojach. Kiedy wielki cesarz na starość wycofał się z pól bitewnych, zdecydował się na złożenie w miejscu pewnym i świętym tego talizmanu, który, w co nie wątpił, przynosił zwycięstwo jego chrześcijańskim wojskom. Wahał się z wyborem pomiędzy Jerozolimą, Rzymem i Aix-la-Chapelle, by w końcu zdecydować się na Charroux, swe ulubione miasto.

Kiedy w XV wieku Joanna d'Arc dostarczyła Karolowi VII w Chinon dowodu, że jest wysłanniczką niebios, dokonała cudu oznajmiając, że miecz, który posłuży jej do „odepchnięcia Anglików za granice Francji", został zakopany pod ołtarzem kościoła świętej Katarzyny w Fierbois w Touraine.

Joanna opisała miecz i znaki wygrawerowane na rękojeści... a wysłannicy króla, dokonawszy poszukiwań, ze zdumieniem skonstatowali, że nie myliła się!

Karol VII, ostatecznie przekonany, oznajmił, że należy powierzyć Joannie najszlachetniejszy i najskuteczniejszy w całym chrześcijaństwie Bellator, by jej towarzyszył i chronił w czasie obrony królestwa.

Opactwo Charroux zostało więc pozbawione tego cennego legatu, ale i tak pozostało najlepiej wyposażone, ponieważ wśród jego skarbów odnotować było można: Święty Napletek (lub Szacowne Wotum), przeniesiony niegdyś przez Karola Wielkiego z Aix-la-Chapelle do Charroux, Krew Chrystusa i trzysta relikwiarzy i cennych przedmiotów.

Siedemdziesiąt pięć z nich zostało spisanych.

Głównie: dwanaście kawałków Prawdziwego Krzyża, trzy krucyfiksy, dwa kielichy, siedem kadzielnic, pięć stołów, cztery świeczniki, księga ręcznie pisana z cudowną okładką i wszystko, co niezbędne, do odprawiania nabożeństw religijnych, wszystko z czystego złota, więzy krępujące Jezusa w czasie Drogi Krzyżowej, gąbka, z której go napojono żółcią, kawałki jego szat z grobu i całunu, kości apostołów itp.

Do tej listy trzeba dorzucić: sześć lampek z czystego srebra z łańcuchami, ważących 626 marek i 4 uncje (154 kg), palących się stale przed Świętym Wotum; ogromne dochody w monetach złotych i srebrnych z dóbr opactwa, do których zaliczano ponad sto kościołów we Francji, Anglii i Flandrii, sześć klasztorów, dwa opactwa i dwa zamki obronne.

A prócz tego biblioteka ofiarowana przez Karola Wielkiego, która byłaby, gdyby ją odnaleźć, najstarszą biblioteką we Francji (pochodziła z VIII wieku).

Dochodzenie sądowe, datowane w lutym 1505 roku, mówi jeszcze o „pięknym naczyniu ze złota, okrągłym, wysadzanym drogocennymi kamieniami; relikwiarzu świętego Eliasza, inkrustowanym drobnymi kamieniami szlachetnymi; krzyżu z podwójnym poprzecznym ramieniem, wysadzanym wielkimi perłami i innymi kamieniami itp.

Słowem, zdaniem kronikarzy, Charroux, stolica Marchii Dolnej, święte miasto Zachodu i lenno panów Lusignan, Montgomery i Lancastre, było opactwem najbogatszym, a w każdym razie jednym z najzamożniejszych w całym świecie chrześcijańskim.

W 1569 roku jeden z poruczników admirała Coligny'ego, baron Roger de Carbonnières, zajął Charroux, ograbił je i spalił mordując wszystkich mnichów. Ci jednak wcześniej z ostrożności umieścili w pewnym miejscu relikwie i klejnoty, ale ponieważ nikt nie przeżył, tajemnica skrytki przepadła. Od tamtego dnia opactwo pozostało zrujnowane i nigdy nie podniosło się z upadku.

Z jego dawnej chwały i wspaniałych bogactw pozostała tradycja, którą przekazywano wieczorami przy płonącym ogniu, i legenda o skarbach schowanych „pod starą romańską wieżą", jak precyzowali starzy ludzie.

Historie tego rodzaju krążyły po Francji, przepełniały legendy, przylegały do wszystkich starych ruin...

9 kwietnia 1856 roku murarz Jaladeau, przebijając sklepienie klasztoru, natknął się w murze na trzy wspaniałe relikwiarze ze srebra powlekanego złotem, wzbogacone perłami i szlachetnymi kamieniami, zawierające relikwie Matki Boskiej i innych świętych, jak stwierdzono później.

Jednak jeden z relikwiarzy, bardziej wyszukany i jeszcze cenniejszy, krył medalion w kształcie trójliścia, zawierający romańskie puzderko ze złota, na którym zostały wyryte takie słowa: *Hic caro et sanguis Christi continetur* (Tu znajduje się ciało i krew Chrystusa).

Nie powinno być żadnej wątpliwości, chodziło o relikwiarze wykazane w skarbie opactwa i o najświętsze relikwie, najcenniejsze ze wszystkich: krew i ciało Chrystusa.

Od tamtego czasu znalezisko przechowywane jest w skarbcu i pokazywane tłumom tylko raz na siedem lat z okazji uroczystego podniesienia w dniu Bożego Ciała. I już nikt nie wątpi w to, że reszta skarbów została zamurowana lub zakopana gdzieś w ruinach opactwa, wciąż majestatycznych, ponieważ gdyby choć jeden z mnichów znający tajemnicę skrytki przeżył pogrom z 1569 roku, na pewno najszybciej, jak to by było możliwe, wykopałby lub wydobył z murów tak szacowne relikwiarze!

Skrytki muszą więc być nietknięte. Ale gdzie je zlokalizować?

W przypadku kosztowności, kasetek ze złotem i relikwiarzy mogą to być mury lub przestrzenie pod posadzkami opactwa. Co jednak z przedmiotami o większych rozmiarach: obrazami, kandelabrami, świecznikami, naczyniami stołowymi itp? Bardzo prawdopodobne, że przedmioty te zostały złożone w podziemiach.

Całe Charraoux jest poprzecinane rozległą plątaniną podziemnych korytarzy, łączących ze sobą większość domów miasteczka, jednak czy to z lęku przed nieznanym, przed pustką czy z obawy przed duchami, a może z potrzeby odgrodzenia swej posiadłości, mieszkańcy wznieśli grube, betonowe mury, przegradzające tę sieć. Przeszukanie podziemi z korytarzami, pochodzącymi niekiedy z czasów prehistorycznych i biorącymi początek w skalnych jaskiniach, jest zadaniem niemal niewykonalnym.

Dwa małe jeziorka, nad którymi kończą swój bieg przejścia podziemne, są w tej chwili nieosiągalne na skutek powstania osuwisk. Tymczasem bogactwa pozostają ukryte w czerwonej glinie, gdzie od pięćdziesięciu tysięcy lat spoczywają topory naszych przodków z epoki paleolitu.

Jedna z legend zapewnia, że opactwo w Charroux było połączone trzydziestokilometrowym podziemnym przejściem z opactwem w Nanteuil-en-Vallée (Charente).

Ta legenda i ostatnie odkrycie podziemnego kościoła w Charroux, ożywiające legendę, każą przypuszczać, że złoty stół, kandelabry, naczynia stołowe, złote dzbanuszki itp. wciąż tam spoczywają.

W 1568 roku pasterz imieniem Clément, by schronić się przed hugenotami plądrującymi opactwo Nanteuil, ukrył się w jakiejś grocie i uruchomił przez przypadek tajemniczy mechanizm. Znalazł się w tunelu, na którego przebycie potrzebował dwóch dni, i po wyjściu na światło dzienne okazało się, że jest w Charroux. Potem opowiadał, że w tunelu tym swobodnie mógłby się poruszać jeździec na koniu.

Legenda, mająca wszelkie pozory prawdy, od bardzo dawna przekazywana była z ojca na syna przez potomków pasterza, a Madeleine Marriat przytoczyła ją w pięknej książce *Baśnie i legendy Charente.*

Pasterz opowiadał także, że w tajemniczych podziemiach widział wielki kościół, a w nim naczynia liturgiczne i skarb z Nanteuil. W innej odnodze korytarzy podziemnych, odnotowanej, ale nie użytej przez pasterza, powinien się znajdować kościół podziemny, należący do opactwa Charroux.

Jeśli relacja jest dokładna, a na taką wygląda w części dotyczącej Nanteuil, jest możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że mnisi z Charroux postąpili podobnie jak ich bracia z Charente.

Zgodnie z taką hipotezą, powinni ukryć w znajdującym się głęboko pod ziemią kościele niektóre kosztowności z opactwa: te o największych rozmiarach, z całą pewnością niektóre relikwiarze, drogocenne meble i przedmioty kultowe, a także kasetki z luidorami...

W ostatnich latach kilkoro dzieci z Charroux, bawiących się w chowanego, odkryło pod starym domem w dzielnicy Chez Périllon jakąś szczelinę. Kiedy się przez nią wśliznęły, światłem latarek oświetliły sklepioną salę o trzech nawach i rozpoznały kamienny ołtarz. Korytarz wychodzący z tego małego kościółka, w jednej trzeciej zasypany, kończył się usypiskiem.

Wnuczek właściciela domu opowiedział kolegom, że jako dziecko przemierzył wraz z ojcem tę trasę, mającą około dwóch kilometrów długości i kończącą się w pobliżu rzeki w Charente. Niestety! Pani G., właścicielka tego miejsca, uznając autentyczność odkrycia, nie chciała nawet słyszeć o prowadzeniu jakichkolwiek poszukiwań i nie udostępniła wejścia do kościoła nawet archeologom.

W małym miasteczku Baronnière, leżącym o milę od Charroux, znajdujący się tam uskok pozwala przypuszczać, że podziemia Nanteuil biorą początek lub mają jedno wejście w grocie na zboczu.

– Jakieś pięćdziesiąt lat temu – opowiadała pani Villeneuve – ojciec mówił mi, że grota ciągnęła się głęboko pod wzgórzem. Widział tam wielką salę, bardzo wysoką, z kamiennymi ławami dookoła. To arcydzieło sięgało daleko w głąb i ciągnęło się aż do Nanteuil.

Taka układanka faktów może bardzo cieszyć poszukiwaczy skarbów! Rozszyfrowana do końca, mogłaby prawdopodobnie objaśnić i historię, i legendę!

Wiadomo, że jeden z korytarzy rozpoczyna się w stodole sąsiadującej z opactwem i podąża w kierunku domu pani G., gdzie znajduje się mały kościół. Można przypuszczać, że ciągnie się on dalej aż do groty na wzgórzu Baronnière, gdzie znajduje się wejście prowadzące do wielkiego kościoła.

Który jednak kryje skarby: duży czy mały?

W murach opactwa Klub Poszukiwaczy Skarbów wykrył jakieś przedmioty metalowe; prawdopodobnie chodzi o metale szlachetne. Mamy więc pewność! Ale opactwo zostało zakwalifikowane do dzieł sztuki i wszelkie poszukiwania w jego wnętrzach są niemożliwe!

Nisze, ossuaria[1], korytarze podziemnego miasta też zawierają skrytki ze skarbami i własne sekrety, tak samo jak stare domy, piwnice i groty. Słowem, całe Charroux jest nadziane skarbami, kuframi z relikwiarzami i kasetkami pełnymi kamieni, z których wydobyciem mieszkańcy wcale się nie spieszą. Skarby są tutaj od tysiąca lat... stanowią częściowo żywą legendę, tak jak życie codzienne mieszkańców Charroux. Są towarzyszami ich dni i snami ich nocy; towarzyszami, których nie powinno się niepokoić poszukiwaniami i przełamywaniem tajemnicy!

Również historyczny jest skarb z Rennes-le-Château, małego francuskiego miasteczka w górach Corbières, sześćdziesiąt kilometrów na południe od Carcassonne.

Kościół i kilka domów tego miasteczka tkwią na skalnym występie, do którego można się dostać trudną do pokonania pięciokilometrową rampą. Aby w tym zakątku świata, dokąd z ogromnymi kłopotami można dojechać samochodem bez możliwości minięcia się z innym, dało się schować skarb, potrzebny był prawie cud.

A jednak w Rennes-le-Château jest autentyczny skarb, ponieważ został on jakieś pół wieku temu znaleziony przez proboszcza Bérangera Saunière'a, który zaledwie go naruszywszy, przekazał go swej służącej i kochance, ślicznej Marie Denardaud, a ona z kolei panu Noëlowi Corbu. Testament Marie Denardaud okazał się niepełny, ponieważ zmarła ona nie zdążywszy ujawnić skrytki.

Od tego czasu pan Corbu próbuje zlokalizować, kopie, drąży, sonduje z nadzieją wydobycia na światło dzienne złotych i srebrnych monet oraz drogocennych kamieni ze skarbu wartego osiem miliardów. Poważni historycy stawiają hipotezę, że chodzi tu o trzynastowieczny skarb Królestwa Francuskiego.

---

[1] Ossuarium – popielnica, urna, krypta, zawierająca prochy zmarłego, spalonego na stosie.

„Niegdyś, jakieś siedemset lat temu – mówi Noël Corbu – Rennes było miastem o trzech tysiącach dusz, otoczonym murami obronnymi, których ruiny odnajdujemy do dziś. Poszukując skarbu, natrafiłem na stare monety, garnki gliniane, broń i szkielety, wzbogacające aktualnie moje małe muzeum. Zdaniem historyków z Carcassonne, geneza skarbu sięga lutego 1250 roku. W tym czasie na północy Francji rewolta pasterzy, wywołana przez tajemniczego „Mistrza z Węgier", rozgorzała na całego i fala chłopów pańszczyźnianych oraz biedaków parła na południe. Regentka Francji, Blanka Kastylijska, przybyła do Rennes-le-Château, nazywające się wtedy Rhedae, by tam w potężnej cytadeli schować skarb Francji, zagrożony równocześnie przez pasterzy i przez zmowę szlachty. Trzeba zaznaczyć, że cytadela w Rhedae uchodziła za niezdobytą i znajdowała się na drodze do Hiszpanii, gdzie Blanka Kastylijska w razie zagrożenia mogła próbować znaleźć schronienie. Kazała złożyć skarb w podziemnej sali, znajdującej się pod strażnicą. Tak przynajmniej się przypuszcza.

Trudno, rzecz jasna, wytłumaczyć, dlaczego skarb pozostał tak długo nietknięty, szczególnie w roku 1251, kiedy to król Ludwik Święty tak bardzo potrzebował finansowego wsparcia, którego nie mogła mu dać matka".

Krótko mówiąc, pan Corbu przypuszcza, że skarb stanowił rezerwę, naruszalną wyłącznie w przypadku nagłego zagrożenia.

Blanka Kastylijska zmarła w 1252 roku, powierzywszy sekret skarbu Ludwikowi Świętemu, a ten przekazał go swemu synowi Filipowi Śmiałemu. Ten ostatni zmarł w Perpignan, nie zdążywszy przekazać sekretu Rhedae Filipowi Pięknemu.

W 1645 roku zrekonstruowano Rhedae, które stało się Rennes-le-Château; antyczna forteca, lekko przesunięta, wznosiła się w miejscu dzisiejszej posiadłości pana Corbu.

Tu właśnie zaczyna się prawdziwa historia skarbu utraconego i odnalezionego.

Pierwszy raz odkryty został w XVII wieku przez pasterza, szukającego zabłąkanej owcy, Ignace'a Parisa. Jej beczenie dobiegało z dna jakiejś rozpadliny. Pastuch zszedł tam po nią, lecz owca, przestraszona nagłym pojawieniem się człowieka, uciekła w głąb podziemnego korytarza.

Podążając za nią, Ignace Paris znalazł się niespodziewanie w pomieszczeniu wypełnionym szkieletami i kuframi; te pierwsze go przeraziły, drugie niezwykle zaciekawiły. Napełnił kieszenie znalezionymi w nich złotymi monetami, po czym wystraszony uciekł i wrócił do domu.

Całe miasteczko w mig zauważyło niespodziewaną fortunę, a ponieważ Ignace nie chciał wyjawić jej źródła, został oskarżony o kradzież i zabity, nie zdążywszy podzielić się z nikim tajemnicą odnalezionej krypty.

Czy u wejścia do podziemi znajdowało się zwałowisko? Nie wiadomo, ale do 1892 roku nie było więcej mowy o skarbie, którego położenia nie mogli znać nawet rodzice pasterza. Szczęśliwe zdarzenie pozwoliło wejść do gry proboszczowi.

Probostwo w Rennes otrzymał Béranger Saunière w 1885 roku i od razu został przyjęty do rodziny Denardaud, której córka Marie miała osiemnaście lat i pracowała jako modystka w miasteczku Espéranza. Denardaudowie, mieszkający w niezbyt dobrych warunkach, szybko zadomowili się na plebanii.

W 1892 roku Béranger z powodu swej pobożności i pogodnego usposobienia zaskarbił sobie szacunek parafian. W tym czasie udało mu się uzyskać dwa tysiące czterysta franków kredytu komunalnego na remont głównego ołtarza, pochodzącego jeszcze z czasu Wizygotów, i dachu kościoła.

Murarz Babon z Couizy wziął się raźnie do roboty i pewnego poranka o godzinie dziewiątej zawołał proboszcza, by mu pokazać w jednym z filarów ołtarza cztery czy pięć ukrytych tulei z drewna, wydrążonych i zalanych woskiem.

– Nie wiem, co to może być! – powiedział.

Proboszcz otworzył jeden z nich i wydobył pergamin napisany językiem starofrancuskim przemieszanym z łaciną, z możliwymi do wyróżnienia na pierwszy rzut oka cytatami z *Ewangelii*.

– Ee – powiedział do murarza – to jakieś stare papierzyska z okresu rewolucji bez żadnej wartości!

Babon w południe poszedł do oberży na obiad, ale prześladowała go przez cały czas jedna myśl; nie omieszkał się nią podzielić z otoczeniem. Do kościoła przybył sam mer i poprosił o wyjaśnienia. Proboszcz pokazał mu pergamin, z którego poczciwina niczego nie pojął, i cała sprawa na tym stanęła. Jednak niezupełnie, Béranger Saunière postanowił bowiem wstrzymać prace w kościele.

A oto, co musiało, zdaniem pana Corbu, wydarzyć się potem:

„Proboszcz próbował rozszyfrować dokumenty. Rozpoznał wersety z *Ewangelii* i podpis Blanki Kastylijskiej wraz z jej królewską pieczęcią. W lutym 1892 roku udał się więc do Paryża w celu skonsultowania się z kilkoma lingwistami, z ostrożności pokazując im tylko fragmenty posiadanych dokumentów. Nie mogę ujawnić źródła mych informacji, ale mogę zapewnić, że chodziło o skarb Korony Francuskiej: osiemnaście milionów w pięciuset tysiącach złotych monet, klejnotach, przedmiotach kultu itp.

Ksiądz wrócił do Rennes bez dokładnej informacji na temat położenia skrytki, ale z cennymi i wystarczającymi wskazówkami. Szukał w kościele. Bez rezultatu!

Tymczasem Marie zaintrygowała stara kamienna płyta na cmentarzu, nosząca dziwaczną inskrypcję. Znajdowała się na grobie hrabiny Hautpoul-Blanchefort. Czyżby pod nią miał się znajdować skarb?

Proboszcz zamknął cmentarz i z pomocą Marie w ciągu wielu dni oddawał się tajemniczym zajęciom. Pewnego wieczoru ich wysiłki zostały uwieńczone sukcesem: udało się im złożyć łamigłówkę, której pierwszym elementem była inskrypcja na nagrobku. Od tej chwili pozycja Marie Denardaud na plebanii zmieniła się: stała się osobą zaufaną i współpracującą.

Wydaje mi się, że do skrytki można się dostać sześcioma drogami, a jedno z wejść znajdowało się w nie istniejącej już w 1892 roku baszcie. Na jednym z pergaminów widoczne są linie mierzone w sążniach, biorące początek pod głównym ołtarzem. Marie z proboszczem pomierzyli sznurkiem odpowiednie odległości i znaleźli ich zakończenie w punkcie nazywanym «zamkiem», aktualnie pustym. Tam zaczęli kopać, odkrywając podziemia z kryptą, do której niegdyś dotarł pasterz Paris. Znajdowały się tam złote pieniądze, biżuteria, cenne nakrycia stołowe, nieco poczerniałe pod grubą warstwą kurzu, ale nienaruszone.

Ustalili następujący plan: proboszcz uda się do Hiszpanii, Belgii, Szwajcarii, Niemiec, tam spienięży monety, a gotówkę przekaże pocztą do Couizy na nazwisko Marie Denardaud. Wykonali plan bez żadnych zakłóceń i trudności z repatriowaniem kapitału.

Jakkolwiek się to odbyło, w 1893 roku ksiądz Saunière był już bogaty, bardzo bogaty – tak że na swój koszt kazał wykonać wszelkie naprawy w kościele, który wyposażył z przepychem. Wyremontował prezbiterium, zbudował mur okalający cmentarz, postawił pawilon we wspaniałym ogrodzie ze skałkami i fontannami. Zakupił także piękne meble, kosztowne suknie dla Marie. Sprowadził rum z Jamajki, małpy z Afryki, a kaczki kazał karmić biszkoptami dla uzyskania delikatnego mięsa. Hodował dla przyjemności psy.

Słowem, w Rennes-le-Château prowadzono wystawne życie, przyjmowano – i to jak! – wielu gości spośród okolicznego towarzystwa. Ksiądz kupował ziemię i domy, ale na imię Marie Denardaud, tak że śliczna czarnulka o bystrych oczach i drobnej sylwetce stała się prawdziwą kasztelanką.

Wyjeżdżając w interesach, proboszcz pisał do niej: «Moja mała Marinette, jak się czują nasze stworzenia? Pogłaszcz Fausta i Pomponnet [psy], niech króliki się dobrze chowają. Bywaj, Marie. Twój Béranger...»

Prawdę powiedziawszy, inne ślicznotki także dzieliły się sercem nowego miliardera. Przytaczano nazwiska Emmy Calvet i pięknej księżnej B., a także wielu innych!

Niespodziewana fortuna zawróciła księdzu w głowie i wpędziła go w megalomanię. Marzył o wybudowaniu zamku... Jednakże z ostrożności dopilnował zniszczenia wszystkich wskazówek prowadzących do krypty. Na cmentarzu wydrapał inskrypcję z nagrobka hrabiny, a pergaminy złożył w pomieszczeniu ze skarbem.

Przybył mer, czyniąc mu wyrzuty z powodu zbezczeszczenia grobu i bogactw, jakimi dysponuje, ale proboszcz wyśmiał jego wątpliwości, opowiedział o spadku po wuju z Ameryki i obdarował pięcioma tysiącami franków w złocie. Mer często wracał do tematu... za taką samą cenę!

Jego Eminencję biskupa Carcassonne także niepokoiło zachowanie księdza, ale i tu dzięki pieniądzom, dobrym winom i mięsiwom trudności zostały zniwelowane.

W 1897 roku Béranger Saunière rozpoczął budowę willi «Bèthania», otoczonej murami obronnymi z basztą, które kosztować miały – bagatela – milion franków w złocie. Pragnąc mieć przez cały rok kwiaty, kazał wznieść oranżerię.

Następca Eminencji Billarda, Jego Eminencja de Beauséjour, zepsuł całą zabawę: zażądał od Bérangera wyjaśnień, wezwał go przed Rzymski Trybunał i w końcu zawiesił w pełnieniu funkcji.

W Rennes-le-Château został mianowany nowy proboszcz, ale Saunière nie dbał o to i w kaplicy swej willi w dalszym ciągu odprawiał msze skupiające prawie wszystkich parafian, tak że wystraszony nowo przybyły wolał więcej nie przemierzać ciężkiej trasy Couiza–Rennes.

Béranger przygotował nowy projekt upiększenia: pragnął podwyższyć wieżę, wybudować nową wieżę i drogę aż do Couizy, kupić samochód, doprowadzić do miasteczka wodę. Kosztorys prac wyniósł osiem milionów w złocie (według cen z roku 1914), czyli około ośmiu miliardów zwykłych franków. Potrzebne na ten cel pieniądze proboszcz posiadał w gotówce.

5 stycznia 1917 roku podpisał zamówienie, ale 22 stycznia marskość wątroby stała się przyczyną jego śmierci, nim zdążył oblec w ciało wszystkie projekty.

Zrozpaczona Marie wystawiła zwłoki na tarasie domu, w pozycji siedzącej w fotelu przykrytym narzutą z czerwonymi pomponami. Mieszkańcy miasteczka, składający ostatni hołd zmarłemu proboszczowi, zabrali wszystkie pompony jak święte relikwie.

Marie Denardaud została jedyną właścicielką Rennes-le-Château, wszystko bowiem było zapisane na nią, ale życie skończyła w niemal całkowitym zamknięciu, nie przyjmując żadnych wizyt i prawdopodobnie nigdy nie wracając do krypty ze skarbem".

To właśnie opowiedział Noël Corbu, trzecia osoba dramatu i spadkobierca Marie Denardaud. Pan Corbu znał Marie pod koniec jej życia, w latach 1946–53, a do znajomości doszło zupełnie przypadkowo. Wraz z żoną zamieszkał w jej domu i umiał sobie zaskarbić jej zaufanie i przyjaźń.

– Niech się pan nie denerwuje, panie Corbu – powiedziała pewnego dnia – będzie pan miał tyle pieniędzy, że nie uda się panu ich wydać!

– Skąd je pani weźmie? – zapytał Noël.

– A to... powiem, kiedy umrę!

18 stycznia 1953 roku zachorowała, straciła przytomność i zmarła zabierając ze sobą tajemnicę do grobu.

W ten sposób skarb Blanki Kastylijskiej zaginął i tym razem, jak się wydaje, na zawsze!

Ale właściwie nic nie wskazuje, aby był to skarb złożony przez matkę Ludwika Świętego. Niektórzy twierdzą, że należał do Alaryka, którego stolicą było Rennes-le-Château, inni natomiast skłaniają się do twierdzenia, że należał do katarów, co jest bardziej prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Rennes było ich drugą twierdzą po Montségur.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, faktem jest, że skarb istniał i wciąż istnieje, co zdaje się sugerować list przechowywany w archiwum pana Corbu, napisany do księdza Saunière'a przez jednego z jego przyjaciół:

„Nie możesz niczego wyznać publicznie, ale wyspowiadaj się, a dostaniesz rozgrzeszenie, bo nie możesz sobie niczego zarzucić".

Niestety! Béranger Saunière nigdy nie chciał się spowiadać na temat skarbu nikomu oprócz swej ukochanej Marie Denardaud.

A jednak tajemnica nie jest nieprzenikniona. Jeden z mieszkańców Rennes-le-Château, lepiej prawdopodobnie poinformowany, powiedział pewnego dnia jednemu z członków Klubu Poszukiwaczy Skarbów:

– Tajemnica księdza dotycząca miliardów tkwi na dnie grobu, chodzi tylko o to, by odgadnąć, którego...

Być może, miliardy ukryte przez starego proboszcza zostaną pewnego dnia odkryte przez grabarza... i stanie się to ze szkodą dla miasteczka zawieszonego na skale: straci najjaśniejszą ze swych tajemnic... albo najmroczniejszą – jak kto woli!

W 1965 roku Noël Corbu sprzedał swą restaurację w Rennes-le-Château, by stworzyć sieć hoteli i fabrykę. Nie trzeba było więcej, żeby uwierzono, że odnalazł skarb.

Można przypuszczać, że Noël Corbu po dwunastu latach bezskutecznych poszukiwań uznał za rozsądne porzucenie jałowych skał gór Corbières i ich zwodniczych skarbów.

BAJECZNY SKARB MYSZOŁOWA

Oto skarb z tych, które pobudzają do marzeń: autentyczny łup składający się z pereł, diamentów, złota, srebrnych naczyń stołowych; autentyczny pirat skutecznie powieszony; zaszyfrowane wskazówki; groty tajemniczej wyspy; plany obfitujące w skrytki!

Skarb Myszołowa z całym arsenałem cudowności, historyczności, tajemniczości i romantyzmu jawi się na kształt szczęśliwych wysp średniowiecza, Saint-Brandan i Antyli, dziewic Wlasty i amazonek z Kapadocji, które chętnie i bez ustanku wystawiały się na widok publiczny i rozdawały uściski, ale nigdy się nie poddawały.

Tajemniczy, bajkowy i nieuchwytny, z pewnością wejdzie do nieśmiertelnej legendy, tym bardziej że jego istnienia nie bardzo da się podważyć.

Kiedy Olivier Le Vasseur, zwany Myszołowem, wstępował na szafot, by ponieść karę za zbrodnie pirackie, rzucił w środek zgromadzonego tłumu kryptogram i krzyknął:

– Moje skarby dla tego, kto potrafi zrozumieć.

Scena miała miejsce 7 lipca 1730 roku na wyspie Bourbon (Réunion) i stała się źródłem najbardziej niezwykłych, skomplikowanych opowieści o skarbach. W czyje ręce dostała się tajemnicza informacja? Tego nikt nie potrafi powiedzieć. Ale od ponad dwóch wieków Ocean Indyjski i wyspy Seszele w pobliżu Madagaskaru stały się centrum nieustających poszukiwań, obfitujących w dokumenty z kluczem, rebusy i wyryte znaki, wszystkie odnoszące się zgodnie z tradycją do skarbów Myszołowa.

Najtrudniejsze w tej historii jest ustalenie miejsca.

Ocean Indyjski w okresie od XVII do XIX wieku był terenem nasilonego działania piratów, a więc i ukrytych łupów. Należy przypuszczać, że mimo odnalezienia wielu skarbów, na wyspach musi jeszcze pozostawać dużo innych zakopanych, zatopionych bądź zamurowanych.

Polowanie na skarb rozpoczęło się około 1923 roku na wyspie Mahé na południe od Seszeli, na nadmorskich terenach należących do pani Savy. Dama ta aż do tego momentu spoglądała obojętnym wzrokiem na jakieś graffiti i rysunki wyryte na skałach, jakich wiele widuje się na wyspach Oceanu Indyjskiego.

Ale oto pewnego dnia odkryła, że rzeźbione kamienie schodzą aż do morza, a rozglądając się baczniej po okolicy, wytropiła i inne jeszcze kamienie obrobione ręką ludzką. Z biegiem czasu i pod wpływem sztormów zdzierających humus albo wydobywających na wierzch korzenie powalonych drzew pojawiały się nowe znaki, i to w tak wielkiej ilości, że niemożliwe było nie przyjrzeć się z bliska problemowi mówiących kamieni.

Prawdę powiedziawszy, ich język był sybiliński i nieco zamazany przez trwałe oddziaływanie warunków atmosferycznych, ale dało się rozróżnić kształty zwierząt – psów, węży, żółwi, koni, kształty różnych przedmiotów i istot ludzkich – urny, serca, postać młodej kobiety, głowa mężczyzny z potwornym otwartym okiem.

Pewien etnograf zasugerował, że te skalne rzeźby mogły się wiązać z pismem ideograficznym (obrazkowym) indonezyjskim i Wysp Wielkanocnych, w którym często można zauważyć rysunki węża i żółwia. Ale co z resztą? Jakiej cywilizacji można przypisać rysunki ludzi, psów, oka itp?

Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej, podjęto poszukiwania i w pobliżu ogromnego oka dokonano odkrycia: odnaleziono dwie trumny zawierające ludzkie szczątki, w których zidentyfikowano po złotym kolczyku w lewym uchu piratów, i jeszcze jedne zwłoki, zakopane zwyczajnie w ziemi, jak się wydaje, bez większych ceremonii, co pozwala domyślać się, że chodzi tu o zwłoki zbrodniarza pochowanego u boku swych dwóch ofiar.

I po nitce do kłębka, od rzeźbionych kamieni do piratów, w naturalny sposób wypłynęła hipoteza o ukrytym skarbie. Nie było już co do tego żadnych wątpliwości, kiedy po zapoznaniu się z odkryciem do pani Savy zgłosił się pewien mieszkający na wyspie notariusz i oświadczył powściągliwie:

– Mam w biurze dokumenty dotyczące skarbu ukrytego na jednej z wysp Oceanu Indyjskiego. Jego położenie można określić tylko poprzez konfrontację moich danych ze znakami wygrawerowanymi na skałach. Ja posiadam te dane, a pani znaki: w pani posiadłości znajduje się skarb i należy go poszukać!

Niestety! Problem był o wiele bardziej skomplikowany! Archiwa składały się z kryptogramu pozornie bezsensownego, możliwego do rozszyfrowania tylko z pomocą *Clavicules de Salomon*[1], dwóch odręcznie napisanych listów, z testamentu, z dokumentów zredagowanych na kształt rebusów, a przynajmniej napisanych pismem dla wtajemniczonych, przypominającym symbolizm masoński.

Istnienie skarbu, a nawet wielu skarbów, zostało jasno potwierdzone, natomiast jego położenie – wiadomo, że na wyspie – pozostawiało wolne pole do najbardziej ryzykownych spekulacji. Z drugiej strony, istniejący pozornie związek pomiędzy różnymi dokumentami nie był całkowicie oczywisty.

Ponieważ należało znaleźć jakąś konkluzję, tradycja powiązała wszystko z autentycznym skarbem Myszołowa i skarbem innego pirata, Butina Nagéona z L'Estang. Niewykluczone, że w gruncie rzeczy chodzi o ten sam skarb, będący efektem sukcesji i kradzieży.

---

[1] *Clavicules de Salomon* (*clavicules* = kluczyki) są magicznym zbiorem, przekazanym przez Żydów synowi Salomona, Raboamowi. Tekst został napisany na korze; przetłumaczony został z hebrajskiego na łacinę przez rabina Abognazara, a z łaciny na francuski przez arcybiskupa Arles, Jauberta de Barrault. Te *Clavicules* wyjawiają magiczne receptury w oparciu o rysunki, zwyczaje, znaki kątowe i prostokątne.

Jakkolwiek by było, studiując dane można sobie pozwolić na ustanowienie syntezy faktów, możliwych do przyjęcia, a nawet racjonalnego wyjaśnienia.

Olivier Le Vasseur, zwany Myszołowem, urodził się w Calais w końcu XVII wieku. W 1721 roku współpracował z angielskim piratem Taylorem i ci dwaj kompani, którym nie brakowało zuchwałości, zawładnęli w kwietniu bogatym portugalskim statkiem o siedemdziesięciu armatach „La Vierge du Cap", szukającym schronienia przed sztormem w porcie Saint-Denis (wyspa Bourbon).

Na pokładzie statku znajdował się hrabia Ericeira – wicekról Indii i arcybiskup Goa. Wspaniała zdobycz dla uzyskania okupu i piękny łup w postaci ładunku!

Myszołów, odgrywając wielkiego pana, nie zażądał okupu za wicekróla, ale zagarnął wartościowe przedmioty: rzekę diamentów, klejnotów, pereł, baryłek złota i srebra, meble, tkaniny, naczynia liturgiczne i kasetki z drogocennymi kamieniami, a wszystko o wartości około sześćdziesięciu milionów funtów bitych w Tours.

Tak, rzeczywiście piękny łup, na poparcie czego przytoczymy następującą anegdotę, uchodzącą za fakt!

Każdy członek pirackiej załogi otrzymał z podziału czterdzieści dwa małe diamenty, a jeden z nich, który otrzymał jeden wielki diament o wadze równej wadze czterdziestu dwu małych, rozłupał swój kamień na czterdzieści dwa kawałki, żeby „nie być oszukanym na ilości" – jak powiedział.

„La Vierge du Cap", poreperowany i odnowiony, stał się statkiem Myszołowa i przybrał imię „Le Victorieux".

W rok później jednak Dugay-Trouin i angielski komodor Matthews rozpoczęli wojnę na wodach przybrzeżnych. Kiedy dwa lwy się biją, szakale powinny się mieć na baczności – i to właśnie uczynili nasi piraci z Oceanu Indyjskiego: Taylor uciekł na Antyle, a Myszołów na wyspę Sainte-Marie w pobliżu Madagaskaru. Właśnie wycofał się ze swego procederu, ponieważ piractwo stało się niemożliwe z depczącym po piętach dzielnym zuchem, jakim był Dugay-Trouin, którego bandera powiewała dumnie od równika po Przylądek Dobrej Nadziei.

Większość korsarzy także zrezygnowała z całej aktywności i przemieniła się w spokojnych obywateli, korzystających z Karty Ułaskawień, wydanej przez króla Francji.

Ich statki rdzewiały w zatoczkach i piractwo zanikło.

W dawnych czasach nie chrzczono staków rozbiciem butelki szampana o kadłub, ale chowając w kilu, na dnie cylindrycznej dziury wyciętej świdrem, złotą monetę. Następnie dziurę starannie zatykano drewnianym kołkiem.

Ta kryjówka pozwoliła armatorom, a także z pewnością przemytnikom, wpaść na pomysł chowania tam dla uniknięcia grabieży ze strony piratów jak i przed zgodną z prawem kontrolą przedmiotów o małych rozmiarach, ale wielkiej wartości: diamentów i pereł szczególnie.

Piraci aż do XVIII wieku nie znali tego zwyczaju i zatapiali galeony z ich najcenniejszym ładunkiem. Potem sprawa skrytek w kilu stała się powszechnie znana i od tej pory wypróżniane były starannie.

Monfreid sądzi, że możliwa jest eksploracja przez płetwonurka starożytnych kilów galeonów zatopionych na tym podmorskim cmentarzysku i odzyskanie diamentów, a z całą pewnością monet umieszczonych tam z okazji chrztu statku.

Ale wróćmy do historii Myszołowa, który grał na zwłokę przed przyjęciem Karty. Zwrócił naczynia liturgiczne, ale nie mógł się zdecydować na zwrot reszty łupu z „La Vierge du Cap", nieodzownego warunku ułaskawienia.

Jest pewne, że skarb schował. Ale gdzie? Przytaczano nazwy sześciu wysp: Mauritius, Réunion, Frigate, Mahé, Rodrigues, Sainte-Marie.

Nasz pirat żył w każdym razie na wyspie Sainte-Marie w sytuacji nie uregulowanej, ale bez bezpośredniego zagrożenia, postępując tak, by wilk był syty i owca cała, to znaczy, deklarując podporządkowanie zwlekał ze zwrotem zrabowanych kosztowności.

Około 1729 roku, wykonując zawód pilota w zatoce Antongil (Madagaskar), zaoferował swe usługi statkowi

„La Méduse", należącemu do Kompanii Indyjskiej, który chciał wejść do portu. Kapitan z Hermitte, komendant nabrzeża, rozpoznał go i zaaresztował, pamiętając, że pirat wielokrotnie napadał na statki jego kompanii.

7 lipca 1730 roku Myszołów został skazany na śmierć.

Oto wypis z wyroku:

„Widziany przez Radę proces kryminalny, wytoczony w sposób nadzwyczajny i wdrożony na wniosek i prośbę królewskiego prokuratora, wnioskującego i oskarżającego, przeciwko Olivierowi Le Vasseurowi, zwanemu Myszołowem, oskarżonemu o zbrodnię piractwa [...].

Rada skazała go i zobowiązała do publicznego wyznania winy przed głównym wejściem do kościoła parafialnego, w samej koszuli, ze sznurem na szyi, z płonącą pochodnią ważącą dwa funty w ręce, i zadeklarowanie głośno i w zrozumiały sposób, że przez wiele lat niegodziwie i zuchwale zajmował się rozbójnictwem, że wyraża skruchę i prosi o wybaczenie Boga i Króla.

[...] Egzekucję wykonano o godzinie piątej wieczór siódmego lipca tysiąc siedemset trzydziestego roku. Podpisane: Chassin–Dumas–Villarmoy–Gachet–G. Dumas– de Lanux".

Tak więc Myszołów został powieszony, kryptogram rzucony w tłum, a ukryty skarb miał przypaść najprzebieglejszym.

Czy skarb ten pozostał w ukryciu? Czy był odnaleziony, roztrwoniony lub ponownie schowany? Trudno powiedzieć.

Nim przestudiujemy jego położenie odczytane z rebusów, wypada najpierw przedstawić historię Butina Nagéona z L'Estang.

Na wyspie Réunion każdy, kto interesuje się przygodami skarbów, posiada w swym archiwum tajemniczy testament tego nowego i bardzo sympatycznego pirata. Kim był Butin o znamiennym imieniu (*butin* – łup)? I z powodu jakiego pokrewieństwa losów przenika się z historią skarbu Myszołowa?

Bernardin Nagéon z L'Estang, zwany „Łupem", był synem oficera marynarki Kompanii Indyjskiej i albo z tego powodu, albo dziedzicząc po piratach i korsarzach jemu podobnych, byłby ostatnim właścicielem skarbów Oceanu

Indyjskiego. Nie ma w tym niczego nieprawdopodobnego, jak będzie można ocenić na podstawie jego listów i biorąc pod uwagę fakt, że wyjęci spod prawa ludzie mórz tworzyli niegdyś konfraternię tajemniczą, ale o potwierdzonym charakterze.

W swym testamencie i w listach Butin podaje zarys swego życia, które, jeśli nawet nie było wzorowe, wydaje się rządzone zasadami wierności i moralności, spóźnionymi, ale dobrej jakości.

A oto jego testament (będący równocześnie drugim listem):

„Mam zamiar zaciągnąć się i walczyć za ojczyznę. Ponieważ z pewnością zginę, piszę ten testament i daję go mojemu bratankowi, Jeanowi Mariusowi Nagéonowi z L'Estang, oficerowi rezerwy, do wiadomości: rzeka La Chaux, Wyspa Francuska i skarby ocalone z «Indusa», do wiadomości: zatopiłem się w zatoczce w pobliżu Vacoas (Vaquois) i poszedłem w górę rzeki, złożyłem w jaskini bogactwa z «Indusa» i oznaczyłem B.N. moim nazwiskiem.

Moje zapiski są... trudne do czytania przez ostrożność; wszystko powiem Justinowi, jeśli go odnajdę".

Jego wyznanie dowodzi oczywistej troski o to, by nie zostać zrozumianym przez osoby niepowołane, tylko przez tego, kto ma do tego prawo. A oto inne jego pisma:

Pierwszy list:

„Butin Nagéon z L'Estang do bratanka Justina Mariusa. 20 floreala roku VIII.

Mój drogi Justinie, na wypadek, gdyby śmierć mnie zaskoczyła przed spotkaniem z tobą, wierny przyjaciel przekaże ci mój testament i moje papiery. Polecam ci stosować się do moich instrukcji i wykonać mą ostatnią wolę, a Bóg cię pobłogosławi.

Przy pomocy naszych wpływowych przyjaciół doprowadź do wysłania cię na Morze Indyjskie i udaj się na Wyspę Francuską, w miejsce wskazane w moim testamencie. Wejdź na falezę idąc na wschód. Po dwudziestu pięciu lub trzydziestu krokach, zgodnie z dokumentami, znajdziesz korsarskie wskazówki, pozwalające zakreślić koło, w którym rzeka znajdzie się o kilka stóp od środka. Tam jest skarb. Splatające się figury kryptograficzne nadają temu miejscu nazwę B.N.

W czasie mojego zatopienia postradałem wiele dokumentów. Odzyskałem już wiele skarbów. Pozostały tylko cztery, ukryte w taki sam sposób przez tych samych korsarzy, co odnajdziesz dzięki kluczowi kombinacji i innym papierom, które dotrą do ciebie w tym samym czasie.

Drugi skarb z Wyspy Francuskiej znajduje się w jej północnej części i oznakowany jest takimi samymi znakami. Za pomocą kombinacji koła, postępując zgodnie z poleceniami, dotrzesz do niego jak do skarbu Rodrigeza".

Trzeci list:

„Kochany bracie, od wzięcia Tamatave jestem chory mimo opieki mojego komendanta i przyjaciela. Jestem słaby i z chwili na chwilę oczekuję śmierci, ostatni raz rozmawiam z tobą, drogi Etienne, i przekazuję ci moje ostatnie polecenia.

Kiedy umrę, komendant Hamon przekaże ci to, co posiadam i co udało mi się zaoszczędzić w mym awanturniczym marynarskim życiu.

Wiesz, kochany Etienne, że marzeniem całego mojego życia było zgromadzenie fortuny, która pozwoliłaby przywrócić blask naszemu domowi.

Dzięki przychylności okazywanej mi przez pierwszego konsula po chwalebnym wojennym uczynku udało mi się to. Ale ponieważ Bóg nie pozwoli mi dopełnić tego obowiązku i ponieważ czuję zbliżającą się śmierć, przysięgnij, kochany Etienne, wypełnić moje życzenia.

W tym awanturniczym życiu i przed zaokrętowaniem na «Apollona» należałem do tych korsarzy, którzy tyle szkody czynią Hiszpanii i naszemu wrogowi, Anglii. Wspólnie z nimi zdobyliśmy piękne łupy, ale w czasie ostatniej walki u wybrzeży Industanu z wielką fregatą angielską kapitan został ranny i na łożu śmierci powierzył mi swoje sekrety i papiery pozwalające odnaleźć poważne skarby ukryte na Morzu Indyjskim i prosił mnie o ich użycie do uzbrojenia korsarzy przeciwko Anglikom; najpierw upewnił się, czy jestem wolnomularzem.

Prowadziłem okropnie włóczęgowski żywot, dlatego wolałem regularnie zaciągać się oczekując, aż Francja uspokoi się, wtedy odnaleźć skarb i powrócić do niej.

Przysięgnij, że twój syn pierworodny wykona moją wolę i z pomocą tej fortuny odbuduje nasz dom.

Komendant odda ci opisy skarbów. Są trzy. Ten zakopany na mej kochanej Wyspie Francuskiej jest znaczący.

Zgodnie z notatkami, powinieneś ujrzeć: trzy baryłki żelazne i gliniane dzbany pełne dublonów wybitych i sztabki na trzydzieści milionów i jedną kasetkę miedzianą, wypełnioną diamentami pochodzącymi z kopalni Visapour i Golkondy".

Listom tym towarzyszą dwie notatki z dokładnymi wskazówkami, pozwalającymi odnaleźć skarby. Pierwsza z nich jest bardzo sybilińska. Zaczyna się tak:

„Pierwszym znakiem kamień PGT. Tam wziąć drugi V. Tu skręcić S na północ tak samo".

Druga jest bardziej zrozumiała:

„Wziąć N – północ 48°, południe B-78 krok 4° południe".

Dokładna treść tych dokumentów stanowi własność Międzynarodowego Klubu Poszukiwaczy Skarbów.

Teraz wiecie wszystko, co może być znane na temat tajemnic Nagéona z L'Estang! Jeśli macie ochotę, możecie zabawić się w tłumaczenie kryptogramu rozbójnika. Zadanie jest zbyt trudne i pani de Grazia, a nawet wyśmienity pisarz Charles de La Roncières udostępnili powszechnie ich dosłowny sens.

Pierwsze linie dają taki galimatias:

„Weźcie parę gołębi, zakręćcie dwa serca... głowa konia... *kort fil winshient* talar weźcie łyżeczkę..."

Można powiedzieć, że tekstowi brakuje przejrzystości, i z pewnością dosłowne tłumaczenie – często zuchwałe – nie wystarczy. Ale notariusz z wyspy Mahé, okazując kryptogram, był jeszcze w posiadaniu rebusu pozostawionego przez rozbójnika:

„Pr 2 przechodzi z pre do pqtx wziąć L 4 VL f SN 2 Clot tak samo..."

Tajemnica nie bardzo zdaje się rozwiewać dzięki *Kluczom Salomona*, ale można zauważyć, że z pewnością istnieją pewne punkty zbieżne między skarbami Myszołowa i skarbami Nagéona z L'Estang:

- podobieństwo miejsc i fakt, że wszyscy poszukiwacze tradycyjnie mylą obydwu piratów;
- rebusy;
- w dokumentach zaszyfrowanych punkty odniesienia: inicjały S.B.N. albo B.N.;
- słowa kotwica, żółw, oko;
- symbolika masońska.

Można więc z dużą dozą zdrowego rozsądku przypuszczać, że przynajmniej jeden ze skarbów Nagéona odpowiada skarbowi Myszołowa.

Wszystko to jest bez wątpienia pociągające, ale w trochę irytujący sposób, na kształt łamigłówki! Zupełnie możliwe też, że poszukiwacze, chcąc zagęścić tajemnicę, rozmyślnie sfabrykowali albo sfałszowali kupę dokumentów.

Krótko mówiąc, skarby sytuowane były w następujących miejscach[1]:

- na Wyspie Francuskiej (Mauritius): w Belmont na północy wyspy, w grocie nad rzeką La Chaux w pobliżu Mahébourga, na przylądku Vacoas;
- na wyspie Rodrigues (bardziej wątpliwe).

Skarby są zamknięte w grotach oznakowanych przez wzgląd na poszukiwaczy inicjałami B.N., wygrawerowanymi na skale.

Jednak skarb z „La Vierge du Cap", zrabowany przez Myszołowa, powinien być na wyspie Sainte-Marie, tam gdzie pirat mieszkał i gdzie mógł nadzorować zgodnie z własnym upodobaniem ukryty skarb, oceniony na trzydzieści miliardów starych franków.

Byłoby to logiczne, a przecież tradycja i poszukiwacze pragnęliby, żeby zbiornicą wszystkich skarbów Oceanu Indyjskiego była wyspa Mauritius! I o tym świadczą fakty: dawna Wyspa Francuska jest nadziana skarbami, których duża ilość została odnaleziona. Wszystkie te skarby są schowane zgodnie z rytuałem i odkryte były w wyniku rozwiązania rebusu i innymi, wysoce malowniczymi metodami.

---

[1] W 1916 roku znaleziono na wyspie Pamba w pobliżu Zanzibaru jeden ze skarbów należących z pewnością do Butina Nagéona, ponieważ był oznakowany inicjałami B.N.

W pewnej posiadłości w Rosiers na początku tego wieku, wycinając stare drzewo, pomiędzy korzeniami znaleziono marmurową płytkę noszącą taki napis:

„To tutaj złożyłem swoją fortunę. Macie tutaj drzewo. Na trzy cale do środka w północny zachód. Zobaczycie kulę armatnią. Od kuli idźcie prosto na północny zachód. Po sześciu stopach napotkacie mały kamień. Głębokość zagłębienia tego kamienia w ziemi jest równa odległości od mojego bogactwa. Idźcie trzydzieści stóp na południowy zachód i na głębokości sześciu stóp natraficie na miedzianą płytkę. Ten, kto ją znajdzie, będzie śpiewał przez długie godziny. Podpisano: Carron de Bragile".

No i dobrze! Poszukiwacze korzystający z tych dziwnych wskazówek odkryli kulę, kamień i miedzianą płytkę. Płytka pokryta była kryptografią nie do rozszyfrowania i odesłano ją statkiem do Europy w celu przetłumaczenia. Niestety! Została zagubiona w drodze i skarb Carrona de Bragile ma szansę pozostać w ukryciu na zawsze.

W innej posiadłości niedaleko zatoki Tamarin w południowo-zachodniej części wyspy znajduje się ogromny głaz, na którym wydrapany jest chińskim alfabetem taki czterowiersz:

„13800 uncji złota-srebra
Tu znajduje się kurtyzana
Może pan zgadywać
Nie żądając udziału".

Pod kamieniem, gdzie z pewnością szukano, nie ma skarbu. Albo nie ma go już!

Taka jest tajemnicza i zagmatwana historia skarbu Myszołowa i złotych jaskiń Nagéona z L'Estang, ukrytych w celu gnębienia Anglików, jak mówią dokumenty!

NIECH CZUWA SMOK

Skarby zakopane w ziemi czują odrazę do samotności; niedostrzegalne, tak jak od wieków wychodzą na powierzchnię kamienie w ogrodzie i niewypały na polach bitew, z własnej woli lubią i one wynurzać się z ziemi, prawdopodobnie również po to, by stać się zarzewiem nowych konfliktów i dramatów.

Zdaniem biura do spraw rozminowywania w Ministerstwie Wojny, kamienie, niewypały albo odłamki pocisków, nawet najcięższe metale takie jak złoto są wypychane z biegiem lat albo są na to podatne dzięki zjawisku „obkurczania“ ziemskiego.

Pocisk dużego kalibru, na przykład, zagłębiony w ziemi na cztery metry w 1918 roku, przesuwa się w górę przeciętnie od metra osiemdziesiąt centymetrów do dwóch metrów w ciągu czterdziestu lat.

Skarby lubią podróżować w ziemi długimi ciągami, zbadanymi przez fizyków, wciąż zbliżając się do człowieka. To nie skarby się przemieszczają, to ziemia się wzbogaca, piaski przesypują i nawarstwiają się milimetr po milimetrze na całej powierzchni globu, zasypując miasta i nierówności terenu.

Poszukiwacz skarbów rozgrywa swoją partię pokera właśnie w tej walce pomiędzy tym, co chce się z nagła objawić, i tym, co chce się ukryć. Albo rozgrywa ją na poważnie, albo ulega urokowi i konwencjom gry.

Prawdę powiedziawszy, poszukiwacz skarbów szuka złotego wieku w realiach wieku żelaza i spieszy się, by zdążyć w ostatnich chwilach zmroku, przed zduszeniem cudowności przez uczonych posługujących się wiedzą atomową.

Złoto, klejnoty, syntetyczne kamienie jutra nie będą w sobie miały ciepła, promieniowania, słodkiej mowy materii, która przeżyła wieki krwi, miłości i przygody. Trzeba się więc spieszyć z odnajdywaniem skarbów, nim nauka je dobije.

Już w 1948 roku dyrektor laboratorium Pic du Midi, Paul Chanson, uroczyście zapowiadał, że możliwość przemiany metali nieszlachetnych w złoto jest tylko kwestią lat.

– Uczeni atomiści – mówił – są alchemikami, a ich laboratoria są paleniskami, w których topi się syntetyczne złoto.

W niedzielę 19 stycznia 1958 roku radio donosiło, że uczeni rosyjscy w nuklearnym piecu w temperaturze wielu milionów stopni uzyskali przemianę metali aż do stopnia złota. Ten sam program radiowy donosił, że Amerykanie dokonując podziemnej eksplozji bomby H na pustyni Nevada, wytworzyli prawdziwy pudding sztucznych diamentów, uzyskując warunki identyczne do warunków istniejących w czasie powstawania świata!

Zdarzyło się to w 1958 roku, a przecież już od wieku żyjemy w rytmie Szatana. Od tego czasu nastąpił zdecydowany postęp.

Co stanie się więc ze złotodajnymi oceanicznymi głębiami, z kasetkami zakopanych diamentów i rubinów, kiedy kamienie będą sprzedawane na kilogramy w supersamach roku dwutysięcznego, a złoto na tony u handlarza żelastwem? Ale czy takie czasy nadejdą naprawdę? Czyż nie jest przerażające, że nauka poprzez swe eksperymenty w dziedzinie przemiany, zamiast popychać ludzkość do przodu, zmierza do pogrążenia jej w pierwotnym chaosie, podkreślając równocześnie proroczą prawdę z piśmiennictwa biblijnego: „Człowiek stracił Ziemski Raj, spożywając jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego...“

Oczywiście, chcąc wykazać, że nauka będąc wrogiem człowieka, jest z pewnością jeszcze większym wrogiem ukrytych skarbów, dokonujemy bez wątpienia ekstrapolacji. Tym bardziej że ukryte skarby w końcu zatriumfują nad nauką i całym ludzkim przemysłem!

Gdyby nadeszła Apokalipsa, gdyby nasza cywilizacja została unicestwiona znów na parę milionów lat, można sobie pozwolić na przypuszczenie, że wszystko, co stanowi naszą dumę – miasta, betony, maszyny, książki – zostałoby zamienione w niewyczuwalny pył... wszystko, z wyjątkiem prehistorycznych krzemieni i drogocennych kamieni ze skarbów!

A tymczasem w oczekiwaniu na te straszne czasy, kiedy umrze świadomość i ustanie myślenie, dałby Bóg, żeby skarby mórz i dalekich wysp długo jeszcze pozostały w swych odwiecznych skrytkach, gdzie skupia się suma najcenniejszych marzeń ludzkości. Ludzie bowiem znaleźliby się na skraju absurdalnej rozpaczy, gdyby nie mieli nie zdobytej fortecy marzeń upiększających im życie.

Niech czuwa Smok... Ten, którego oko jest uchem, jak powiadają starożytni...

NAJWIĘKSZE SKARBY ŚWIATA

1) MONTCALM. Skarb garnizonu Quebecu, ukryty na półwyspie przez markiza de Montcalm w 1759 roku.
2) ZAKONNICA BEZ GŁOWY.
3) TITANIC.
4) OAK ISLAND.
5) CHICHEN ITZA. Skarb Majów w przepaściach Chichen Itza na Yukatanie.
6) MATANZAS. Jedenaście galeonów i trzysta milionów w zatoce Matanzas na Kubie.
7) BOBADILLA. Dwadzieścia pięć okrętów i galeonów gubernatora R. Bobadilli z dwustu pięćdziesięcioma milionami i złotym stołem, zatopione u przylądka Engano.
8) CMENTARZYSKO SKARBÓW.
9) ZŁOTA MIELIZNA.
10) SAN FERNANDO. Galeon zatopiony w 1597 roku u wybrzeży wyspy Sainte-Lucie z siedemdziesięcioma miliardami w złocie.
11) CERRITA COLORADO.
12) GUATAVITA. Jezioro w Kolumbii na północ od Bogoty, do którego Indianie wrzucili w XVI wieku bogactwa oceniane na sto dwadzieścia milionów funtów szterlingów.
13) INKOWIE.
14) JEZUICI.
15) CATAMARCA.

16) WYSPA SREBRNA,

17) SANTA QRUZ. Galeon zatopiony w 1680 roku w zatoce Manta (Ekwador) z ładunkiem złota.

18) WYSPA KOKOSOWA.

19) GALAPAGOS.

20) MARKIZY.

21) PINAKI. Skarb jezuitów, zakopany na Haiti na wyspie Pinaki (Oceania). Sześćdziesiąt stopni w koralowcu prowadzi do miejsca ukrycia.

22) CESARES.

23) HAMPSHIRE. Dziesięć milionów funtów złota w sztabach na krążowniku „Hampshire", zatopionym w 1916 roku na zachód od wyspy Orkney na głębokości sześćdziesięciu metrów.

24) DUQUE DI FLORENCIA.

25) HARTLEPOOL.

26) TUBANTIA. Storpedowany statek w 1917 roku z czterdziestoma tonami złota na pokładzie, pół mili od pływającej latarni morskiej Noord Hinder (Holandia).

27) LUTINE. 140 funtów w dublonach na fregacie „La Lutine", zatopionej w 1799 roku w Zuyderzee.

28) LUKSEMBURG. Trzy kufry złota i drogocennych kamieni w podziemiach miejsca, zwanego Cztery Drogi, niedaleko klasztoru.

29) VIGO.

30) GROBOWIEC CHRZEŚCIJANKI.

31) ORA.

32) ZŁOTY SAMOLOT.

33) WIELKA RZESZA.

34) WILCZY SZANIEC.

35) CZERNIAWSKI.

36) MORZE MARTWE.

37) KRÓLEWSKIE RUBINY.

38) LOBENGUELA. Worki ze złotymi monetami, diamentami i kością słoniową, ukryte w dolinie Zambezi przez potentata Lobenguelę.

39) HADŻE AIBEEP. Skarb diamentowy w przepaści Hadże Aibeep koło Uptington (Afryka Południowa).

40) GROSVENOR. Zatopiona fregata w 1783 roku między Natal i Pondoland z 162 378 sztuk pagod w złocie (pieniądz hinduski) i 24 344 sztuki pagod diamentowych.
41) MYSZOŁÓW.
42) NANA SAHIB. Łup zrabowany w Cawnpour (1857 roku), schowany przez księcia Nana Sahiba w podziemiach zamku Bithur w Indiach.
43) AGARTA.
44) DALAI LAMA.
45) JEZIORO PAYAO. Złoty skarb w zatopionym mieście, na niewielkiej głębokości, w jeziorze Payao w Tajlandii na 17 równoleżniku.
46) AYOUTIA. Królewskie skarby w starej stolicy Syjamu, Ayoutia na północ od Bangkoku.
47) KIDD.
48) SKARB CARÓW.
49) GRIGAN.
50) HOPE. Ładunek złota ze statku wyrzuconego przez sztorm na brzeg w 1827 roku pomiędzy Besty Island i South Arm na Tasmanii.
51) BAZAS. 120 kilogramów złota i srebra.
52) CAP-BRETON. Skarb templariuszy.
53) CHAMBRAY. 1 500 000 funtów złota. Rue du Regard, Paryż.
54) CHARROUX. Siedemdziesiąt jeden ukrytych skarbów.
55) LA NAPOULE. Osiem galeonów, osiem tysięcy kilogramów złota.
56) MONTPELLIER. Skarb templariuszy.
57) RENNES-le-CHÂTEAU. Osiem miliardów w grobie. W pobliżu Cuizy (Aude).
58) SÉMILLANTE. Osiemset milionów we wraku. Wpyspa Lavezzi (Korsyka).
59) ZATOPIONE PODZIEMIA. Opactwo Faize (Gironde).
60) VILLE GRASSE. 1750 sztuk złota. Wyspa Grand-Ribaud (Var).

SPIS TREŚCI

Przedmowa 5

Czarodziejska przygoda 12
Skarby starożytne 19
Skarby templariuszy 34
Złoto Nowego Świata i galeony 50
Skarby Inków 62
Piraci 76
Bajeczna przygoda na Wyspie Kokosowej 88
Skarby rewolucji 99
Skarby religijne 117
ZŁoto, zmysły, szaleństwo 133
Skarby wojenne 1
    Armia i pięćset ton złota idą na dno 143
Skarby wojenne 2
    Złoto Niemiec spoczywa na wysokościach 154
Skarby legendarne 1
    Wyobraźnia i czarodziejska różdżka 164
Skarby legendarne 2
    Niezwykłe zwierzęta i białe damy 172
Skarby tajemne
    Zaklinanie... Latający ludzie... Upiory... 182
Skarby odwieczne... skarby widma 201
Skarby Plutona 219
Amory... rozkosze 224
Siedemdziesiąt pięć skarbów w jednym opactwie, osiem miliardów w jednym grobie! 235
Bajeczny skarb Myszołowa 251
Niech czuwa smok 262

Największe skarby świata 265

Pandora

R.CHARROUX

KSIĘGA SKARBÓW

Skarby legendarne...
Skarby starożytne...
Skarby Inków...
Skarby Templariuszy...
Skarby odwieczne...
Skarby przeklęte...
Skarby widma...

A WŚRÓD NICH
MIĘDZY INNYMI:

-Tajemnica Zaczarowanej Piwnicy
-Latający ludzie
-Zagadkowe hieroglify i mapy
-Tajemnicze świątynie
-Mumie, węże, klątwy i inni strażnicy
-Katalog pięćdziesięciu
największych skarbów świata

ISBN 83-900427-1-1